



LEGENDY

KUJAW I POMORZA



LEGENDY

KUJAW I POMORZA

TEKSTY | **MAŁGORZATA JAROCIŃSKA, KRYSZYNA TRUSZCZYŃSKA**

ILUSTRACJE | **TOMASZ ŚCIOLNY**

QUIXI MEDIA

www.quixi.pl

6	O WZGÓRZU ŚW. WOJCIECHA (BARCIN)
10	JAK ANIELA I JAKUB BOBROWO ZAŁOŻYLI
15	O OKOLICZNOŚCIACH UFUNDOWANIA KOŚCIOŁA FRANCISZKANÓW W BRODNICY
19	JAK ZAŁOŻONO MIASTO BYDGOSZCZ
23	O ANGELICE Z BYDGOSKIEGO ZAMKU
27	O MISTRZU TWARDOWSKIM W BYDGOSZCZY
32	O WIATRAKU W HERBIE GMINY BYTOŃ
36	JAK KRÓL JAGIEŁO W CIECHOCINIE ODPOCZYWAŁ
40	O GLINIANYM KUBECZKU W CHEŁMŻY
43	O NAWOJCE (DOBRZYŃ NAD WISŁĄ)
48	O MIECZU „BONUM ET FELICITATEM” (GNIEWKOWO)
53	O GARNKACH „SZWEDKACH” (GOLUB-DOBRZYŃ)
58	O WÓJCIE SAMWOJU (GOLUB-DOBRZYŃ)
63	JADWIGA PRZY STUDNI (GRUDZIĄDZ)
66	PRZEPOWIEDNIA KRÓLOWEJ JADWIGI (INOWROCŁAW)
70	DIABŁY Z WITKOWSKIEGO MŁYNA (KAMIEŃ KRAJEŃSKI)
75	O CUDOWNYM KRUCYFIKSIE W KCYŃSKIM KOŚCIELE
79	JAK POWSTAŁA NAZWA KONECK
84	SKĄD SIĘ WZIĘŁA NAZWA GRABINA? (KORONOWO)
88	JAK POWSTAŁ HERB KOWALEWA POMORSKIEGO
92	O POPIELU, KTÓREGO MYSZY ZJADŁY (KRUSZWICA)
98	O POLI NEGRI Z LIPNA
102	O SKRZYŻOWANIU SZEŚCIU DRÓG I SIEDMIU DIABŁÓW (LUBIEWO)
107	JAK KRÓL WŁADYSŁAW JAGIEŁO MOGILNU PRAWA MIEJSKIE NADAŁ

111	SKĄD SIĘ WZIĘŁA OWCA W HERBIE MROCZY?
115	JAK NAKIELSKI KUCHARCZYK KRZYŻAKÓW SPOD ZAMKU PRZEPĘDZIŁ
119	O PECHOWEJ MONECIE ZE STRYSZKA (NOWA WIEŚ WIELKA)
123	JAK FRYDERYK W SZAFARNI BYWAŁ (RADOMIN)
128	O ROGOWSKIEJ GROBLI
132	JAK KAZIMIERZ WIELKI SĘPÓLNU PRAWA MIEJSKIE NADAŁ
137	SKARB ZE SKRWILNA
141	O TYM JAK WOJDYŁO DUSZĘ DIABŁU ZAPISAŁ (SICIENKO)
146	KAMIEŃ STRZELEŃSKI ŚW. WOJCIECHA
149	O ROZBÓJNIKU DĄBKU ZE STRZELNA
153	O SILE MATCZYNEJ MIŁOŚCI (SZUBIN)
157	O HERBIE GMINY ŚWIECIE NAD OSĄ
161	JAK POWSTAŁO MIASTO ŚWIECIE NAD WISŁĄ
165	DLACZEGO W HERBIE TORUNIA ZNAJDUJE SIĘ ANIOŁ?
171	O KRZYWEJ WIEŻY W TORUNIU
174	O TORUŃSKICH KATARZYŃKACH
178	O TORUŃSKIM FLISAKU
182	DLACZEGO W HERBIE TUCHOLI ZNAJDUJE SIĘ ŚW. MAŁGORZATA?
186	JAK DZIEDZIC WAGANIECKI NARAZIŁ SIĘ PLEBANOWI W ZBRACHLINIE
190	O SKARBACH Z ZAMKOWEGO JEZIORA W WĄBRZEŃNIE
195	O ZAGINIONYCH DZWONACH WE WSI WRONIE (WĄBRZEŃNO)
199	SKĄD SIĘ WZIĘŁA NAZWA WIĘCBORK?
203	O KOŚCIELE I STRAŻNIKU GRANICZNYM (ZAKRZEWO)
207	ZŁOTE LATA W HISTORII ZBÓJNA



O WZGÓRZU ŚW. WOJCIECHA

Chcąc podziwiać panoramę Barcina i doliny Noteci, należy wspiąć się po wygodnych schodach na Wzgórze Świętego Wojciecha, na którym znajduje się Pomnik Serca Jezusowego. Z miejscem tym wiąże się pewna legenda.

W początkach państwa polskiego szedł przez Barcin szlak z Wielkopolski na Kujawy i Pomorze. W pierwszych dniach kwietnia Roku Pańskiego 997 pojawił się w Barcinie biskup Wojciech. Pochodził z Praги, ze sławnego rodu Sławnikowiców. Rok wcześniej przybył on do Gniezna na dwór księcia polskiego Bolesława i przedstawił mu pomysł chrystianizacji pogańskich ludów, zwanych Prusami, a zamieszkujących ziemię leżące na północ od Polski. Zamierzał też biskup sprawdzić, czy przyjęty w 966 roku przez księcia Mieszka I chrzest zakorzenił się już wśród polskiego ludu, czy też przeważają w nim jeszcze pogańskie wierzenia. Z Gniezna wyruszył z bratem Gaudentym, a książe Bolesław dał mu, dla bezpieczeństwa, eskortę wojskową. Biskup szybko przekonał się, że chrześcijaństwo na ziemiach polskich jest kruchutkie jak witka na wietrze, więc wszędzie, gdzie tylko się zatrzymywał, głosił Słowo Boże.

Kiedy pojawił się w Barcinie, dzień był chłodny i deszczowy. Tegoroczna wiosna nie rozpieszczała nikogo i jak dotąd „kwiecień-plecień” nie przeplatał swoich zimnych dni z tymi łaskawymi dla ludzi i natury. Ale jedno w Barcinie wszystkich zdumiewało: w ogródku małej Kundzi, tej co mieszkała z chorym dziadkiem pod laskiem, zaroilo się od wiosennych kwiatów: krokusów, przebiśniegów, ciemierników, miodunek.



Tymczasem biskup Wojciech wkroczył do karczmy Witka, zwanego Kosem, ponieważ potrafił pięknie naśladować śpiew tego ptaka. Wieść o przybyciu nieznajomych lotem błyskawicy dotarła do wszystkich domów. Ludzie tłumnie przybywali do karczmy, by słuchać głoszonej przez biskupa Dobrej Nowiny. Karczma okazała się za małym pomieszczeniem dla chętnych, którzy łaknęli ewangelizacji. Bo przecież ich, na ogół ubogich ludzi, słowa Jezusa Chrystusa, głoszone ustami duchownego, napawały otuchą.

– Pierwsi będą ostatnimi, a ostatni pierwszymi – mówił biskup.

Naprawdę? Dla nich, którzy często nawet jednej krówki nie mieli, ma być Królestwo Boże? Gdy nocą rozechodzono się do domów, ci którzy stali przy samych drzwiach, mówili:

– Nie wszystko słyszeliśmy, a wielu z naszych nie mogło z powodu ciasnoty wejść do środka, a też byli ciekawi, o czym prawi biskup. Za mało miejsca u Witka... Ale większej izby w całym Barcinie nie znajdziesz. Najlepsze byłoby wzgórze, jednak zimnisko trzyma i nikt tam długo nie ustoi...

Małej Kundzi dopisało szczęście, bo gdy biskup mówił o tych wszystkich pięknych, choć czasami smutnych zdarzeniach z Jezusem związanych, ona znajdowała się tuż przy nim. Patrzyła w jego natchnione oczy i czuła, że ogarnia ją bezgraniczna radość. Nie potrafiła wytłumaczyć sobie, dlaczego tak się dzieje. Była przecież ubogą sierotą, mieszkała w licej chatce z chorym dziadkiem, nie rosła, choć miała już 14 lat!

Mimo późnej pory, po powrocie do domu, Kundzia nie chciała iść jeszcze spać. Pobiegła do swojego ogrodu. Gwiazdziste niebo oświetlało cudne przebiśniegi, krokusy, miodunki i ciemierniki. I nagle pewna myśl zaświtała w jej głowie. Pochyliła się nad kwiatkami, z których była tak dumna i zaczęła je rwać. Wypełniły one kieszonki jej fartuszka i drobne rączki. Kilka z nich zatknęła nawet za uszami i udała się w stronę wzgórza, na którym ten cały swój skarb, największy jaki kiedykolwiek posiadała, rozsypała.

– To dla Jezuska – szeptała w uniesieniu. – Na Jego chwałę...

Nazajutrz obudziło ją iście wiosenne słońce. Kundzia zerwała się na równe nogi.

– Dziadziusiu, już robię ci śniadanie! – zawołała.

– Wnusi, już sobie zrobiłem – odpowiedział dziadek spokojnym głosem. Kundzia ze zdumienia przecierała oczy.

– Dziadku! Nie leżysz w łóżku, a siedzisz przy stole tak, jak to było za dawnych, dobrych lat!

– Kundziu, kiedy w nocy wróciłaś do domu i pochyliłaś się nade mną, poczułem, że wraca mi dawna siła, a nogi dotąd bezwładne zaczynają się ruszać. Nic z tego nie rozumiem...

– A ja tak! – zawołała uszczęśliwiona dziewczynka i uściskawszy tak bardzo kochanego człowieka, wybiegła z domu. Nagle stanęła jak wryta. Wzgórze, które tej nocy obsypała kwieciami ze swojego ogródka, wyglądało jak wielobarwny kobierzec, na który wstępował właśnie biskup Wojciech. Dzień był cudny i wszyscy barcinianie mogli wsłuchiwać się w jego pogrzipiające słowa. I powtórzyło się to jeszcze dnia następnego. A potem ów misjonarz, rodem z Praги, obdarowany tym, na co ludzi było stać, ruszył w dalszą drogę. Odtąd barcinianie nadal przybywali na wzgórze, czując, że bije z niego jakaś wielka siła, dająca im moc.

Pewnego dnia dotarła do Barcina wstrząsająca wiadomość. Biskup Wojciech, który po przybyciu do Gdańska odesłał daną mu przez księcia Bolesława wojskową eskortę, po wkroczeniu na pruską ziemię został zamordowany! Poniósł męczeńską śmierć, uznany został wkrótce za świętego.

Kiedy wóz, wiozący jego ciało, znalazł się w okolicy Barcina, konwojujący go jeźdźcy chcieli, dla skrócenia drogi, ominąć gród. Jednak konie uparcie parły w tę stronę i gdy znalazły się u podnóża wzgórza, nagle stanęły. Kwitło już ono innymi kwiatami, ale wyglądało przepięknie, a ktoś szepnął: – „Jak w raju...”. Konie tymczasem stały nieporuszone. W końcu jeden z wojów otaczających wóz oznajmił:

– Prusowie za ciało świętego Wojciecha zażądali tyle złota, ile ono waży. Ten wykup miał się odbyć w Gnieźnie, ale widać, że Niebiosa zdecydowały inaczej.

Pod wzgórzem ustawiono wielką wagę: na jednej szali umieszczono ciało męczennika, na drugą zaczęto sypać złoto. Nie potrafiiono jednak doprowadzić do zrównania szal, zawsze któraś z nich przechylała się na jedną lub drugą stronę. W pewnej chwili pojawiła się pod wzgórzem wdowa po kowalu Marcinie. Znali ją tu wszyscy i szanowali, bo zacna to była kobieta, nigdy nikomu nie ubliżyła, a dobrym słowem lubiła obdarowywać. Kiedy zobaczyła chwiejące się raz na prawo, raz na lewo szale, dorzuciła do stosu złota swój wdowi grosz, ostatni jaki posiadała. I wtedy z wszystkich gąrdel rozległ się okrzyk pełen zdumienia:

– Oooooo! Szale wyrównały się.

Wkrótce konie, ciągnące wóz z trumną, ruszyły w stronę Gniezna, gdzie ze względu na obecność tam ciała świętego Wojciecha powstało pierwsze w Polsce arcybiskupstwo. Mieszkańcy Barcina jeszcze długo wspominali wszystkie niezwykle wydarzenia, związane z biskupem Wojciechem i jego męczeńską śmiercią. Z wielkiej potrzeby serca przychodzili w miejsce, które nazwali Wzgórzem Świętego Wojciecha. ♦



JAK ANIELA I JAKUB BOBROWO ZAŁOŻYLI

Jak powstało Bobrowo? – wielu się zastanawia. Domyślcie się zapewne, że miejsce coś z bobrami wspólnego mieć musi. Tylko co? Niektórzy, starsi mieszkańcy tej ziemi powtarzają: „Bobry tu łowiono, wielkie jak sarenki”. Kupcy z daleka zabiegali o cenne futra. A że mięso ich nie lada przysmakiem było na książęcych stołach – poławiano je w okolicznych wodach i stąd nazwa się wzięła. Ot, tyle.

Tak być mogło, jednak nie musiało. To najprostsze wytłumaczenie, ale jak się domyślcie, nie jest jedyne i wcale nie najbardziej ciekawe. Być może więcej prawdy kryje się w pewnej starej legendzie, którą mieszkańcy Bobrowa z pokolenia na pokolenie sobie przekazują. Może raczej w niej tkwi jakaś cząstka prawdy na temat prastarych dziejów powstania wsi?

Historia ta zaczyna się dawno temu, gdy na ziemiach bobrowskich nie było jeszcze żadnego człowieka. Jak okiem sięgnąć wszędzie drzewa i drzewa. Bujny las rozciągał się daleko, ale jak mu się lepiej przyjrzeć, znaleźć by tam można wzgórze w kształcie grzybka, usytuowane pomiędzy dwoma jeziorami: Oleczno i Grzywinek. Ani kawałka ziemi uprawianego ręką ludzką nie było. I przyznać trzeba, że w tej odwiecznej dzicy wyczuwało się niespotykane piękno.

Aniela i Jakub zatrzymali się w tym miejscu. Ubiór i mowa zdradzały, że byli to Polacy. Ale wygląd ich – na żadne pochodzenie nie wskazywał. Z postawy silnie zbudowanego



Jakuba biła szlachetność. Aniela natomiast, cokolwiek by nie robiła, emanowała gracją, wdziękiem i pięknem. Skąd przywędrowali w te strony? Nie wiemy.

Gdy zmęczeni drogą usiedli nad jednym z jezior, zapadał już wieczór – spokojny i piękny, jak w żadnym miejscu, które wcześniej odwiedzali. Ciszę przerywały jedynie pohukiwania puszczyków i rechot żab. Z oddali dobiegały szelesty łamanych gałęzi.

– Pewnie to rysie wychodzą na żer. Zobacz, jak wiele zwierząt w tutejszych lasach. Widziałem tury, żubry, wilki i niedźwiedzie – wyszeptał Jakub.

– To prawda – potwierdziła towarzysząca. – A spójrz na te wielkie ptaki, kołujące nad nami. Nie widzę dokładnie, ale muszą to być orły i jastrzębie. Jezior tu obfitość i strumieni bogatych w ryby wiele. Wody i pożywienia będziemy mieć pod dostatkiem. Czyż nie wspaniale byłoby tu zamieszkać? Tylko pomyśl – dom, zagroda, ogród z biegającymi dziećmi... Czego więcej nam trzeba?

– Czemu nie, najdroższa. Zostańmy! – odpowiedział radośnie Jakub, uśmiechając się do coraz bardziej klarownej przyszłości.

Przyroda, nienawykła do tego, by człowiek dyktował jej warunki, wcale nie tak łatwo chciała poddać się ludzkiemu panowaniu. Jakub pracował jednak ciężko i stale powtarzał sobie:

– Wytrzymałem. Powoli, systematyczną pracą cel osiągnę.

Rąbał zatem drzewa, ciosał, budował – i tak mijały mu dni, od świtu do nocy. Ale czy sam jego upór wystarczyłby? Czy odniósłby sukces, gdyby nie bobry? Wydawać by się mogło, że zawarły z Jakubem potajemny sojusz.

– To moi mniejsi pomocnicy – chwalił się Aniela, gdy ta wracała z koszami dzikich jabłek i orzechów. – Wiesz, że większość drzew w tym lesie wcale nie ja wyrąbałem, lecz one?

– Naprawdę? – niedowierzała dziewczyna. – Chyba cię lubią te zwierzęta. Troszkę to dziwne, ale może rzeczywiście tak jest...

– Rano ruszam w las, a tam co widzę? Co krok leżą nowe, ścięte drzewa! Ile pracy one mi zaoszczędzają! – opowiadał z przejęciem mężczyzna.

I żyli tak sobie Jakub z Anielą, zgodnie z prawami natury, w cichym sojuszu ze zwierzętami – odwiecznymi mieszkańcami tych lasów. Ani się obejrżeli, gdy pod jednym z drzew wyrosła drewniana chatka. Tam zamieszkali. Zbudowali też zagrodę, w której trzymali bawolicę. Pyszne mleko dawała. Tak mijały lata, a rodzina ciągle się powiększała. Potom-

kowie również budowali i pomnażali stada Jakuba i Anieli. Ród rozmnażał się szybko, natomiast oni się starzeli. Wspólna wytrwała praca sprawiła, że pośród leśnej gęstwy stanął spory gród, otoczony fosą.

Od czasu do czasu wędrowcy do nich zaglądali, o nocleg prosząc. Nikt nigdy z kwitkiem odprawiony nie został.

– Piękną osadę wznieśliście – dziwili się.

– Gość w dom, Bóg w dom – powiadał Jakub. I tej zasady się trzymał.

Niektórzy z tych podróżników do króla potem zachodzili i opowiadali:

– Królu! Ostatnio, jak żeśmy tamtędy przejeżdżali, tylko drzewa były, gęsty las i nic więcej. Teraz warownia stoi najprawdziwsza, z fosą! Dasz wiarę?

Władca wiele już widział w swym życiu i niejedną wieść słyszał. Ta jednak wiadomość zdziwiła go.

– Na takich terenach! Nie do wiary! Niech się wojowie szykują, droga co prawda daleka, jednak sprawdzić to trzeba. Jutro wyruszamy! – rozkazał król.

Jechali długo, a celu podróży jak nie widać, tak nie widać. Aż nagle drzewa zaczęły się przerzedzać, tu i ówdzie pokazywały się polany, a las kończył się zupełnie. Ich oczom ukazała się złocista równina, okryta ścierniskiem po minionych żniwach. W miejscu dziewiczego boru, pośród pól, dumnie wznosił się gród obronny. Zdziwili się ogromnie, widząc, że ze sto domów na podgrodziu stoi. Wszystkie oddzielone od siebie zadbanymi ogrodami. „Dobrze się tu żyć ludziom musi” – pomyślał władca. „Na pagórkach dwa wiatry z kręcącymi się skrzydłami, a na łąkach stada koni, krów i owiec”.

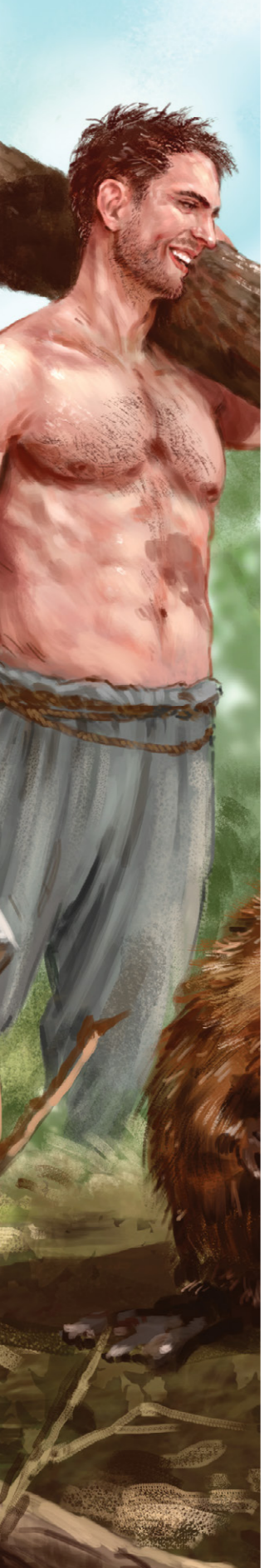
Monarcha pogłodził sędziwą brodę i rozkazał:

– Nie do wiary, kto tego dokonał? Jedźmy bliżej!

– Królu! Jakie ciekawe umocnienia! – spostrzegł jeden z żołnierzy, gdy zbliżyli się do obwarowań.

– Hmm... doprawdy zdumiewające! Przyjrzeć się pragnę tej osadzie – oznajmił wolno, stanowczym głosem władca. – Przecież to ślady bobrowych siekaczy! – wykrzyknął zaskoczony.

Były wszędzie: na słupach, palisadach i wałach okalających warownię. Monarcha wyteżył wzrok i zaczął się przypatrywać uważniej. W fosie spostrzegł kolejną niespodziankę – bóbr przy bobrze. Młode popiskiwały, starsze spały i odpoczywały w norach. „No tak” – pomyślał. „Teraz wiadomo, kto wraz z ludźmi gród ten budował”.



Jakub postarzał się przez lata tak, że głowa jego biała była jak gołębie piórka. Aniela, nawet siwiutka, cały czas pozostawała dostojna i dojrzała piękna. Słyszając gwar, wyszli zobaczyć, co się dzieje. Słuchy ich bowiem doszły, że sam orszak królewski koło grodu widziano.

– Słyszałem o jakimś Jakubie i Anieli. To wy? Wy tę warownię zbudowaliście? – zapytał król.

– Tak – potwierdzili zgodnie staruszkowie.

Wtedy Jakub pokłonił się i opowiedział królowi całą historię ich życia. Po jej wysłuchaniu król uściśnił dłoń staruszka i rzekł:

– Od tej chwili ta piękna okolica będzie nazywać się Bobrowo, bo bobry przyczyniły się do waszej pracy – oznajmił dostojnym głosem władca.

Nazwa ta przyjęła się i używana jest do teraz. Ślady zamku bobrownickiego również znajdziecie, a kto uważniejszy może i bobry wypatrzeć zdoła. Jak powiadają tutejsi mieszkańcy, wzorem założycieli osady: – W zgodzie z tymi zwierzętami żyć trzeba. ♦



O OKOLICZNOŚCIACH UFUNDOWANIA KOŚCIOŁA FRANCISZKANÓW W BRODNICY

W połowie XVIII wieku brodnickim starostą był Józef Płaskowski. Jego żona Rozalia, kobieta piękna i próżna, wiele godzin dziennie poświęcała pielęgnowaniu swej urody. Miała dobre rozeznanie w europejskiej modzie, a najpiękniejsze materiały dostarczał jej brodnicki sklepikarz, Żyd Ebel. Pani starościna szczególnie lubiła bale, na których olśniewała wszystkich swą urodą i toaletą. Całymi godzinami ćwiczyła przed lustrem rozmaite pozy i miny, po czym stwierdzała:

– Jak zwykle przyćmię wszystkie panie, nawet żonę sędziego, która bezskutecznie usiłuje mi dorównać. Ale gdzie jej do mnie? Kto jest taki gibki w talii jak ja? Czyje oczy świecą niby gwiazdy? Moje włosy nie tylko lśnią, ale i układają się w cudowne loki. Ach, kiedy znowu pojawi się Ebel? Wszak bal w resursie odbędzie się już za dwa tygodnie. Muszę znów wyglądać oszałamiająco!

Ledwie o tym pomyślała, gdy za oknem dało się słyszeć ujadanie brytanów, a za nim turkot znajomej kolaski. Pani Rozalia wyjrzała przez okno, nie było wątpliwości – to Ebel, klasnęła radośnie w dłonie.



– Dorcia – skinęła na wpatrującą się w nią z zachwytem dziewczynę – ustaw mi tu rzędem wszystkie krzesła. Zobaczymy, co dzisiaj mój Żyd przywiózł.

Dorcja, kilkunastoletnia dziewczyna, już od pewnego czasu z oddaniem usługiwała swej pani. Była sierotą i starościneę kochała jak nikogo na świecie. Tymczasem w drzwiach pojawiła się potężna twarz Ebla.

– Aj waj, aj waj... – powtarzał, dźwigając wielkie paki, a z jego czerwonej twarzy spływały strużki potu. – Właśnie powróciłem z Dalekiego Wschodu i specjalnie dla starościny przywozłem stamtąd istny cymes!

Pani Rozalia wiedziała, że Ebel nigdy nie był w dalekich krajach, ale miał tam kontakty, które sprawiały, że żaden sklepikarz brodnicki nie był w stanie z nim konkurować w zakresie różnorodności posiadanych tkanin.

– No pokaż, pokaż Eblu, co tam dla mnie masz? – szczebiotła uszczęśliwiona pani Rozalia. Oczy jej płonęły na widok precudnych, olśniewających koronek i jedwabi. – Ach, jakie to piękne! – Już widziała siebie w złotej sukni, obszytej szafirową koronką. Ale... – Ejże! Eblu, ten materiał jest przybrudzony!

– A dziwi się wielmożna pani? Przecież on odbył taaaaką – tu Żyd rozwarł swoje potężne ramiona – drogę z Chin!

– No dobrze, już dobrze. Moja służka to wypierze.

Po chwili zadowolony Ebel wsuwał do swej przepastnej kieszeni błyszczące dukaty i, pożegnawszy szczodłą starościneę, odjechał.

Wierna Dorcia zabrała się do usuwania brudu z tkaniny. Prała ją długo i starannie, wreszcie zadowolona z efektów swej pracy rozwiesiła tkaninę na wbitych na łące palikach. Jeszcze przez chwilę z zachwytem patrzyła na materiał, podziwiając jego delikatność i barwę. Oczami wyobraźni ujrzała swą panią w nowej kreacji.

– Znowu będzie najpiękniejsza... – szepnęła. Nie minęły dwie godziny, gdy wieść hiobowa dotarła do uszu starościny: na łące stoją puste paliki, a po tkaninie nie ma śladu!

– Jak to? To niemożliwe! – krzyczała pani Rozalia, a jej piękne oczy ciskały pioruny.

– Kto widział po raz ostatni mój piękny... – I tu pani Rozalia rozpląkała się. – Przecież bal jest za dwa tygodnie. Nie założę sukni, którą choć raz miałam na sobie! Kto to zrobił? Zaraz... zaraz... – Głęboka zmarszczka pojawiła się na czole pięknej pani. – To Dorcia prała tkaniny.

– Dorcia! – zwróciła się gniewnie do przerażonej dziewczyny. – Co z nimi zrobiłaś? Nie kłam tylko! Jeśli mi je oddasz, może ci wybaczę.

– Ależ pani – niebieskie oczy wiernej służki napełniły się łzami – ja nigdy bym...

– A więc tak! – przerwała jej wściekła pani Rozalia. – Skoro trwasz w tym kłamstwie, wydalłam cię z mojego domu. Rozumiesz chyba, że dla złodziejki i kłamczuchy nie ma miejsca pod moim dachem.

Dorcia bez słowa wybiegła z salonu. Szła przed siebie i wciąż dudniło jej w uszach: „Złodziejka! Kłamczucha!”. A przecież ona dla swej pani życie by oddała. Błąkała się lasami i polami. Zaczął padać deszcz, ale ona tego nie czuła. Minęły dwa dni. W starościńskim domu panował grobowy nastrój. Pani nie tylko bolała z powodu utraconych koronek i jedwabi, ale gniołło ją też sumienie, że tak okrutnie postąpiła z Dorcią. Nagle pojawił się przed nią parobek i zakomunikował:

– Miłościwa pani, nasza najlepsza krowa zdechła.

– Jeszcze to! – zawołała pani Rozalia, załamując ręce.

– Miłościwa pani – kontynuował chłopak. – Myśmy ją rozpruli, by zobaczyć, czy mogą jej mięso zjeść psy i my w jej środku znaleźli te pani koronki od Ebla. A część ich leżała pod lasem.

– Rany boskie! – jęknęła starościna.

– Miłościwa pani, jeszcze jedno – pani Rozalia miała ochotę krzyknąć, by parobek dał jej wreszcie święty spokój, ale resztkami sił powstrzymała się, a chłopak mówił dalej: – ci parobkowie, co robią nową przystań, znaleźli dziś nad rzeką naszą Dorcię. Była martwa.

Tego już dla pani Rozalii było za wiele. Wybuchnęła rozziewającym płaczem i w stanie rozpaczony pozostawała przez tygodnie. Jej dotychczasowy świat, pełen pięknych strojów i klejnotów, przestał istnieć. Wciąż zmieniała spowiedników, ale żaden z nich nie mógł ukoić bezgranicznego smutku. W 1751 roku, za namową pewnego duchownego z Grudziądza, ufundowała w Brodnicach dla zakonu franciszkanów kościół i klasztor. Czy to wyciszyło znękaną sumienie? Tego nie wiemy... ♦



BYDGOSZCZ

JAK ZAŁOŻONO MIASTO BYDGOSZCZ

– **Z**astanawiam się – mówił Byd do swojego brata Gosta. – Dlaczego my się stąd nie ruszamy? Ziemia tu nieurodzajna, kamienista, wody wokół mało...

O, spójrz na ten strumyk. Płynie tak nieśmiało, jakby się czegoś wstydził...

– Masz rację – przytaknął Gost. – Nasza chata też mizerna, pewnikiem niedługo się rozleci. Nie dziwota, że ludzie nie chcą się tu osiedlać. Nie rozumiem, dlaczego zrobili to nasi rodzice?

– No bo miłowali się. Chcieli być tylko dla siebie, obce oczy nie były im potrzebne.

– Prawda. A my grzaliśmy się w ciepłe tej ich miłości... – Gost głęboko westchnął. – Dobrze mieliśmy dzieciństwo, braciszku...

– Taak – przez małą szparkę między zębami Byda wydobył się cichy świst – chciałbym i ja uwić takie gniazdko: z dobrą kobietą, syneczkami, a może i córą?

– Ja też już o tym myślę – wszedł mu w słowo Gost. – Tylko, czy w tym miejscu jest to możliwe? Kiedy ostatni raz widzieliśmy tu ludzi?

Zapadło głuche milczenie. W pewnej chwili Gost podniósł z ziemi kamień i cisnąwszy go daleko przed siebie, zawołał donośnie: – Wyruszymy na północ!

Niebieskie oczy Byda radośnie się roziskrzyły:

– Nie uwierzysz, ale ja pomyślałem o tym samym!

– Bydzie, toż my z tej samej krwi, to i myśli jednaką strugą płyną.

Gdy po kilku dniach zegnali to miejsce, w którym przyszli na świat, Byd powiedział poważnie:



– Nadchodzi czas wielkiej próby, w którym okaże się, na ile jesteśmy silni, twardzi, pracowici. Czy poradzimy sobie z przeciwnościami losu?

– Oby duchy naszych przodków miały nas w swej opiece – wtrącił Gost.

Szli krokiem sprężystym, rozmawiając z ożywieniem.

– Zbudujemy osadę – mówił Gost. – Musimy zatem znaleźć taki zakątek, który przyciągnie innych ludzi.

– Tak! – entuzjazmował się Byd. – Szukajmy więc takiego miejsca, gdzie płynie rzeka. Bez niej ani rusz.

– Masz rację – Gost poklepał brata po ramieniu. – I trzeba mieć też pod ręką drzewo na budowę chat. Teren musi być porządnie zalesiony.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, a oni wciąż szli tym samym, sprężystym krokiem.

– Hej, Bydzie! – Głos Gosta był tak wesoły, że wydawało się, że wszystkie ptaki odpowiedziały mu równym szczebiotem. – Zatrzymajmy się wreszcie na popas!

Jedli z apetytem mięso upieczone jeszcze w domu. Nadszedł ciepły, letni wieczór. Niebo, ten sufit ziemi, roziskrzone było gwiazdami. Położyli się na mchu i zasnęli.

Mijały dni i noce, a oni z niezmienną ochotą podążali na północ. Zdarzały się ulewne deszcze, przejmujące do szpiku kości wiatry, bezgwiezdne noce pełne trzasku gałęzi uginających się pod ciężarem przebiegających zwierząt. Zdarzało się, że idących otwartą przestrzenią braci słońce tak niemiłosiernie paliło, że skóra na ich ramionach pękała. Czasami wydawało im się, że właśnie odnaleźli to wymarzone miejsce, ale przyjrawszy mu się dokładniej, stwierdzali jednocześnie:

– Ładnie tu, jednak to jeszcze nie to!

Nie odczuwali zniechęcenia, nie rozmawiali o bólu nóg upstrzonych pęcherzami, o pękanej skórze, o czających się wszędzie niebezpieczeństwach. Rozmawiali o osadzie, którą pragnęli założyć i już widzieli ją oczami wyobraźni.

Aż pewnego dnia ujrzeli przed sobą dolinę pełną jezior, lasów, rozlewisk i dróg prowadzących we wszystkie kierunki. Spojrzeli na siebie i już wiedzieli, że tutaj zbudują gród.

Gdy rozpoczęli pracę, szybko zjawili się inni ludzie. Wszyscy pracowali zgodnie, z zapałem i uśmiechem na ustach. Któregoś dnia, po pełnych trudu godzinach, mężczyźni zasiedli przy długim, ściętym drzewie, na którym rozłożono jadło i picie. Odezwał się do nich Gost:

– Gród nasz na dniach gotowy będzie. Ale każdy gród ma swoją nazwę. Od pewnego czasu głowimy się z Bydem, jakie nadać temu miastu miano?



Wtedy zabrał głos Morys, bodaj najstarszy z obecnych przy stole mężczyzn:

– Nie ma tu nad czym myśleć i gadać. Wszystko jest jasne.

To wy, dwaj bracia Byd i Gost zaczęliście budować gród i wy jesteście jego pierwszymi gospodarzami. Przeto jego nazwa nie może być inna jak Bydgost.

– Tak! Tak! – rozległy się zewsząd radosne okrzyki.

Z czasem, w związku z tym, że jedni mówili: „Jedziemy do Bydgostu”, a inni, że do „Bydgosta”, albo „Bydgosty”, przyjęto nazwę „Bydgoszcz”, bo w tym przypadku można pojechać tylko do Bydgoszczy. ♦



O ANGELICE Z BYDGOSKIEGO ZAMKU

Piękna Angelika spoglądała przez okienko bydgoskiego zamku, należącego do jej ojca Carolusa, i dumiała nad swym smutnym losem. Przyczyną przygnębienia był właśnie ojciec. Kochała go bardzo, ale uważała za złego człowieka. Bowiem jak usprawiedliwić rozboje, dokonywane przez niego i podległych mu złoczyńców na bydgoskim trakcie? Iluż nieszczęśników „gościły” lochy bydgoskiego zamku? A przecież Carolusowi na niczym nie zbywało: podległa mu ludność regularnie płaciła daniny, spiżarnie księcia wypełnione były po brzegi zapasami, w piwnicy dwoiło się, a nawet troiło w oczach od rozmaitych trunków. Niekiedy Angelika w stroju żebraczym wędrowała wśród okolicznych chat i serce jej pękało ze zgrzyoty, gdy zewsząd słyszała: – Okrutny ten Carolus, ciemiężca. On serce ma z kamienia.

W jakim celu wyruszała na tak bolesne dla jej wrażliwej natury wyprawy? Ano po to, by zobaczyć, którym z poddanych jej bezwzględne ojca dzieje się najgorzej. Pomagała im jak mogła – za pośrednictwem wiernej służki przekazywała jedzenie lub odzienie. Chociaż była księżniczką, sama nie posiadała zbyt wiele, gdyż ojciec nawet wobec ukochanej jedynaczki nie wykazywał szczodrości.

– Gdy wyjdiesz za mąż, wtedy hojnie cię wyposażę – zapewniał.

Któregoś dnia na bydgoskim trakcie pojawił się syn nakielskiego księcia – Jarosław. Carolus już wcześniej otrzymał wiadomość od swoich zaufanych ludzi, że oto nadarzy się okazja, by uzyskać olbrzymi okup. Nie było przecież tajemnicą,



że nakielski książę gorąco kocha swojego jedyne go syna i nie ma takiej ceny, której za niego nie zapłaci. Przygotowana przez Carolusa zasadzka przyniosła spodziewany rezultat. Biedny Jarosław wtrącony został do strasznych, zamkowych lochów, a Carolus śmiał się szyderezco: – Ciekawe, ile dla twojego tatusia warta jest twa główka?

Słyszała też ten śmiech Angelika, która bezskutecznie próbowała go zagłuszyć, zatykając sobie uszy palcami. Tej nocy z wiernym sobie służą zeszła do lochów. Zniosła uwięzionemu posiłek, którego sama nie zjadła. Czyniła tak przez kolejne noce. Młodzi zakochali się w sobie.

– Wydostanę cię stąd. Niech tylko nastanie bezksiężycowa noc, a mój wierny Spytko obejmie straż przy bramie – szeptała dziewczyna.

Tak też się stało. Angelika wyprowadziła ukochanego ze straszliwych podziemi, a przy pożegnaniu z nim usłyszała:

– Angeliko, wrócę po ciebie i zabiorę stąd...

Nazajutrz, gdy Carolus dowiedział się, że więzień zniknął, jego wściekłość nie miała granic! Chciał ukarać śmiercią wszystkich podejrzanych o udział w ucieczce Jarosława. Wtedy Angelika wyjawiała ojcu:

– To ja jestem winowajczynią. Możesz mnie najsurowiej ukarać!

Ale tego Carolus uczynić nie mógł, bo córka była jedyną w jego życiu istotą, którą kochał.

Pewnego dnia ujrzał Carolus przez okno zamkowe zbliżającą się grupę jeźdźców, na czele której rozpoznał swego dawnego więźnia Jarosława. Domyślił się, w jakich zamiarach przybywa to nakielskie książątko – najpewniej po jego Angelikę! Natychmiast wysłał, będących pod jego rozkazami, wojowników, by rozprawili się z intruzami. Ale bój toczony pod murami zamku nie przyniósł rozstrzygnięcia. Rycerze Jarosława byli w natarciu. Walka przeniosła się na dziedziniec zamkowy. Swoją odwagą Jarosław dawał przykład przybyłym z nim wojownikom. Nagle na dziedzińcu pojawił się niezwykle rycerz. Był odziany w czarny płaszcz, na głowie miał hełm, a twarz przykrywała przyłbica. Wszyscy rozstąpili się przed nim, wszyscy z wyjątkiem Jarosława. Zaczął się pojedynek. Książę nakielski walczył dzielnie, jednak brakowało mu doświadczenia. Widać było, że jego przeciwnik to człowiek zaprawiony w bojach. W pewnej chwili czarny rycerz wymierzył celny cios – Jarosław niezbyt rażony piorunem zsunął się martwy na ziemię. Z ust jego chlusnęła krew.



– Neeee!!! – Powietrze przeszył pełen bólu krzyk. To Angelika, będąca świadkiem śmierci ukochanego, wyraziła swoją rozpacz. W okamgnieniu wyrwała, stojącemu obok niej, rycerzowi miecz i przebiła nim mordercę ukochanego. Tamten zwał się na ziemię. Wtedy Angelika podniosła mu przyłbicę. Zrobiło jej się ciemno w oczach... To niemożliwe... To ojciec!

Z okrzykiem przerażenia przebiegła przez zamkowy dziedzińiec, a potem bramę. Nie mogła złapać tchu, a jednak nie ustała w ucieczce. Nie wiadomo, ile upłynęło czasu, nim ujrzała przed sobą spokojnie płynące wody Brdy. Szepnęła:

– Rzeko, otwórz przede mną swoje ramiona... – Skoczyła, a chwilę później woda znowu zrobiła się gładziuteńka.

Angelika powraca do bydgoskiego grodu w postaci Białej Damy. Siada na ławeczce nad Brdą, gdzie – zastygłe w kamiennej rzeźbie – stoją trzy bydgoskie gracje. Spogląda na spichrze, most i „Przechodzącego przez rzekę”. Podoba jej się miasto. Potem powoli wstaje, podchodzi do swojej wiernej rzeki i cichutko nuci pieśń przywołującą wspomnienia dawnych wydarzeń. ♦



O MISTRZU TWARDOWSKIM W BYDGOSZCZY

Wielką sławę zdobył w całej Rzeczypospolitej, a nawet poza jej granicami, mistrz czarnej magii – imię pan Twardowski. I trudno się temu dziwić, bo jego sztuczki wprawiały ludzi w osłupienie. Potrafił na przykład żołnierza zamienić w zająca, albo z głowy pewnego szewca wycisnąć pół beczki mocnego trunku. Ludzie powiadali, że wezwał go do siebie sam król Zygmunt August i prosił, by Mistrz wywołał ducha ukochanej żony Barbary, która kilka lat wcześniej w strasznych męczarniach opuściła ziemski padół. I ponoć Twardowski tego dokonał!

– Pewnikiem duszę diabłu sprzedał – powtarzano wszędzie.

Ale że nadludzka moc posiadał, gdziekolwiek się pojawił, witały go tłumy. Bo czy jest na ziemi choćby jeden człowiek, którego jakieś zmartwienie nie trapi? A Mistrz Twardowski każdej trosce zaradzi. Nic więc dziwnego, że kiedy pewnego wiosennego dnia 1560 roku w grodzie bydgoskim gruchnęła wieść, że Mistrz Twardowski przybywa, wielkie się zrobiło poruszenie. Zastanawiano się, jak wizyta tego wielkiego czarnoksiężnika ma wyglądać. Czy każdy bydgoszczanin stanie przed jego obliczem, czy sprawy, którymi Mistrz miałby się zająć, należy spisać na papierze?

– Ale przecież tylu w naszym grodzie niepiśmiennych, ja także – biadolili zdun Zbych.

– Słuchajcie ludziska – odezwał się szewc. – Gdym jeszcze czeladnikiem był i w Kaliszu sztukę szewską doskonalił, do miasta onego również imię Twardowski przybył. Miał



on u swego boku takie jakby diablątka, Węgliszka i Smółkę. Oni to wszystkie spisane na papierze troski zbierali, a potem Mistrzowi przedkładali.

Zaczęto więc gorączkowo poszukiwać pisarzy, których sakiewki za czynione usługi dostały pokaźne „brzuski”. Gdy burmistrz obwieścił, że Twardowski jest tuż, tuż, miejski rynek zaległy niezliczone tłumy. Najpierw od strony ulicy Mostowej pojawiły się dwie dość dziwaczne istoty. Przez tłum przeszedł szept, że to Węgliszek i Smółka. I rzeczywiście, to byli oni. Pomocnicy Twardowskiego sprawnie przeciskali się między ludźmi.

– Czy będzie można z Mistrzem spotkać się osobiście? – spytał nieśmiało jakiś drobny człowieczek.

– Osobiście spotkać się z Mistrzem może burmistrz, czyli ja. – Głos mówiącego był tubalny, a trzymany w dłoni łańcuch, symbol władzy nad miastem, czynił go jeszcze bardziej dostojnym.

Jednakże Węgliszek spojrzał życzliwym okiem na człowieka zadającego pytanie i zapewnił, że jego pan zaprosi na osobistą audiencję kilkoro mieszkańców grodu, tych niezamożnych, bo bardzo nie lubi – tu znacząco spojrzał na burmistrza – gdy ktoś, z racji sprawowanego urzędu, nadmiernie zadziera nosa.

Wreszcie zjawił się on. Siedział na kogucie o złotym dziobie, ubrany w kontusz przepasany wybijanym cekinami pasem. Uśmiechał się szeroko do bydgoszczan.

– Witajcie, witajcie! Zaraz zaradzę waszym troskom, ale najpierw muszę coś przekąsić.

Gdy tylko znalazł się w stojącej na rynku karczmie, jej właściciel, wykorzystując fakt, że gości u siebie niezwykle człowieka, podając mu najsmakowitsze jadlo, jednocześnie biadolili:

– Od lat staram się u władz miasta o pozwolenie na powiększenie mojego szynku i nie w tej sprawie nie mogę wskórać.

– Nie przejmuj się – pocieszył go Mistrz, ocierając rękawem ściekający po brodzie tłuszcz z wyśmienitej pieczeni. – Ja ci wystawię odpowiedni glejt.

Zachwycony karczmarz podał Twardowskiemu papier, pióro i inkaust. Gość sporządził odpowiedni dokument, po czym pożegnał gospodarza i udał się na rynek.

– Pokaż, Węgliszku, jakie smutki trapią tych dobrych ludzi? – Diabełek podał mu cały stos karteczek. – Co my tu mamy? „Ja kocham Józka, a on mnie nie. Hanka”. No to już kocha! Dalej: „Moja sąsiadka powinna mieć wszystkiego dwa razy mniej niż ma, bo jej się to, co ma, wcale nie należy! – Grzechu”. Tę kartkę Mistrz z obrzydzeniem odrzucił.

– Fuj, cóż to za paskudny donos – westchnął. Mijały godziny, a Twardowski czytał i czytał. Wreszcie klasnąwszy w ręce, zawołał:

– Węgliszku! – Zawsze wolał go od Smolki. – Może teraz przyjmę kogoś osobiście?

– O, tak – ucieszył się pomocnik. – Poznałem takiego człowieczka, który wzbudził mą sympatię – przywołam go zaraz.

I wkrótce zjawił się ów skromny człeczyna, który na rynku zamienił z Węgliszkiem kilka słów.

– Z jaką sprawą przybywasz?

– Panie – zaczął nieśmiało przybysz. – Byłem ja kiedyś bogaty. Niestety, w wyniku złych życiowych wyborów straciłem cały majątek. Czy jest jakiś sposób na jego odzyskanie?

– Tak – odrzekł z całą mocą zapytany. – Czyń wszystko według moich wskazówek: przed północą idź do lasu, mając w kieszeni dziesięć jednogroszów. Znajdź tam starą chatę, wejdź do niej. Usiądź na zydelku i do pierwszego piania koguta licz grosze: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, a potem: dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Pamiętaj, złe moce z Lucyferem na czele, będą cię kusić, ale ty nie przerywaj czynności. Jeśli zrobisz wszystko tak, jak ci każę, to majątek do ciebie powróci.

Uradowany człowieczek serdecznie podziękował Mistrzowi, tym bardziej, że wyznaczone przez niego zadanie wydawało mu się łatwe. Tuż przed północą poszedł do lasu, odnalazł chatę, zasiadł w niej na niezbyt wygodnym stołeczku i zaczął liczyć, wyciągnięte z kieszeni grosze: jeden, dwa, trzy... Mijały godziny. Nagle ujrzał stojącego na progu Twardowskiego. Zdumiał się niezmiernie.

– I jak tam, liczysz? – spytał przybyły.

– Ano liczę! – brzmiała odpowiedź.

– A nie pomyliłeś się?

– Nie.

– No to licz dalej!

I już Twardowskiego nie było. Człowieczek tymczasem chciał kontynuować liczenie, gdy nagle uświadomił sobie, że nie pamięta, na której liczbie skończył. I już sobie nie przypominał. Majątku nie odzyskał. Został w klasztorze karmelitów furtianem, to znaczy, że furtę klasztorną otwierał i zamykał. Mistrz Twardowski, w ciągu swojej trzy-

tygodniowej obecności w grodzie nad Brdą, niejednego dokonał. Burmistrz poprosił go, aby Mistrz ujął mu jakieś 20, a może 30 latek...

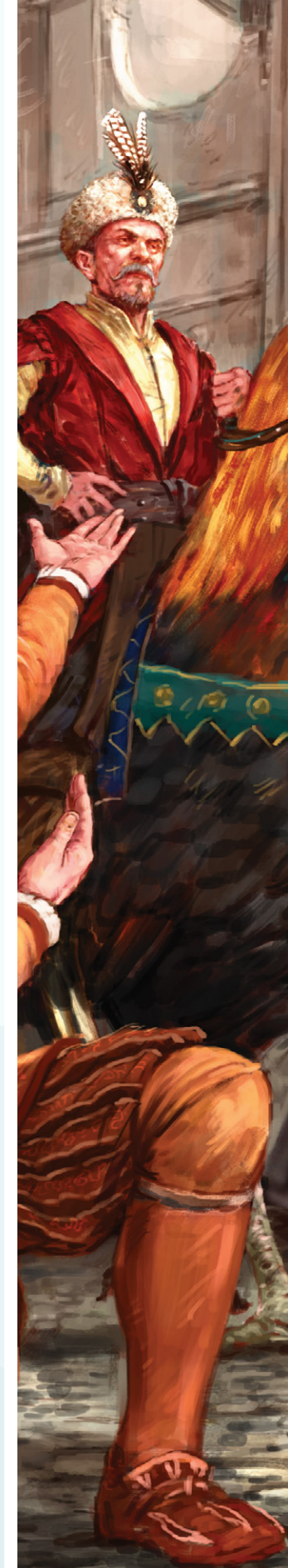
– Mam piękną i młodą żonę – tłumaczył. – Spogląda ona czasem na mnie tak, jakby ojca miała przed sobą!

Życzenie to dla sławnego czarnoksiężnika było drobiazgiem. Trzask-prask i zniknęły zmarszczki z twarzy włodarza miasta. Na niedawno zupełnie łysej głowie wyrosła gęsta, czarna czupryna. Ale burmistrzowa nie rozpoznała swojego męża. Do domu wpuścić go nie chciała i chociaż niektórzy mówili potem, że ostatecznie dała wiarę w przemianę, jednak chyba nie do końca.

Niezbyt szczęśliwie na wstawiennictwie Mistrza wyszedł, wspomniany wcześniej, karczmarz. Owszem, mając odpowiedni dokument, rozbudował swoją karcznię, ale gdy przybył ksiądz, by ją poświęcić, kapka święconej wody padła na ów glejt, co wywołało pożar. Nowa część szynku spłonęła, a stara pozostała i odtąd Pod Zgorzelcem ją nazywano. Po dziś dzień w murach tych rozbrzmiewają wesołe głosy gości w restauracji pod zmienioną już nazwą Karramba.

A co stało się z Twardowskim? Gdy przez nieuwagę swoją znalazł się kiedyś w podbydgoskiej karczmie Rzym, porwał go stamtąd Lucyfer. Bronił się dzielnie, jednak diabeł go wyciągnął przez komin i do piekła chciał porwać. Twardowski zaczął wówczas rozpaczliwie wzywać na pomoc Matkę Boską. Najświętsza Panienka ulitowała się nad grzesznikiem, wyrwała z diabelskich łap, ale do raju wpuścić nie chciała, mówiąc:

– Na niebo nie zasłużyłeś, bo miałeś konszachty z mocami nieczystymi. Twoim domem stanie się... księżyc. – I tam go zesłała. ♦





O WIATRAKU W HERBIE GMINY BYTOŃ

Posłuchajcie o wiatraku w gminie Bytów. Chciałoby się powiedzieć, że został zbudowany w XVIII wieku, ale wiatraka się nie buduje. Wiatrak zostaje powołany, bierze początek. Budować można dom, stodołę, oborę, to, co stoi nieruchomo. Wiatrak porusza się, chodzi, pracuje, wydaje dźwięki, mówi, gra, muzykuje, zawodzi, niedomaża, choruje, gniewa się, odpoczywa lub śpi. Wiatrak żyje i czuje. Jest jak człowiek i tak jak nie ma takiego samego człowieka, tak nie ma takiego samego wiatraka. Każdy wiatrak ma swój charakter – jedyny i niepowtarzalny. Ojcem wiatraka jest cieśla i on zawsze potwierdza to swoim znakiem. Wiatrak odchodzi lub ginie, a tam gdzie pracował, pozostaje jego mogiła.

W pewnym wiatraku pierwszym młynarzem był Wojciech. Drugiego tak solidnego i pracowitego człowieka daleko by szukać. I byłby pewnie wzorem do naśladowania, gdyby nie pewien nieszczęśliwy wypadek. Wojciech przyszedł na świat z jedną nogą krótszą. Oj, jak matka jego rozpacziała:

– Biedne dziecko moje, trudne życie mieć będzie, ludzie bez serca, śmiać się z niego będą! O, biedny Wojtuś mój, biedny!

Miała matka rację. Wojtek łatwo nie miał. Jego niepełnosprawności nie rozumiano. A najgorzej było, gdy się w Kaście zakochał. Chodził do niej, kwiaty zbierał, podarki znosił.



– Kaśka, spójrz chociaż na mnie – prosił.

Ale ona harda była. Zawsze to samo słyszał:

– Kulawca takiego jak ty nie chcę! Co ludzie powiedzą! Wiem, żeś dobry chłop, ale jak ja się z tobą pokażę? Idź i więcej się tu nie pokazuj!

Widzicie, takie to były czasy, że wygląd bardziej liczył się od zaradności i dobrego serca. „Może zmieni się, jak zobaczy, że stały w uczuciach” – myślał zasmucony Wojtek. Chodził więc i chodził pod dom Kaśki.

– Prędeż mnie ziemia pochłonie, niżbym ja twoją żonę miała zostać! – wykrzyknęła Kaśka podczas kolejnych oświadczeń. – Nigdy to nie nastąpi! Rozumiesz, nigdy!

Tym razem załamał się biedak. Wojtek wybiegł z chaty i zaczął bezmyślnie iść przed siebie. Kilkaset metrów dalej padł na ziemię i umarł. Serce pękło mu z rozpacz.

Pewnego dnia we wsi Bytoń pojawił się biedny, wychudzony młodzieniec o imieniu Dobromir. Gołowas chodził od chałupy do chałupy, szukając dla siebie zajęcia. Nikt jednak nie chciał go zatrudnić. Zmierzch nadchodził, a on nadal nie miał gdzie się schronić. Wtem zobaczył opuszczony wiatrak. „O, tu przenocuje do jutra, a potem obacze” – pomyślał. Nic nie wiedział o złej sławie opuszczonego młyna. Wszedł do środka i na wiązce słomy zasnął. Nagle obudził go huk pracujących kół młyńskich. Otwiera oczy i widzi kulawego młynarza, mielącego ziarno.

– Pomóż mi chłopcze, bo roboty jest sporo. Piekarz czeka na mąkę, a ja, jak widzisz, jestem sam – oznajmił spokojnie nieznajomy.

Na te słowa Dobromir zerwał się na równe nogi i ochoczo zabrał do pracy. Podawał, meł... jeden, dwa, trzy worki. Praca była trudna. Uwijał się jak fryga, a widział, że i tak nie potrafi sprostać pracowitemu młynarzowi.

– Skończyliśmy – oznajmił wreszcie mężczyzna. Przed nimi stały wszystkie worki napełnione śnieżnobiałą mąką.

– Załadujmy je na wóz piekarza. Widzę, że już stoi pod młynem – powiedział.

Po skończonej pracy młynarz przyjął zapłatę od piekarza i wrócił do Dobromira z otrzymanym trzosem.

– Oto nasza zapłata. Podziel chłopcze pieniądze równo, a ja tymczasem idę umyć się w strumieniu – polecił.

Dobromir wysypał więc srebrne monety na kamień młyński i zaczął liczyć.

– Trzynaście – szepnął do siebie. – Jak ja mam to podzielić?

„Może schowam do kieszeni tę trzynastą, nijak niepodzielną monetę... Nie, nie mogę go oszukać. Młynarz pracował lepiej i ciężiej ode mnie. Odłożę monetę na jego kupkę” – rozważał w myślach.

W tym samym momencie usłyszał głos stojącego za nim młynarza:

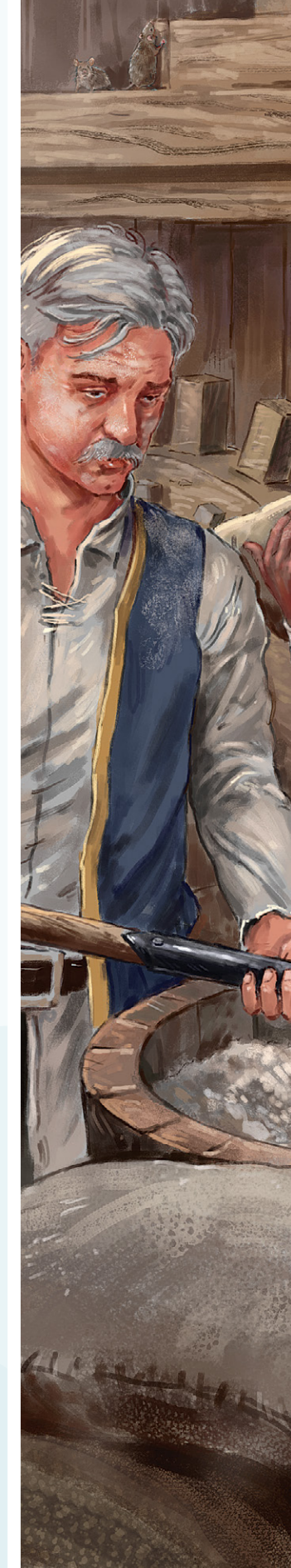
– Jesteś uczciwy, więc w nagrodę dostaniesz wszystko, całą zapłatę.

Wtem, pianie koguta obudziło Dobromira. „Szkoda, że to tylko sen był. Może i bym się nadał ma młynarza” – pomyślał, przecierając oczy. Podniósł swój wędrowny węzełek, by iść dalej, aż tu nagle... Co to? Pod nogami leżała skórzana sakiewka, a w niej... trzynaście monet.

– Nie do wiary! – wykrzyknął uradowany.

Jeszcze tego samego dnia kupił wiatrak, w którym nocował, i przez wiele lat meł w nim mąkę okolicznym mieszkańcom. Był uczciwy i dobry. Mając w pamięci swoją niedawną niedolę, rozdawał mąkę biednym i potrzebującym. Nigdy nikogo nie oszukał. Nigdy nie targował się o zapłatę. Nigdy nikomu nie odmówił pomocy. Wieść o wyjątkowym młynarzu rozeszła się po okolicy. Chłopi ze swoim ziarnem zjeżdżali z całego powiatu, a Bytoń rozwijał się i bogacił. Dobrobyt zawitał do wsi, która stała się siedzibą gminy, a Dobromir został wójtem. Rządził tak jak pracował: uczciwie i mądrze, nikogo nie krzywdząc. W Bytoniu powstały dwie cegielnie, destylarnia, browar, a w okolicy kilka kopalni torfu.

Jednak po śmierci Dobromira okoliczni gospodarze zazdrościli sobie bogatych sołectw i podzielili je między siebie. Dopiero po kilku dekadach przywrócono gminę Bytoń, która tak jak dawniej, wzorem Dobromira, pełna jest pracowitych, uczciwych i dobrych ludzi. Młyn koźlak nadal stoi i choć wiele lat już upłynęło, duch Wojciecha w młynie czasami się pojawia. Co grzeczniejszym turystom, których w ostatnich latach nie brakuje, ukazuje się, aby spełnić ich najskrytsze marzenia. A wiatrak koźlak w herbie gminy przypomina wszystkim Dobromira i jego szlachetne serce. ♦





JAK KRÓL JAGIEŁŁO W CIECHOCINIE ODPOCZYWAŁ

Pamiętnego 15 lipca 1410 roku wojska Jagiełły sześć godzin walczyły w piekielnym skwarze. Rycerze domagali się odpoczynku. Król, widząc, że nad polem bitwy zapada zmierzch, a wraz z nim nadchodzi burza, rozkazał:

– Wojsko, odwrót! Na Malbork trzeba ruszać! Skończymy z Krzyżakami, to odpoczniecie.

Po drodze na Malbork armia zdobywała lub przejmowała poddane miasta i zamki.

Uzupełniała też zapasy. Czekają ich bowiem jeszcze dwumiesięczne oblężenie miasta. Kiedy we wrześniu okazało się, że Witold swoje wojska spod twierdzy wycofuje, Jagielle nie zostało nic innego, jak zrobić to samo.

Gdy tak wracali znużeni długą walką, poddawali się coraz bardziej zmęczeniu.

– Królu miłościwy, zatrzymajmy się gdzieś na dłużej – prosił Mikołaj. – Pozostali dopytują, czy długo jeszcze będą maszerować? Nie wiemy, co dalej planujesz?

– Szukaj zatem miejsca dogodnego. A jak znajdziesz, dawaj znak, to popas zrobimy.

Szli tak w milczeniu, gdy ich oczom ukazał się prosty, murowany dwór obronny, zbudowany na planie zbliżonym do kwadratu, trzykondygnacyjny z wieżyczką. Postanowiono zrobić przystanek. Teren rozległy, dwór przyzwoity, duży, więc pomieścić mógł wszystkich. Dobrze zaopatrzone spiżarnie były wybawieniem dla spragnionych i głodnych.



– Co to za miejsce? – jął dopytywać Mściwoj. Najmłodszy był ze wszystkich, trochę raptowny, ale do bitki skory. Cudem z życiem uszedł, ale pokonał kilku wrogów.

– Młody ty, nie wiesz jeszcze. Przecie to Ciechocin! Służył niegdyś książętom mazowieckim do ochrony granic księstwa – objaśniał mu starszy wiekiem i silniejszy postawą Dobromir. – Potem w ręce biskupów kujawskich trafił, a po nich do zakonu krzyżackiego. Niedawno wrócił w polskie posiadanie. – Rozmowy skończyć nie zdążyli, jak zawołał ich Leszko:

– Ej, chłopcy! Karczma tu ponoć jest niedaleko! Chodźta, obaczymy, czy jakiegoś napitku beczkę lub dwie byśmy nie dostali.

– Leszko, ty masz głowę! – rzekł Dobromir. – Weźmy jeszcze paru chłopów i pójdziem.

Karczma na skraju Elgiszewa stała, z Ciehocina niecały kilometr drogi. Dotarli.

Wehoda. We wnętrzu jakaś dziwna atmosfera: przy ławach kilku typów zarośniętych śmieje się do rozpuku i piwo żłopie. Dębowe to jakieś chłopcy!

Karczmarz wita ich od wejścia:

– O, panowie rycerze widzę! Zapraszam! Z armii Jagiełły zapewne jesteście? A gdzie stajonujecie? Gdzieś niedaleko chyba?

– Na dworze w Ciehocinie żeśmy się zatrzymali i beczkę piwa byśmy potrzebowali – rzecze Zbyszko.

– Piwa ci mam pod dostatkiem! Kolejka dla was na koszt karczmy! A i beczkę dla was zaraz znajdziemy.

Nastawia karczmarz ucha i jakby szeptem dalej dopytuje:

– A tam na polu bitwy to łupów pewnie dużo, heć? Zbroje, sprzęt, monety, złoto!

– Karczmarzu, łupy, jak to po bitwie – odpowiedział Dobromir. – A co z tym piwem?

– Zaraz wytoczę. Weźcie dwie od razu – taniej dam.

Zapłacili i wracają uradowani.

– Ale uczta będzie! – cieszy się Mściwoj.

– Ano, będzie, będzie – potwierdza Leszko.

Toczyli więc wielkie beczki, ostrożnie i pomału. Mściwoj z Dobromirem, Leszko z Raciborem. Uradowani rycerze wrócili do swoich. Chętnych do napitku kolejka długa stała. Rozsiedli się we dworze ciehocinińskim: król i co ważniejsi na piętrze, w sali reprezentacyjnej, kolejni w dolnych pomieszczeniach z małymi oknami strzelniczymi. A kto miejsca nie znalazł – na zewnątrz, na trawie zasiadł.

Gdy tak pili i śpiewali... nagle szelest słyhać. Dobromir z zaskoczenia podskoczył:

– Ej! Mściwoju, słyszałeś?

– Ech, zdaje ci się, pijany żeś jak szpadel – powiedział spokojnie Mściwoj.

– Sam jak kłoda zaległeś. Idę sprawdzić.

Zniknął na chwilę, po czym krzyki słyhać:

– Atakują nas! Gonić ich! Złodzieje!

W desperackiej ucieczce rabusie pogubili część worów z łupami wojennymi, które były ich celem. Gdy rycerze ochłonęli, odezwał się Racibor:

– Nie wiem, czy mnie wzrok nie myli, ale ja żem chyba karczmarza widział.

– A ja tych zbirów, co u niego przy ławach siedzieli, rozpoznałem – dodał Mściwoj. – Takie same facjaty mieli kwadratowe.

– I ja myślę, że to oni! I ja! – zaczęły pojawiać się kolejne głosy.

Samym świtem udali się rycerze do chłopca, co najbliżej mieszkał, wypytać o oprychów.

– Panowie – wita ich w progu Maciej, zdejmując czapkę. – Od nas to nikt do karczmy w Elgiszewie nie zagłada. Ale wy nietutejsi, nie wiecie. Karczma rabusiów ją nazywają. Poza przyjezdnyimi jej główna klientela to złoczyńcy grasujący w okolicznych lasach. Ich pewnie widzieliście. W tej karczynie przy piwie i miodzie planują kolejne napady lub przechwalają się swymi łupami. Nieraz słyzy się, że karczmarz w znowie z rabusiami gości swoich okradł, a często też i otruł.

Gdy rycerze taką wieść do Jagiełły zanieśli, rozeźlił się strasznie i z zawziętością krzyknął:

– Praktyki karczmarzy i rabusiów ukróćcie natychmiast! Gnaty połamcie, karcznię spalcie! Niech ślad po nich nie zostanie!

Zebrali się więc rycerze i karcznię z wieczora podpalili, a wszystkich złoczyńców w pień wycieli. Jagiełło wezwał jeszcze raz swoje rycerstwo i wydał ostatni rozkaz:

– Z Krzyżakami na razie więcej nie zwojujemy! Ruszajcie do domów!

Tym sposobem skończył się kolejny etap wojny Polski i Litwy z Zakonem Krzyżackim. W dzisiejszym krajobrazie tych okolic karczmy już nie ma. I wyobraźcie sobie, że w miejscu gdzie stała, zostało tylko trochę kamieni. Żadne drzewo nie chce tam rosnać, choć wokół jest gęsty las. ♦



O GLINIANYM KUBECZKU Z CHEŁMŹY

Jak ja nienawidzę tego miasta! – Takie słowa powtarzał codziennie jeden z budowniczych katedralnej wieży w Chełmży. I choć nie zawsze w czystym brzmieniu docierały one do przechodzących ulicą chełmżan, wszyscy dobrze je znali. Wiedziano też, jakie są powody wściekłości budowniczego.

Zaczął się wszystko od wydarzeń, jakie miały miejsce w 1688 roku w Toruniu, dokąd na procesję Bożego Ciała przybył biskup chełmżyński Jan Kazimierz Opaliński. Wtedy, mieszkający w tym mieście luteranie napadli na biskupa orszak. Skandal był niebywały, rozprawiano o nim w całej Rzeczypospolitej, a sprawa dotarła nawet do króla Jana III Sobieskiego. Udało się jednak osiągnąć porozumienie. Władze Torunia zadeklarowały, że przysła do Chełmży kilku murarzy, którzy dokończą budowę drugiej katedralnej wieży. Budowniczych wybrano losowo spośród tych, którzy nie mieli rodziny. I w taki oto sposób znalazł się w Chełmży ów Zbych, który już czwarty rok patrzył z góry na znienawidzone miasto.

Nie miał żony, ale miał ukochaną Gildę, z którą mógł spotykać się tylko raz w tygodniu, w niedzielę. Przez wszystkie dni tęsknił do niej okrutnie, a w ostatnim czasie doszło jeszcze coś gorszego – wyczuł, że Gilda już nie darzy go takim uczuciem, jak dawniej. Kiedy dwie niedziele temu w Toruniu ktoś szepnął mu, że jego ukochana na jakiegoś



innego oczy obraca... Wszystko przez tę przeklętą robotę, która przykuła go do tego miejsca – myślał budowniczy wieży.

Był piękny, majowy dzień 1692 roku. Żar lał się z nieba, a pracujący na wysokościach Zbych nie mógł znieść widoku zadowolonych, kręcących się poniżej ludzi. Ujął w dłonie swój gliniany kubeczek, z którego popijał wodę, i spoglądając w dół, syczał:

– Oby was wszystkich... – I nagle złośliwy uśmiezek pojawił się na jego twarzy. Obrócił jeszcze raz w swoich dłoniach opróżnione naczynie i wycedził: – Niech wieża ta runie i zamieni się w gruzy tak, jak za chwilę w skorupy zamieni się mój kubek!

Podniósł naczynie do góry, cisnął nim z całej siły, ale nie usłyszał charakterystycznego „brzdęk”. Spojrzał w dół i zobaczył pochylającego się nad czymś księdza. Gdy duchowny wyprostował się, zdumiony Zbych ujrzał w jego rękach kubeczek, który nie miał nawet utraconego uszka.

Wieść o niezwykłym wydarzeniu rozeszła się po całym mieście. Budowniczy Zbych był nim również bardzo poruszony. Przestał zlorzeczyć miastu i, gdy już swoją pracę zakończył, często przybywał z Torunia do chełmżyńskiej katedry. Ba, wziął w niej ślub z ukochaną Gildą, o której rozpowszechniane informacje okazały się fałszywe. Ludzie zaczęli wierzyć, że katedra tak długo będzie stała, dopóki w jej murach pozostanie gliniany kubeczek.

Mijały lata, mijały wieki i mimo zmiennych, często tragicznych dziejów miasta, katedra trwała. Przeżyła również drugą wojnę światową i wydawało się, że już żadna siła jej nie zniszczy. Ale pewnego wiosennego dnia pojawiła się w świątyni grupa turystów. Jedną z pań, podczas opowieści o niezwykłym kubeczku, niefrasobliwie ujęła go w dłonie i po chwili zgromadzeni usłyszeli brzdęk uderzającego o marmurową posadzkę naczynia, które rozleciało się na drobne kawałeczki.

Trzy miesiące po tym wydarzeniu, podczas pewnej sierpniowej nocy, nad miastem rozszalała się straszliwa burza, w czasie której piorun trafił w wieżę i spowodował pożar. Znaczna część świątyni spłonęła. Pracowici i wierni swym tradycjom chełmżanie wraz z proboszczem odbudowali tak bardzo drogą im świątynię. A co się stało z kubeczkiem? Pieczołowicie go sklejonu i schowano w sejfie katedralnego skarbcza, by uchronić przed czyimiś niezdarnymi rękoma. Chociaż został zamknięty pod kluczem, wiernie czuwa nad miastem. ♦



O NAWOJCE

Po dziś dzień w Dobrzyniu nad Wisłą krąży wieść bardzo stara, pochodzi ponoś jeszcze z 1407 roku. Opowiada ona o córce burmistrza – Nawojce, pierwszej polskiej studentce.

Nawojka była mądrą i skromną dziewczynką. Od zawsze miała jedną pasję. Widząc ojca, pochylonego nad księgami, od najmłodszych już lat dopytywała: – A co to? Tatku, co robisz? Do czego to służy?

– To są księgi, kochana córeczko. Jak będziesz starsza, nauczę cię czytać – odpowiadał ojciec.

Ale Nawojka nie dawała za wygraną. Iskierki zapalały się w jej pytających oczkach i zaczynała błagać: – Teraz, tatku! Proszę! Proszę!

I tak ojciec uczył córkę liter, potem czytania, pisania i łaciny. A jej ciągle było mało. Nawojka rosła i rosła, aż wyrosła na piękną dziewczynę. Jej białe niczym płatki jaśminu lica przyciągały spojrzenia kawalerów, a gruby, opadający na ramiona złoty warkocz był przedmiotem zazdrości niejednej panny z sąsiedztwa. Ale najpiękniejsze Nawojka miała oczy – wielkie, zielone i głębokie jak największe z mórz. A oczy te cały czas wpatrzone były w księgi.

– Nawojka, idziesz z nami nad rzekę? – prosiły ją dziewczęta. – A wieczorem na tańce? – dopytywały.



Odpowiedź zawsze była taka sama: „Nie, teraz nie mam ochoty, wolę jeszcze poczytać”.
Również chłopcy nieśmiało zaglądali za próg domostwa, ale Nawojka wyjść do nich zamiaru nie miała. Wszyscy słyszeli: „Nie dziś, może kiedy indziej”.

Martwić zaczął się i burmistrz:

– Niepotrzebnie córkę uczyłem. Do pracy trzeba było ją przysposabiać, a nie księgi i księgi. O, ja nierozumny! W dodatku na mieście gadać zaczęli!

– Widziałaś burmistrzównę? Bogna mówi, że tylko w księgach siedzi. A jakże! – powtarzały baby na targu. – Co jej z tego przyjdzie?! Oj, męża ona nie znajdzie, nie znajdzie! A jeszcze to jakie lichy w niej siedzi... – dodawały. – Do proboszcza ją zaprowadzić. Niech modły odprawi albo wygnać potajemnie – od razu!

Cóż począć miał burmistrz. Córkę kochał, jednak ludzkiemu gadaniu zaradzić musiał. Wezwał Nawojkę i rzekł:

– Cóрко, poślubisz Dobrowoja. Ojciec jego majątny kupiec. Trzy kamienice ma, a i ja ci posag odpowiedni sprawię. Będzie wam dobrze.

– Nie, tatko, proszę! Nie chcę wychodzić za męża, chcę się uczyć! – próbowała go przekonać. Jednak ojciec był stanowczy:

– Już postanowione. To dla twojego dobra.

Nie słuchał już wypowiedzianych coraz ciszej słów córki:

– Proszę, proszę, chcę się jeszcze uczyć.

Ale że Nawojka mądrą dziewczyną była, w głowie miała już plan. „Nie, nie zrobię tego” – dało się słyszeć, gdy oddalała się z domu. Opuściła chatę potajemnie w przeddzień ślubu. Pod drzwiami leżał ścięty złoty warkocz. Zniknęło też kilka męskich ubrań. Noc była spokojna. Jasne gwiazdy i odgłosy świerszczy odprowadzały ją w drodze do Krakowa – ówczesnej stolicy Polski.

Podróż nie była łatwa, jednak życzliwość ludzka sprawiła, że w ciągu kilku dni – to wozem, to pieszo – dotarła pod drzwi Akademii Krakowskiej.

– Zwią mnie Andrzej – odpowiedziała zapytana o godność.

Przyjęta w poczet żaków studiowała pilnie przez dwa lata.

– Baccie, jaki on pilny, jaki sumienny i dokładny – powtarzali profesorowie. – Z niego przykład bierzcie!

Nawojka zwana Andrzejem wzorowo zdała egzamin końcowy i osiągnęła cel swoich marzeń – bakalarską togę. Podekscytowana spacerowała ulicami Krakowa. Z radości

niemal podskakiwała, a w głowie kłębiła się jedna myśl: „Udało się, udało! Teraz będę naukowcem i zostanę w Akademii, a może i pojedę za granicę – do Padwy?”.

Dopiero gdy zobaczyła grupę dzieci biegnących z wiadrami, uświadomiła sobie, że dziś lany poniedziałek. Jeden z chłopców nagle potknął się o wystający kamień i cała woda z wiadra poleciała wprost na nią.

– Ty, ty... jesssteś dzieeewczyną?! – wycedził zdziwiony przez zęby, kiedy woda spływająca po jej ubraniu odkrywała wyraźne kobiece kształty. – To dziewczyna! – krzyknął znów zdziwiony i zaskoczony.

Zbiegła się gawiedź.

– To dziewczyna! Ludzie, patrzcie! Czy ona nie studiuje w Akademii? – ktoś załaił.

– Tak. Widziałem ją tam – odpowiedział męski głos. – Kobiecie nie wolno. Musi być opętana! Uważajcie, ludzie! Do biskupa z nią! Przed sąd! Różgami zasiekać! Spalić! Spławić w Wiśle! – wrzeszczał coraz to większy tłum gapiów.

Zrobił się taki harmider, że z trudem można było już oddzielić pojedyncze głosy. Oburzony tłum zawlókł Nawojkę do pałacu biskupa na sąd.

– Na stos z nią! Niech płonie! To czarownica! – oskarżali.

– Ale ja nic złego nie zrobiłam. Naukę kocham bardziej niż pięknych młodzieńców. Bardziej niż własne dobre imię, a nawet bardziej niż życie. Czy niewiasta nie może być medykiem, spieszącym z pomocą biednym albo wynalazcą czy uczonym? Dowiedziałam, że umysł mam niemniej pojętny niż niejeden mężczyzna – tłumaczyła się dziewczyna. – Jeśli uważacie inaczej – spalcie mnie.

– Nie słuchać jej. Zaraz nas wszystkich zbałamuci! – krzyknął brodac z widłami.

– Hola, hola, pomiarkujcie! – rzekł biskup. – Dziewczyna młoda jeszcze. Nie bezbożnego nie wyrzekła. Prawi do rzeczy. Na czarownicę mi nie wygląda. Naradzimy się – zaproponował biskup.

Rozprawiali między sobą inkwizytorzy, dokumenty sprawdzali. Wyniki nauk i akademickie osiągnięcia dziewczyny szczegółowo studiowali. Nawojka w tym czasie w celi zimnej i wilgotnej siedziała, oczekując na wyrok.

– Cóżem ja zrobiła? Przepisy zламаłam, ale czy słuszne są nakazy, które tylko młodzieńcom pozwalają zgłębiać tajniki nauk? Dlaczego niewiasty – jak ja – mają tylko wychodzić za mąż i za dużo nie mędrkować?! O, biedny mój tatko i matula! Nie szkoda mi życia, jednak gdy dziś jeszcze umrę, z nimi pożegnać się nie zdążę – szlochała po cichu.

Wtem usłyszała wyrok. Doniosłym i powolnym głosem główny inkwizytor rzekł:

– Nie zginie ta dziewczyna, jednak karę stosowną do występku ponieść musi. Resztę życia spędzi w klasztorze, gdzie każdego dnia żałować ma swego postępowania.

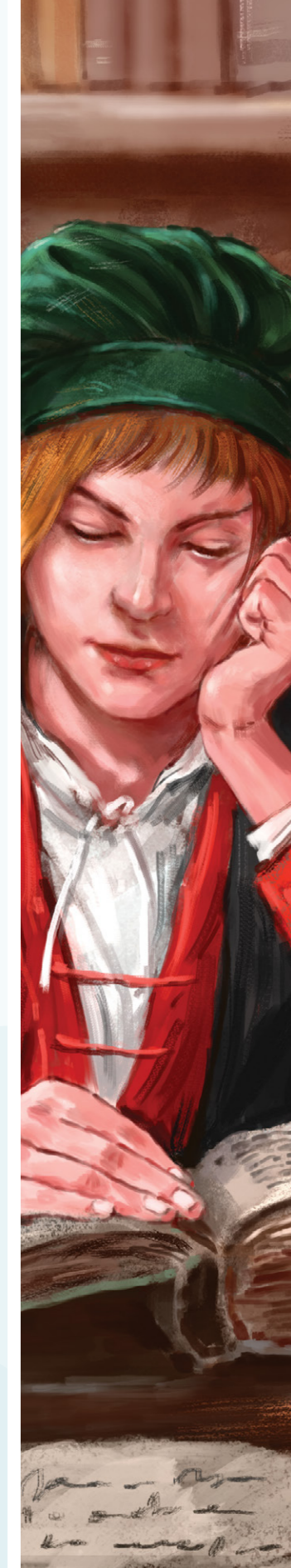
Ucieszyła się Nawojka, licząc, że w ten sposób choć książki klasztorne czytać będzie mogła. Z biegiem lat radość jednak malała. Nawojka co rano powtarzała:

– Ja grzeszna Nawojka, przepraszam swego Stwórcę, że ośmieliłam się uczyć.

To samo robiła w południe i wieczorem. Nawet w nocy przez sen dało się słyszeć niewyraźne:

– Ja grzesz... hrrrr Nawoj... hrrrr, przep... hrrrr... – powtarzała to zdanie tak często, że w końcu uwierzyła w grzech, jakiego się nie dopuściła. Słowa te, wraz z innymi wyrażającymi skruchę, pozwolono jej spisać. Powstało w ten sposób arcydzieło o nazwie *Modliteżnik Nawojki*.

Mimo że pierwsza w Polsce studentka – Nawojka – za chęć do nauki poniosła wysoką karę, pozostała symbolem dążenia do wiedzy, odwagi, mądrości, a także pionierką walki o równouprawnienie. ♦





GNIEWKOWO

O MIECZU „BONUM ET FELICITATEM”

Działo się to dawno temu. Jak dawno? Nikt dokładnie nie pamięta. Nikt wówczas nie myślał, że piękne zalesione tereny będą świadkami wielkich wydarzeń, o których pamięć długo nie przeminie. Wszystko zaczęło się, gdy Rzymem rządził cesarz Konstantyn. Wielu kupców przemierzało wówczas szlak zwany bursztynowym. Całe tygodnie podróżowali w trudzie, aby nabyć dobra nieosiągalne w ich rodzinnych stronach. Servius szykował właśnie wozy przed drogą, gdy zauważył zbliżającą się postać:

– Czy oczy mnie nie mylą? Miłościwa pani cesarzowa? Czemu zawdzięczam tak wielki zaszczyt? – zapytał, kłaniając się w pas.

– Tak, to ja – odpowiedziała Helena. – Możesz się wyprostować. Wiele słyszałam o waszych wyprawach i szlaku handlowym, na którym znaleźć można niesłychane dobra. Pragnę dać memu kochanemu synowi piękny i oryginalny kamień, który będzie pochodził z dalekich stron. Osobiście będę ci towarzyszyć w wyprawie za ziemie zwane Cuiavia.

– Ale... to niebezpieczne i to bardzo daleko – zatrwożył się Servius.

– Wszystko będzie dobrze. Bóg będzie nad nami czuwał – uspokoiła go znana z pobożności władczyni. – Poza tym, dla bezpieczeństwa towarzyszyć nam będzie Klaudiusz wraz ze swoją centurią.

Jechali już trzydzieści dni. Mijali ciemne bory, pełne dzikiej zwierzyny, wartkie rzeki i pola usiane barwnymi kwiatami. Ale celu podróży widać nie było. W końcu, gdy słońce lśniącem czerwonym blaskiem dawało znać, że czas rozbić obóz, zauważyli niewielką osadę.



– Patrzcie, tam ludzie mieszkają. Jechać dalej nie możemy, konie zmęczone, a i nam potrzeba odpoczynku. Poprośmy o gościnę – zaproponował Klaudiusz. I zatrzymali się w pięknej krainie, w grodzie niejakiego Wita.

– Goście z daleka do nas przybyli, z wojskiem i obstawą. Obdarzmy ich, czym mamy, niech poznają tutejszą gościnność – nakazał Wit.

Helena, wdzięczna za okazane dobro, pragnęła ofiarować gospodarzowi dar – jak się później okazało – bardzo wyjątkowy.

– Cóż ja mu mogę dać? – pytała Boga pobożna niewiasta. – Majętna jestem, a nic nie mam przy sobie. Klejnoty i złoto zostały w Rzymie. Pomóż mi Panie okazać wdzięczność tym ludziom! Ty wszystko możesz! Doradź, co mam zrobić! – prosiła i z modlitwą na ustach zapadła w sen.

Zobaczyła w nim postać jaśniejącą bardziej niż największy diament. Postawną i piękną, która przemówiła:

– Dobroć goszczących was ludzi nie pójdzie w zapomnienie. Zrób, co ci powiem. Ofiaruj im miecz, który ci zostawię.

„To musiał być anioł, wysłaniec Boży!” – pomyślała po przebudzeniu. Jak wielkie było jej szczęście, gdy obok swego posłania ujrzała piękne ostrze.

Rankiem obóz był już zwinięty, a kupcy i świta szykowali się do dalszej wędrówki.

Helena tymczasem udała się wprost do Wita.

– Dobrze spałaś, pani? Już nas opuszczacie? – przywitał ją z troską.

– Wicie, dobry z ciebie i uczynny władca. Bliźniego szanujesz bardziej niżli siebie. Pragnę ci okazać moją wdzięczność. Nie mam kosztowności, ale przyjmij ten miecz. Sam anioł boży przekazał mi go we śnie. Kto go posiada, otrzyma dar niezwyklej roztropności. Mądrze rozstrzygał będzie sprawy swoich podwładnych, a rządy jego będą pomyślne.

– Zaszczytny to dar, o pani! – Wit był podarunkiem bardzo zaskoczony.

– Mój Bóg widać miłuje ciebie i pragnie cię chronić. Na znak tego przyjmij imię Witosław – oznajmiła cesarzowa.

– W moich prośbach zawsze będziecie mile widziani – zapewniał Wit, żegnając gości.

W grodzie Witosława rzez wiele pokoleń dziadkowie opowiadali tę historię z dumą, a wnuki z wypiekami na twarzach marzyły, że pewnego dnia i ich odwiedzi anioł lub cesarzowa. Ale jest już tak na świecie, że o wszystkim w końcu się zapomina. Zapomniano nawet i tę opowieść.

Minęło niemal tysiąc lat. Na ziemiach polskich wielu już było chrześcijan, wyznających jednego Boga. Jednym z takich ludzi był Władysław – książę na Kujawach – władca dobry i pobożny.

Serce miał czyste, a życie jego przykładem było dla innych. To ze względu na nie nazwano go Białym. Wiele lat Władysław zdobywał wiedzę, kształcił się jako mnich. Ksiąg tak wiele przeczytał, że można by rzec, iż uczonym chce zostać. On tymczasem poznać pragnął dzieje i podania dotyczące swego księstwa. Wielu wówczas chciało królem Polski zostać, równie wielu mówiło, że to Władysław Biały już wkrótce nim będzie.

Pewnego dnia, gdy jak zwykle siedział nad księgami, trafił na fragment mówiący o tajemniczych przybyszach z Rzymu i pozostawionym przez nich darze. „A jeśli to prawda?” – pomyślał zaintrygowany. „Byłoby wspaniale! Muszę to natychmiast sprawdzić!”

I rozpoczął poszukiwania śladów, które mogłyby go doprowadzić do cudownego miecza opieki i pomyślności. W ten sposób dotarł do miejsca zwanego Gniewcov.

– Do młynarza Nitki udaj się, panie – radzili miejscowi chłopci. – Jego młyn widać stąd. Znajdziesz go na wzgórzu, tuż obok potoku Wirdzelewo.

– Poszukuję miecza opatrności, o którym czytałem w dawnych księgach – oznajmił, sądząc, że raczej na niepoczytalnego wyjdzie i nic poza stosami worków i białym kurzem w tym miejscu nie ma szansy odszukać. Jak ogromne było jego zaskoczenie, gdy młynarz bez słowa poprowadził go do piwnicy i pokazał mu skarb.

– Nie do wiary! To on! – krzyknął, padając na kolana.

W skrzyni leżał niebiańsko zdobiony miecz z wygrawerowanym na rękojeści napisem: „*Bonum et felicitatem*”, co znaczy: „Dobro i pomyślność”.

– Mój świętej pamięci dziadunio, zacny był z niego człowiek, znalazł go tam w potoku, gdy koło młyńskie naprawiał – opowiadał młynarz. – Dziwny się już wtedy wydawał, bo on nie a nie zardzewiał nie był, ale cały czas taki czysty i lśniący, jak teraz. Za znak opatrności to uznaliśmy i dziadunio miecz schował.

– Niezwykłe, niezwykle – powtarzał zaskoczony Władysław.

– Najjaśniejszy panie, myśl, co chcesz, ale jak długo ten miecz w Gniewkowie leży, dobrze się tu ludziom wiedzie. W tamtych czasach to mała osada była, a teraz gród wielki otoczony murem mamy! A taki znaczący, że w 1268 roku prawa miejskie mu nadano – chwalił się młynarz.

– Mogę go dostać? – zapytał niepewnie władca.

– Jest twój, panie. Jeśli tylko zabrać go zdołasz – kontynuował Nitka. – Wielu już przed tobą śmiałków kupić go próbowało, ale nikt nie wyszedł z nim poza mury. Dziwna siła drzemie w tym ostrzu. Ponoć tylko prawowity władca ziem, na których jesteśmy, może tym mieczem dysponować i nosić gdziekolwiek zechce.



GOLUB-DOBRZYŃ

O GARNKACH „SZWEDKACH”

Działo się to w czasie potopu szwedzkiego. Wiecie zapewne, że żołdacy Karola Gustawa, rozbestwieni podczas zakończonej siedem lat wcześniej wojny trzydziestoletniej, rzucili się na Polskę jak wygłodniałe zwierzę.

– Lud dziki przybył z za morza – gadano we wsiach. – Mowy ludzkiej nie rozumieją, nie wierzą w Chrystusa Pana i Najświętszą Panią. Panoszą się bezlitośnie, rekwirując chłopom wszystko, co tylko zdołali zebrać lub wyhodować. Łakomi jak mało kto. Biorą wszystko: bydło, skóry, orzechy, miód i grzyby suszone. Wory całe.

– Olaboga! Zima sroga! Bez zapasów do lata my nie dożyjemy! – lamentowały baby. – A jak nie dasz, nie zapłacisz, przyjdzie nakaz egzekucji i w trójnasób tyle wezmą! Albo gorzej – puszcze gotowi podpalić. To nie ludzie, ale wilkołaki jakie!

Oj, narzekali ludzie na rekwizycje i rzeczywiście było na co. Do każdej bowiem wsi, do każdego miasteczka przychodziły listy komendantów z rozkazem dostaw wielkich ilości zboża, chleba, soli, bydła i pieniędzy. A gdy wyczerpano jedne zapasy, żądano drugich, a potem trzecich i czwartych.

– Ciężko, panie bracie, ciężko – mówił czasem chłop do chłopca.

– Ale co począć? Mówią, że oddadzą, kiedy czasy przyjdą lepsze. Ech, kto ich tam wie. Może dożyjemy, bracie – pocieszali się wszyscy.

– Mimo wszystko spróbuję – postanowił Władysław.

Nawet nie wyobrażacie sobie, jak błogie uczucie go ogarnęło, gdy – ku własnemu zdziwieniu – bez problemów przekroczył mury miasta. Radość wielka zapanowała na jego zamku w Nowym Władysławowie – dzisiejszym Inowrocławiu. Wielkie zmiany zaszły, od kiedy Władysław miecz niebiański przy pasie dzierżył. Dobrobyt jego i jego poddanych z dnia na dzień stawał się coraz większy, a wieści o tym, co się stało, rozchodziły się po całej okolicy. Interesy szły dobrze jak nigdy, a wróg żaden nie mógł Władysława pokonać.

– To zasługi tego miecza – powtarzano w podzamczu. – Obietnica dana niegdyś Witosławowi na pewno dotyczy naszego władcy Władysława! – Tak, nikt nie miał co do tego wątpliwości. Rozpoczęła się złota era Księstwa Gniewnowskiego.

Rady z takiego obrotu wydarzeń Władysław pragnął podziękować młynarzowi za to, że skarb największy jaki miał, oddał mu bez wahania.

– Wzniesienie, na którym Nitkowy młyn się znajduje, od teraz zwać się będzie „Nitkową Górą” – ogłosił. I nazwa ta po dzień dzisiejszy przetrwała.

Wielu władców podstępem i siłą próbowało władzę Władysławowi odebrać. I sam król Jan Kazimierz, zaniepokojony rosnącym w siłę księciem, coraz bardziej łakomym okiem na księstwo gniewnowskie spoglądać zaczął. Długie lata wojska Władysława niepokonane pozostały. Ale trwało to do czasu. Jak to się zazwyczaj dzieje, o biegu historii zadecydowały zdarzenia małe, niby przypadkowe. Niestety, podczas jednej z bitew, którą toczył Władysław, galopując na koniu, niefortunnie upuścił miecz. Wołanie: „Mój miecz! Mój miecz! Bez niego przegramy!” – szybko dotarło do uszu wroga. Najbliższy jeździec popędził w stronę Władysława i ranił go tak, że ten omal przytomności nie stracił. Dowodzić dalej nie zdołał. Bitwę przegrał. Gdy ranny leżał, w księstwie kto inny rządy przejął. Kiedy wydobrzeł, całymi dniami błakał się w okolicy pola bitwy, mając nadzieję odnaleźć miecz. Niestety miecz zaginął.

– O, ja nieszczęśliwy! – rozpaczał. – Nie ma tu już dla mnie miejsca.

I jak rzekł, tak wyjechał do klasztoru, w którym postanowił spędzić resztę życia.

– Modlić się za swoich byłych poddanych pragnę, przyjmijcie mnie – oznajmił przeorowi klasztoru. – Tylko Bóg mi pozostał.

Od tamtego czasu różnie w Gniewnowie się działo – raz lepiej, raz gorzej. Złote czasy po dziś dzień ludzie wspominają z nostalgią i nadzieją w głosie, bo takiego dobrobytu jak wówczas – gdy miecz dzierżył prawowity władca – nigdy się już nie doczekali. Legenda głosi, że miecz ukryty gdzieś na Kujawach znów czeka na kolejnego władcę, którego serce będzie tak dobre, jak Witosława i Władysława. ♦



Nieraz te obce wojska wybierały się na łupieskie wyprawy w okolice Drwęcy i Golubia. Nie szczędzili ani szlacheckich dworów, ani nawet kościołów.

Marychna do studni dopiero co przyszła. Patrzy, baby w koło zgromadzone, a Kachna opowiada:

– Chłop mój wczoraj koło dworu przechodził. Zagonili go do noszenia. Trzech ich jeno było, więc pomocy potrzebowali. Wory całe wynosili pełne: obrazów, biżuterii, zastaw, luster, obrusów, dzbanów, mis dziesiątki! Szafy wynieśli i fotele, stoły, skrzynie, schody i drzwi razem z futrynami. Dacie wiarę, że kominki nawet demontowali?!

– Zwierza to jakieś, nie ludzie! – Z niedowierzaniem gadały baby.

– Obicia pozrywali, dywany pozwijali, podłogi odrywali, a na koniec chłopu złoto z listew zeskrobywać kazali! – wyliczała nadal Kacha.

– Od czei i wiary oni odsądzeni! W Boga nie wierzą! Wstydu nie mają! Kościoły nawet grabią! – przekrzykiwały jedna przez drugą.

– Do nas wielebny wczoraj z hukiem jak błyskawica wpadł. Ze świątyni wprost uciekł, bo wlażyły doń te Szwedy i ołtarz zaczęli demontować. Bronić chciał, ale dużo ich było, nożem grozili. Wszystko wynieśli: krucyfiksy, ornaty, chrzcielnice i świeczniki. Bezbożniki! Rzeźbę Najświętszej Panienki na sanie zapakowali! Dzwon chcieli ruszyć, ale ciężki był, to odpuścili na razie.

Nieopodal Golubia-Dobrzynia znajdziecie niewielką wieś, Ostowite zwaną. Urokliwie płożona nieopodal jeziora, idealnie nadawała się na kryjówkę. Wszystko, co tylko miało jakąś wartość, Szwedzi znosili właśnie tam, w miejsce zwane szwedzki szaniec. Był to ich warowny obóz otoczony ziemnym wałem. Pilnował go zawsze zastęp wyćwiczonych żołnierzy. Szwedzi uchodzili za mistrzów w oblężeniu i obronie wszelkich fortec. Nikt z Polaków dostępu tam nie miał, ale wszyscy jak jeden mąż widzieli wozy obładowane, ciągnące w to miejsce.

Swoją drogą, domyślcie się, skąd u północnych sąsiadów było takie barbarzyństwo? Wyjaśnienie jest banalne. Otóż, wszystko przez to, że ówczesna Szwecja była biedna jak mysz kościelna. O luksusowych rezydencjach i meblach jej królowie marzyli zaledwie w najśmielszych snach. Żyli skromnie, uczując na drewnianych ławach i stołach bez obrusów. Dobrobyt polskich dworów ich olśnił. Pozazdrościli i też chcieli mieć wszystko tak piękne. Więc łupili i grabili.

Był koniec lutego. Mroźny jeszcze, ale suchy. Zima przykryła okolicę grubym białym kożuchem, a na mieszkańców gruchnęła wieść, że nadciąga potężna armia polskiego króla.

– Uważajcie – mówił wachmistrz. – Chłopy tutejsze rosły jak dęby, jak tury, a każdy wilkiem patrzy!

Szwedów niewiele było wtedy we wsi. Większość rozproszyła się na zimowe leża w gospodarstwach od Golubia po Kowalewo. Ci, którzy pilnowali szańca, przerazili się nie na żarty.

– Szybko! Szybko! Ładujmy wszystko na sanie! – nawoływał Erik.

– I co dalej? Dokąd pójdziem? – dopytują pozostali.

– Póki co, wycofamy się w okolice Kowalewa. Idąc przez jezioro, ominiemy główne szlaki – zdecydował Erik.

To rzekłszy, pomysłodawca spoglądał to na jednego, to na drugiego, jakby pytając, kto go popiera. Wtedy chóralny okrzyk przeszył powietrze: – W drogę!

Siedli i ruszyli, poganiając konie co sił. Kolumna kilkunastu sań gnała jak wichur. Za polem ukazało się już jezioro, ku któremu zdążali. Długa kolumna szybko znalazła się na środku zamrożonej tafli.

Niewiele słyszało okrzyk drobnego woźnicy:

– Uwaaaáaaa! Lóóód pęęka!

Ci, co słyszeli, uznali za żart. Dopiero popłoch przestraszonych koni, które zaczęły bić kopytami na prawo i lewo, ocucił żołnierzy. Ludzie w pośpiechu chcieli odwiązywać sanie, pod którymi pękł lód, a pozostałe jakoś zepchnąć na bok.

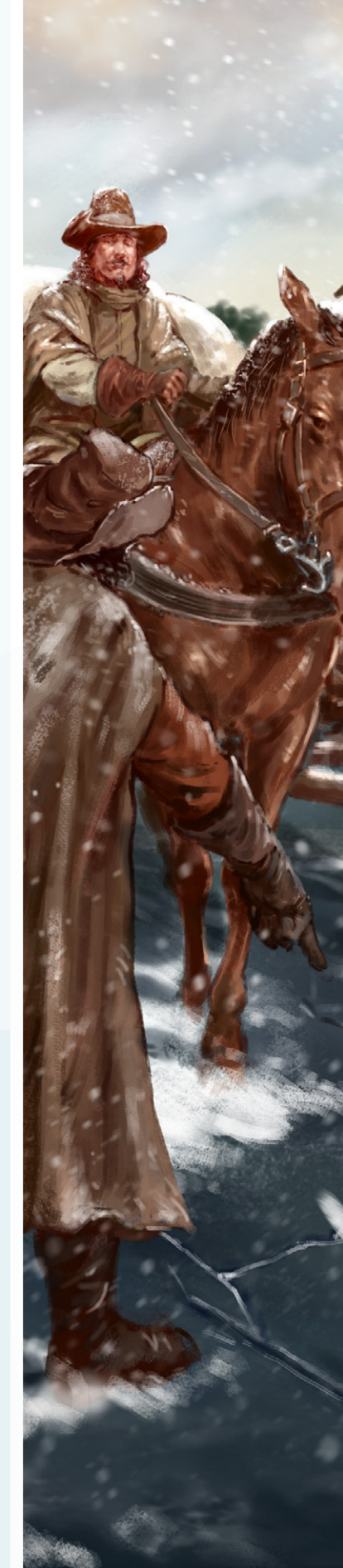
– Szybciej! Szybciej! Lód pęka! – wołano.

Gwar! Krzyk! Szamotanina! Zamieszanie się zrobiło takie, jakby na środku jeziora walka rozgorzała. Konie i ludzie mieszały się ze sobą. Wiecie już, że nie była to walka z wrogiem – ale z własną chciwością i... z przeznaczeniem. Mieszali się, uwijali i biegali! A im więcej ruchów wykonywali wojacy, tym było gorzej! Konie z innych zaprzęgów, przerażone szamotaniną, też wpadały w panikę. Przestały reagować na rozkazy, zerwały się do szalonego galopu, zaczęły wpadać na siebie, rwać uprzęże, rozbijać zaprzęgi, tłuc o lód...

I wtem! Wielka rysa poszła przez tafel i zaraz potem lodowe wrota jeziora w kilkudziesięciu miejscach rozwarły się szeroko. Stało się wreszcie jasnym – na próżno czyniono nadludzkie usiłowania. Błękitna czeluszka połknęła całą szwedzką wyprawę. Lawa mężów

i koni runęła w niebieską toń, a wraz z nimi sanie, armaty, wyposażenie i wszystkie zrabowane skarby. Z tej pułapki nie było już dokąd uciec.

Tak skończyła się walka, po której ślad zaginął. Opowieści jeno pozostały. Czasem jeszcze dziś rybacy, ze wsi Ostrowite i okolic, wyciągają z sieci kawałek szabli czy metalowy kocioł. Takie stare przedmioty po szwedzkich żołdakach, na przykład gary do gotowania, tutejsi ludzie nazywają „szwedkami”. ♦





POWIAT GOLUB-DOBRZYŃ

O WÓJCIE SAMWOJU

Dla mieszkańców Golubia nie był to czas ani dobrobytu, ani spokoju. Miasto świetnie się rozwijało. Ludność zaczynała mieć nadzieję na nieco spokojniejsze lata, ale niestety. Dopiero co Krzyżacy na wzgórzu opodal zamek ogromny wzniesli. Kto widział tę twierdzę, wie, jak mocne i solidne to zamczysko. Wielkiemu Zakonowi zabezpieczać miała granicę państwa zakonnego od strony ziemi dobrzyńskiej i książęcego Mazowsza – XIV wiek to był.

Zakon coraz bardziej twardą ręką rządził. Zakonnicy, niby z boskiej woli, naruszali prawa i wolność mieszkańców. Czynili gwałt i samowolę. Ogałacali ludność, a mienie ogniem niszczyli. Za byle przewinienie zabijano mężczyzn, a często nawet kobiet i dzieci nie oszczędzano. Rycerze zakonni pojawiali się w chatach to pojedynczo, to po kilku razem. Twarze ich były zuchwałe, a spojrzenia tak szydercze, że wiadomo było, iż pokojowych zamiarów nie mają. Wszelka ludność, trzymana jakby na uwięzi, żyła w strachu i niepokoju.

W poczynaniach jednego jeno człowieka pokładali nadzieję. Samwoj go zwano, bo mężny był i prawy. Od niedawna urząd wójta piastował. On jeden odważnie występował w obronie praw i honoru mieszkańców. Niejednemu rycerzowi zakonnemu bliznę mieczem wyciął.

– Ja ludowi Golubia krzywd więcej czynić nie pozwolę! – wołał.



Oj, nie podobało się to Krzyżakom. Przywykli, że każdy jeden bezwzględnie posłuszny im jest, a ten? Problemy same z nim mieli. Wzywa raz komtur rycerzy swoich i rzecze:

– Od kiedy Samwoj Polakom przewodzi, coraz bardziej hardzi się stają, skorzy do bitek. Nie złamiemy ich oporu, dopóki jego nie unieszkodlimy. Wezwijcie mi w takim razie Samwoja na zamek – rozkazał. – Powiedzcie, że mistrz na naradę go prosi.

Stanął wójt sam pod wrotami zamku tak, jak go proszono. Nieświadomy był, że za chwilę ofiarą zasadzki się stanie.

– To wyście, panie Samwoju? – pyta go rycerz przy wrotach.

– Tak – usłyszał w odpowiedzi.

– Chodź ze mną. Komtur oczekuje ciebie.

Jak tylko drzwi wielkiej sali przekroczył, komtur stojącym przy wejściu rycerzom rozkazał:

– Pojmać go i trzymać, co by uciec z mych rąk nie zdołał!

– Wielki mistrzu, ja w pokoju do ciebie przybywam, a ty jak łotra pojmać mnie kazesz? – niedowierzał Samwoj.

Komtur pewny siebie głośno powiedział:

– U mnie jesteście, to po mojemu naradzać się będziemy! Kąsałeś zakon jak wilk jakiś, a teraz jak owca bezbronny stoisz przed nami, wyglądając łaski i zmiłowania.

– Łaski ja nie oczekuję i błagać o nią nie będę, czyni, co zamierzasz – odburknął wójt.

Lecz komtur zadowolony nie był z takiego obrotu rozmowy, więc rzekł:

– Patrzcie, jaki hardy! Śmie nam tu w twarz pluć! Już ja cię oduczę tej pychy! Spętać go rzemieniem i do sali tortur z nim! – rozkazał.

Zawleczono Samwoja, gdzie mistrz polecił, i poddano wymyślnym mękom. Wbijano drzazgi za paznokcie i przypalano ogniem. Zmusić to miało wójta do upokorzenia. Mężczyzna jednak nie błagał o życie, a w trakcie tortur najcięższych jęku nawet nie wydał. Na prowokacje odpowiadał:

– Bóg widzi, że hańbiąc mój stan rycerski, sami siebie hańbicie. To on was sądził będzie.

Drażniło i złościło to braci zakonnych. Szczególnie zaś samego komtura, który w pewnej chwili rozkazał wszystkim:

– Wyjść na zewnątrz! Samego mnie z nim zostawcie! I nie wchodzić mi, dopóki sam was nie wezwę! Ja sprawię, że jęki usłyszycie!

Zakonnicy rozkaz posłusznie wykonali, a wielki mistrz szyderczym głosem do więźnia zagaduje:

– I co, bratku? Przejrzałem ja ciebie! O sławę dbasz! Męczennikiem może i chcesz zostać, co? Przy świadkach gotów żeś raczej umrzeć, niż się upokorzyć, he?

– Nic bardziej mylnego! Bóg mi świadkiem, że honoru nie stracę! – rzucił mu Samwoj.

I tyle siły jeszcze w sobie znalazł, że komtura pchnął tak, iż ten głową o posadzkę uderzył. Gdy się zbierał, więzień kilkoma sprawnymi ruchami z łańcuchów się uwolnił i w jednej chwili mistrza krzyżackiego do ściany przyparł.

– I co, mistrzu? Kto teraz jest więźniem? – zapytał. – Przyszedł czas odpowiedzieć za niegodziwości wobec mojego ludu.

Rycerze tymczasem stali posłusznie pod drzwiami. Dużo czasu nie minęło, gdy usłyszeli okropne jęki i przeraźliwe krzyki.

– Kurt, słyszysz to? – pytał jeden drugiego z uśmiechem. – Ale nasz mistrz złamał tego Samwoja, co?

– Ano słyszę. Powiedz mi tylko, od kiedy ten prostak po niemiecku mówi? – zdziwił się Jürgen.

– Nie wiem bracie, nie wiem.

Dziwili się tak przez czas pewien, że torturowany wójt z bólu niemieckie słowa z siebie wydobywa. W końcu, kiedy jęki ucichły i stojący na dziedzińcu Krzyżacy weszli do środka, oniemieli z przerażenia. Nad rozpalonym ogniem, tam gdzie wisiał wójt Samwoj, oczom ich ukazało się bezwładne, martwe ciało ich komtura. Tymczasem wójt golubski dawno wymknął się przez ukryte przejście w murze, które zapamiętał jeszcze z czasów budowy zamku.

Nie wrócił już do swoich. Przechodząc lasami, na północ, dotarł, gdzie najmniej się go spodziewano. Legenda głosi, że walczył tam przeciwko Krzyżakom razem z Litwinami. A kiedy doszło do pierwszej rozprawy z Krzyżakami w bitwie pod Płowcami, wójt golubski Samwoj małym oddziałem z Litwy przyprowadzonym dowodził.

Dawną salę tortur do dziś oglądać możecie. Na szczęście dla waszych nerwów narzędzi tortur już nie zobaczycie, tylko haki umocowane w suficie, świadczące o jej



dawnym przeznaczeniu. Nie znaczy to, że nie będzie mocnych wrażeń. Niektórzy turyści słyszą straszne jęki i złorzeczenia. Przyznać trzeba, że nawet najbardziej odważnym skóra od nich cierpnie i włosy się jeżą na głowie. To duch okrutnego komtura – zwanego krwawym za swe złe poczynania – wciąż pokutuje. ♦



JADWIGA PRZY STUDNI

Cała Rzeczypospolita boleśnie odczuła najazd Szwedów w 1655 roku. Najeźdźcy tratowali niwy, palili wsie i miasta, grabili wszystko, co wpadło im w ręce. Kościoły zmieniali w magazyny czy stajnie. Nie więc dziwnego, że najazd ten nazwano „potopem”. Również okupowany przez Szwedów Grudziądz ciężko znosił ich obecność.

Grudziądzki patrycjusz Kacper Miechota patrzył z pogardą przez okno swojego domu na panoszących się na rynku szwedzkich żołdaków. Był bogatym kupcem, wiele jeździł po świecie, ale takiego barbarzyństwa jeszcze nie widział. Ci Szwedzi są sto razy gorsi niż bandy rozbójników na drogach. Nie tylko kradną wszystko, co im pod rękę się nawinie, ale bezczeszczą największe świętości. O proszę, stoją na rynku, piją piwo z naczyń liturgicznych!

Kacper już kilka miesięcy temu miał ruszyć z karawaną na południe Europy, ale zalew tych dzikusów zniweczył jego zamiary. Musiał przecież strzec swej ukochanej jedynaczki. Siedziała właśnie przy kołowrotku, jednak co jakiś czas przerywała pracę i zamyślona spoglądała w okno.

– Co jej jest? – zafrasował się Kacper. – Od pewnego czasu wydaje się jakaś rozkojarzona, często wypada jej coś z rąk. Była przecież zawsze tak staranna w działaniu.

– Jadwisiu, córeńko moja kochana, czyś ty nie chora?

Dziewczyna drgnęła, jakby gwałtownie ktoś ją ze snu przebudził.



– Tatu, wszystko dobrze. Może to wiosenne słońko zbyt śmiało przygląda się mojej twarzy? Ale gorąco, uff? Muszę teraz wyjść do Kachny, biedaczka zachorowała.

Następnego dnia Kacper spotkał ową Kachnę, najlepszą przyjaciółkę Jadwisi, na grudziądzkim rynku. Była rumiana, bez najmniejszego śladu choroby.

– Tak szybko wyzdrowiałaś? – W oczach Kacpra malowało się wielkie zdumienie.

– Nie rozumiem... – Czerwone policzki dziewczyny jeszcze bardziej pokraśniały.

– Przecież moja Jadwisia wyszła wczoraj z domu, mówiąc, że idzie do ciebie, boś chora...

– Ależ ja nie widziałam Jadwisi od tygodnia, a może jeszcze dłużej. I to jeszcze króciutko, bo gdzieś się spieszyła!

„Moja córka coś przede mną ukrywa” – pomyślał zasmucony ojciec.

Kiedy więc następnego dnia Jadwisia wymknęła się z domu, Kacper szedł za nią. Tak się spieszyła, że trudno było za nią nadążyć. Dotarła wreszcie do przyzamkowej studni, gdzie czekał na nią... o zgrozo! – szwedzki oficer. Dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję, a on objął ją czule. Kacper Miechota aż kucnął z przerażenia. Był zdruzgotany. Miłość jego jedynaczki do oficera wrogich wojsk była dla niego nie do przyjęcia. Powłócząc ciężko nogami, wrócił do domu. Kiedy po kilku godzinach zjawiała się Jadwiga, tłumacząc swoją długą nieobecność kolejnym kłamstwem, nie zdradził przed nią, że już zna całą prawdę. Bacznie jednak obserwował córkę. Domyślał się, że zamierza ona pewnie uciec z ukochanym do Szwecji... Skrycie pakowała już tobolek, a gdy pewnej nocy włożyła do niego wszystkie kosztowności, ojciec uznał, że musi działać.

Nazajutrz, późnym wieczorem, Jadwiga z tobołkiem zjawiała się przy zamkowej studni i przerażona ujrzała leżące przy niej martwe ciało ukochanego. Zrozpaczona cisnęła do studni tobolek z całą zawartością, a sama wkrótce wstąpiła do klasztoru benedyktynek. Niektórzy grudziądzanie do dziś próbują odnaleźć w studni wrzucone przez nią kosztowności. Na razie jednak bez rezultatu. ♦



PRZEPOWIEDNIA KRÓLOWEJ JADWIGI

-Zastanawiam się, miłościwa pani, czy te nasze spory z Krzyżakami kiedykolwiek się skończą... – mówił prezbiter, duchowny pomocnik biskupa, Wojciech Jastrzębiec do swej ukochanej królowej Jadwigi Andegaweńskiej. Służył swej pani niemal od dnia, gdy ta zasiadła na polskim tronie, bo on właśnie, w tym samym 1384 roku, otrzymał święcenia kapłańskie. Ile już minęło lat od tamtego czasu? Czternaście! Tak, jest przecież wiosna 1398 roku. Nigdy nie zapomni tego październikowego dnia, gdy młodzianka, bo licząca sobie zaledwie 10 lat, królewna węgierska przybyła do Krakowa, a trzy dni później, arcybiskup Bodzanta koronował ją na królową Polski. Mimo młodzianckiego wieku wszystkich uderzało jej dostojęstwo. Dwa lata później poślubiła, starszego od siebie o ponad 20 lat, księcia litewskiego Jagiełłę, wyrzekając się miłości do tego, którego wcześniej umiłowała – Wilhelma Habsburga. Uczyniła tak, bo rozumiała, że jej nowa ojczyzna potrzebuje sojusznika do walki z zakonem krzyżackim. A tym sojusznikiem, przez jej małżeństwo, stawała się Litwa.

– Tak sobie myślę, miłościwa pani – ciągnął Wojciech Jastrzębiec. – Jak wielka odpowiedzialność spoczywa na rządzących, jak tragiczne bądź zbawienne skutki dla kraju mogą mieć ich decyzje. Na przykład, gdyby 150 lat temu książę piastowski, Konrad Mazowiecki, nie sprowadził do Polski Krzyżaków, jakże odmienna byłaby dziś kondycja naszego kraju. Mielibyśmy większe terytorium, dostęp do morza, nie mówiąc już o zgliszczach i o mordach dokonywanych przez rycerzy z krzyżem na płaszczach.



– Prawda, mój Wojciechu. – Piękna twarz królowej Jadwigi przybrała wyraz głębokiego smutku. – Wyobrażam sobie, jakich to pokrętnych argumentów będą oni używać podczas naszych rozmów we Włocławku.

Królowa Jadwiga, po pożegnaniu w Gnieźnie męża, króla Władysława Jagiełły, jechała ze swoim doradcą, Wojciechem Jastrzębcem, do Włocławka, gdzie miała podjąć wstępne rozmowy z Krzyżakami i sprawdzić, czy są skłonni do negocjacji w sprawie zawłaszczonej przez nich ziemi dobrzyńskiej. A potem... wszystko zależało od wyniku spotkania. Umówiła się z mężem, że on będzie czekał na nią w Inowrocławiu. Królowa, mimo swojego młodego wieku – miała wówczas zaledwie 24 lata – wykazywała się wielką przenikliwością w sprawach politycznych. Dążyła do utrzymania pokoju w stosunkach z zakonem krzyżackim, ale nie za wszelką cenę. Piękna, wykształcona, szlachetna, była uwielbiana przez lud za swoją dobroczynną działalność. Gdy podróżowała kiedyś po Wielkopolsce, do jej uszu dotarła wiadomość, że rycerze królewscy zabrali chłopom z pewnej ubogiej wioski całe zboże oraz bydło. Oburzona zachowaniem rycerzy poinformowała o ich działaniach króla. Ten zapewnił ukochaną żonę, że wynagrodzi wieśniakom wszystkie straty.

– To dobrze, ale kto im łąy powróci? – zapytała Jadwiga.

Po dotarciu do Włocławka królowa rozpoczęła rozmowy z przedstawicielami zakonu. Bardzo szybko zorientowała się, że nie ma w nich woli pojednania. Ich słowa były wirtutnym kłamstwem. Jadwiga z pogardą patrzyła na te fałszywe lisy w ludzkiej skórze. Z bólem serca rozmyślała o tym, że Krzyżacy znajdują posłuch w Europie zachodniej, że kreowany przez nich samych wizerunek krzewicieli wiary chrystusowej zyskuje tam wielkie uznanie. Znużona krzyżackimi łgarstwami uznała, że dalsze rozmowy nie mają sensu. Wtedy jeden z rycerzy zakonu rzekł:

– Wiemy, najjaśniejsza pani, że udajesz się teraz do Inowrocławia, gdzie czeka na ciebie twój zacny małżonek, król Władysław Jagiełło. Pozwól, że i my tam przybędziemy. Może król doceni nasze starania o poprawę relacji między Polską a Zakonem Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego.

Gdy Jadwiga powróciła do Inowrocławia, Jagiełło wiedział już o fiasku włocławskich rozmów. Para królewska udała się więc do kościoła pw. św. Mikołaja, by tam żarliwie modlić się o szczęście ojczyzny. Nagle, przy wejściu do świątyni rozległy się jakieś głosy. Niemal jednocześnie małżonkowie zwrócili swe głowy w tamtą stronę i ujrzeli grupę

dostojników krzyżackich. Jadwiga ponownie spojrzała na wizerunek Najświętszej Pani i dokończyła modlitwę. Kiedy tylko powstała z klęczek, usłyszała:

– My, dostojnicy zakonu krzyżackiego, pokazując niezwykłą wręcz wolę pojednania z Królestwem Polskim...

Słowa odpłynęły. Królowa nie musiała ich słuchać, bowiem znała je niemal na pamięć. Widziała tylko te szybko poruszające się usta, te pewne siebie, pełne buty miny. Gdy wreszcie wargi Krzyżaka zwały się, co oznaczało tylko jedno „skończyłem”, królowa odezwała się mocnym głosem, zaś oczy jej płonęły gniewem:

– Nosicie na swych płaszczach krzyż – jakim prawem? Sądzicie, że Stwórca nie widzi tego, co czynicie? Zapamiętajcie: Bóg nie jest rychliwy, ale jest sprawiedliwy. Oto moja przepowiednia, która się ziści, gdy mnie już wśród żywych nie będzie. Mój mąż, Władysław Jagiełło, stanie się waszym pogromcą, a wy, plugawe plemię, już nigdy do swojej świetności nie powrócicie!

Po wypowiedzeniu tych słów piękna i dumna królowa Jadwiga, spojrzawszy jeszcze z pogardą na przybyłych dostojników krzyżackich, odwróciła się gwałtownie i opuściła świątynię. W 1399 roku królowa zmarła – trzy tygodnie po wydaniu na świat córeczki Elżbiety. Jej słowa okazały się prorocze. 15 lipca 1410 roku na polach Grunwaldu zmiażdżona została na zawsze potęga krzyżacka, a dokonał tego król Władysław Jagiełło wraz z dzielnym rycerstwem polskim i litewskim. ♦



KAMIEŃ KRAJEŃSKI

DIABŁY Z WITKOWSKIEGO MŁYNA

Pewnego dnia w piekle zmartwienie diabły miały wielkie. A czymże to diabeł się może zamartwiać? – pomyślicie. Wiercie mi, że może. Ano tym, że ludzie sporządzili za bardzo.

– Z Witkova przez lata ani jedna duszyczka do piekła nie trafiła. Oj, bieda z tymi ludźmi! – narzekał Belzebub. – Wody do mleka nie dolewają, gdy je na targ wiozą. Nie klną. Nikt nikogo w łyżce wody nie chce topić. A jak dawno nikt nie życzył sąsiadowi, by podczas obiadu zadławił się gorącym kartoflem!

Cóż z takimi zrobić? – radzą diabły. Jak nic się nie zmieni, piekło trzeba będzie zamknąć, wrota zawalić kamieniami i pójść kozy straszyć. Odzywa się wtem jeden diabeł najchytrzejszy, do trzech umiejący liczyć:

– Ja wiem, Lucyferze! Pójdę na ziemię i duszyczkę z Witkova przyprowadzę w nasze czeluści.

Ukontentowany Lucyfer z zadowoleniem warknął pod nosem:

– Idź no, tylko szybko się uwijaj, co byśmy długo czekać nie musieli.

Poszedł diabeł na ziemię, do Witkova, jak zamierzał. Ofiary do zbałamucenia szukając, zatrzymał się na skraju lasu. Zobaczył Andzię. Brzydka, garbata dziewczyna siedziała na ściętym sosnowym pieńku i zanosząc się łzami, lamentowała:

– O, świecie marny! Porzucił mnie synek szwarny. Poszedł w dal, mnie został tylko żal. Ale ja się smucić nie będę, innego zdobędę!



Diabeł aż w ręce zaklaskał. „Ta się nadaje!” – pomyślał w duchu. Zrzucił rogi, założył płaszcz i kapelusz. W pas dziewczynie pięknie się pokłonił i bierze się za przekonywanie:

– A mnie byś chciała? Jeżdżę po świecie i szukam dziewczyny, bo się chcę żenić. Gdy ciebie ujrzałem, pomyślałem, że ta albo żadna.

I już mógł się cieszyć, że Andzia ochoczo przyjęła propozycję. Lotem błyskawicy rozniosła się wieść, że weselicho będzie! Coś się podejrzone wydawało, że Andzia, z którą w karczmie nikt tańcować nie chciał, teraz jakiegoś bogatego panoczka złowiła. Ludziska po wsi szybko gadać zaczęli:

– Biedny będzie ten panoczek przy niej, oj biedny! Będzie go tłukła, będzie nim orała, że biedaczysko schudnie, bo go i głodzić będzie.

Trzy dni huczne wesele trwało, ale... co to!? Gdy ktoś obrzucał młodą parę płatkami róż, Andzia schyliła się i oczom własnym nie mogła uwierzyć. Spod surduta małżonka ogon diabelski wystaje! Jak nie zaczniesz wyzywać, aż się wszystkie dzbanki w izbie zatrzęsły:

– Ty ślimoku zatracony! Myślisz, że ja nie wiem, kim jesteś?

– Jjjaaa – próbował odezwać się diabeł.

– Cicho siedź! Nie przerywaj! – Do słowa diabłu dojść nie pozwoliła. – Wiem, co chcesz! Duszę moją! Zapiszę ci ją, ale najpierw przynieś mi worek pełen dukatów.

I poleciał diabeł w te pędy. Już stoi z powrotem w progu i błaga:

– Dukaty masz, dziubeczku. A teraz podpisz się na cyrografie, proooszę.

Ale Andzia coraz to nowe prace mu wynajduje.

– Ano podpiszę, ale masz cztery prace spełnić. Cztery dni ci to zajmie. Jednak, gdy nie wykonasz jednej z nich, umowa przepadła – usłyszał.

„Baby nie przekrzyczę” – pomyślał diabeł. Co mu zostało? Zgodził się i szybko tej decyzji pożałował. Co świt wraz z pianiem koguta do pracy go goniła. Sitem wodę z rzeki nosił, mrówki paśł na polanie, albo pazurami pole orał. Rozwścieczony, poirytowany diabeł myślał sobie: „Przy takiej babie można ze skóry wyskoczyć!”. Nie wiedział, że tego właśnie jako ostatniego zadania małżonka zażąda. Skacze i skacze, i wyskoczyć nie może. W końcu rzucił Andzi pod nogi cyrograf i uciekł.

Rozpłakał się biedaczyna ze zmartwienia, że go baba z Witkowa przechytrzyła.

– Jeśli nie złowię duszyczki, będę pośmiewiskiem dla całego piekła, a Lucyfer gotowy spalić mnie w kotle – zawodził.

I wtem... widzi idącego gospodarza. Jakiś taki zmarniały, wychudzony i smutny widać. Diabeł wstał, wytarł nos i ruszył zapytywać, co dręczy człowieka poczciwego?

– Ach! Szkoda gadać! W domu bieda aż piszczy. Życ się odechciewa. – Rozkłada ręce Hans. – Młyn mam, a oddałbym wszystko, aby mieć choć trochę grosza.

– Wszystko powiadasz... hmmm? – dopytuje diabeł. – Dziś o północy, przy zapalanej świecy, przyjmij nieznanego gościa. Zrób, co ci powie, a wszystkie twoje troski znikną w mgnieniu oka.

Hans począł rozglądać się dookoła, ale ów jegomość przepadł jak kamień w wodę. „Dziwne” – pomyślał młynarz. Gdy przed północą, w blasku ostatniej świecy, dojadł resztę chleba, z zadumy wyrwało go pukanie. Usłyszał propozycję nie do odrzucenia:

– Zostaniemy współnikami. Dasz mi izbę, a ja zostanę twoim parobkiem. Będę wyręczał cię w robocie i spełnię wszystkie twe marzenia. Wystarczy, że podpiszesz ten oto dokument. Wystarczy kropelka twojej krwi.

I podpisał chłop bez zawahania. Gdy słońce weszło, oczy przecierał zaspany, myśląc, że sen okropny go spotkał ale, ale... co tak pachnie? „Co to za ludzie w obejściu?” – dziwi się.

– To nadziewana kaczka i twoja służba. – Ocucił go dopiero widok wczorajszego gościa.

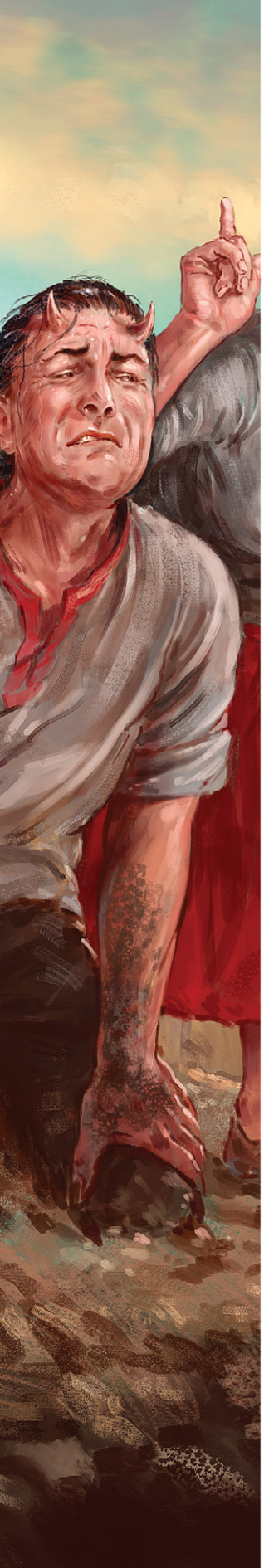
– Toż ty jesteś diabeł!!! – wykrzyknął Hans na całe gardło.

– Zostaliśmy współnikami – potwierdził diabeł. – Ja pracuję, a ty możesz hulać i balować.

Wiecie, jak to jest, do dobrego człek szybko się przyzwyczajają. I Hans przywykł do wystawnego życia, bogactwa i do nicnierobienia. Za żonę pojął młodą, piękną dziewczkę i cieszył się życiem. Ale że w miejscowości niedużej, jak Witkowo, nic nie może ujść czujnej uwadze miejscowych, ludzie w głowę zachodzić zaczęli, skąd nagle tyle bogactwa u tego Hansa?

– Ponoć jak na targ jechał, to konie galopowały, nie dotykając ziemi! Na podwórzu spacerowały czarne koty i psy, to na pewno czarta sprawa! Ja nawet za płot do niego nie zaglądam – mówił jeden.

– A ja chyba zajrzę – u mnie bieda taka, że nie ma co do garnka włożyć – uskarżał się drugi. – U Hansa worki z mąką pod sufit stoją.



I faktycznie, pewnego dnia chłop wszedł na podwórko Hansa, zajrzał do jednego z worków, a tam pełno pieniędzy. Wiele nie myśląc zarzucił go na plecy i pobiegł do domu. Jak wielkie było jego rozczarowanie, gdy uradowany otworzył worek przed żoną, a tam – same kamienie. Tego typu historii działo się w majątku Hansa wiele, a wszystkie one utwierdzały ludzi w tym, że jakies mroczne siły z młynarzem współpracowały.

Lata tymczasem mijały. Hans bardzo się postarzał i tracił siły. Jadźka, poproszona o modlitwę przy łożu chorego, wróciła pędem do domu, jakby diabła zobaczyła.

– Gdy tylko zaczęłam się modlić, Hans zawył tak straszliwym głosem, że wszyscy czmychnęli. Wtem podłoga zapadła się, ogień go pochłoniął. I ja żem uciekła – wyrzuciła jednym tchem.

Tamtej nocy straszliwej nad Witkowem rozszalała się burza. Pioruny, trzaskając jeden za drugim, trafiały w jedno miejsce – dom Hansa. Rankiem, gdy wszystko ucichło, okazało się, że po dobytku, który był dziełem szatana, nie została... nawet garstka popiołu.

Po tym wydarzeniu mieszkańcy Witkowa wrócili do wzorowej prawości. Każdy, kto miałby zamiar muchę czy mrówkę zabić, trzy razy się zastanawia... ostatecznie wystawia ją przez okno i życzy powodzenia u sąsiada. ♦



O CUDOWNYM KRUCYFIKSIE W KCYŃSKIM KOŚCIELE

W stojącym przy keyńskim rynku pokarmelićkim kościele pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny znajduje się cudowny krucyfiks z umieszczonymi na nim ludzkimi włosami. Z jego historią związana jest niezwykła legenda.

Gdy w wyniku pierwszego rozbioru Polski w 1772 roku Kcynia znalazła się pod pruskim zaborem, nowe władze starały się zniemczyć ludność, mieszkającą na zagarniętych ziemiach, a ze szczególną zacięłością zwalczały kościół katolicki. Kcynianie dzielnie się temu przeciwstawiali, mimo że los co jakiś czas wystawiał ich na ciężkie próby. Czy można sobie wyobrazić rozmiar rozpacz, jaka ogarnęła wszystkie kochające to miasto serca, gdy pewnej nocy 1775 roku w wyniku strasznego pożaru spłonął należący do karmelitów kościół? Pozostała z niego jedynie kapliczka, w której mieściła się tylko garstka wiernych. O niedzielnym nabożeństwie z udziałem wszystkich kcynian, pragnących usłyszeć Słowo Boże, mowy być nie mogło.

Karmelici jednak nie załamywali rąk. Dobrze znali historię swojego zakonu, która toczyła się zgodnie z porzekadłem „raz na wozie, raz pod wozem”. Zakon powstał w XII wieku w Palestynie, na Górze Karmel, podczas wypraw krzyżowych, gdy chrześcijanie z muzułmanami toczyli krwawe boje o Ziemię Świętą. Iluż wtedy karmelitów poniosło śmierć męczeńską! Różnie też się działo, gdy w XIII wieku przybyli oni do Europy. Do Polski sprowadzeni zostali przez Jadwigę Andegaweńską i jej męża, króla Władysława



Jagiełłę. Zakonnicy założyli wiele klasztorów, budowali kościoły i otaczani byli powszechnym szacunkiem. Kiedy jednak rozpoczął się okres rozbiorów Polski, karmelici musieli radzić sobie nie tylko z nasilającą się polityką germanizacyjną, ale również dodawać otuchy Polakom. Pokrzepiać ich dobrym słowem, wzbudzając nadzieję, że nieszczęście, jakie spadło na naród polski, kiedyś na pewno się skończy i ojczyzna znowu będzie wolna.

W Keyni usuwano zgliszcza, jakie pozostały po spalonym kościele i jednocześnie rozpoczęto zbiórkę pieniędzy na jego odbudowę. Keynianie ofiarnie angażowali się we wszystkie działania. W miasteczku mieszkała pewna dziewczyna o imieniu Katarzyna. Powszechnie mówiono do niej „Kasieńka”, bo tak ją lubiano za jej dobroć i nieustanną gotowość niesienia pomocy innym.

– Kasieńko, przyniesiesz mi ze studni wody?

– Kasieńko, kup mi u starego Rocha chlebek chrupiący!

– Kasieńko, popilnuj mi moją Jagódkę, bo muszę na chwilę wyjść z domu!

– Kasieńko, wyrwij w moim ogródku te straszne chwasty, bo ja już taka stara jestem, w krzyżach mnie łupie i schylać się nie mogę!

Takie okrzyki rozlegały się zewsząd, a Kasieńka dwoiła się i troiła, żeby wszystkim pomóc. Rodzice jej umarli, gdy liczyła sobie zaledwie kilka lat, a jedyną bliską osobą, jaką miała na świecie, był jej brat Janek. Rodzeństwo kochało się bardzo i zawsze wzajemnie wspierało.

Janek zwierzył się kiedyś siostrze, że jest zakochany w Marysi, córce kcyńskiego zdu-
na. Martwił się trochę, czy on, biedny chłopak, ma szansę u takiej panny.

– Oczywiście, że tak! – zapewniała Kasieńka. – Jesteś przecież bardzo pracowity i zapewnisz przyszłej żonie godziwe życie. Zresztą – tu dziewczyna znacząco się uśmiechnęła – wydaje mi się, że ty też wpadłeś jej w oko.

– Ech, Kaśka, chcesz mnie tylko pocieszyć... – mówił niepewnie Janek, chociaż widać było, że radują go słowa siostry.

– Wiesz, Marysia przyjaźni się z Krysią, z tą córką kowala. A ja znam Krysię i ona mi powiedziała...

– Co? Co? – dopytywał się coraz bardziej zaintrygowany Janek.

– Domyśl się. Obiecałam Krysi, że tego nie powtórzę!

Rozmowy takie toczyły się wieczorami, bo w dzień chłopak ciężko pracował, a i Kasia miała ręce pełne roboty, prowadząc nie tylko ich wspólny dom, ale i pomagając innym.

Nadszedł jednak taki czas, że Janka powołano do armii pruskiej. Siostra drżała z niepokojem o jego życie i codziennie przychodziła do ocalałej z pożaru kaplicy, by błagać Boga i Najświętszą Panią o zachowanie w zdrowiu tej najdroższej dla niej istoty.

– Błagam, niech Janek jak najszybciej do domu z wojny powróci – szeptała, wpatrując się w umęczone oblicze Jezusa i jego cierniową koronę.

Gdy karmelici kwestowali na rzecz odbudowy spalonego kościoła, zrazu Kasine serduszek wielce się zafrasowało, bo przecież była ona bardzo biedna. Całymi godzinami zastanawiała się, co może ofiarować na ten szczytny cel i nie przychodziło jej do głowy. Przecież nie da tych znoszonych trzewików z dwiema dziurami na czubku, ani fartucha, który jeszcze matuś najmilsza nosiła. Kiedyś jednak usłyszała od sąsiadki:

– Och, Kasieńka, tak cudnego warkocza złotych włosów, jaki ciebie zdobi, to żadna keynianka nie ma!

To wtedy niczym błyskawica raziała ją myśl: „Oczywiście, ofiaruję Chrystusowi swoje włosy!”.

Bez namysłu obcięła piękny warkocz i zawiesiła na cierniowej koronie Zbawiciela, a czyniąc to, błagała jednocześnie Stwórcę, by pozwolił bratu szczęśliwie do domu powrócić.

Następnego dnia do kaplicy zaczęły napływać tłumy, by ujrzeć coś niezwykłego: Kasine włosy wrosły w skronie Zbawiciela. W ciągu następnych dni stały się dłuższe, a potem jeszcze dłuższe... Wieść o tym wydarzeniu rozeszła się po całych Pałukach i wędrowała dalej i dalej... Zewsząd tłumnie przybywali ludzie, by ujrzeć niezwykle zjawisko. Dzięki temu z dnia na dzień rosły środki przeznaczone na odbudowę kościoła. Jednakże po jakimś czasie włosy umieszczone na krucyfiksie przestały rosnąć. Podobno stało się to za sprawą nieuczciwego organisty, który chcąc się na cudzie wzbogacić, zaczął włosy podcinać i sprzedawać jako lekarstwo.

Kasine modły zostały wysłuchane. Janek szczęśliwie powrócił z wojny i wkrótce oświadczył się Marysi. Ich ślub odbył się w odbudowanym kościele karmelitów. Na weselu brata Kasia poznała miłego chłopca – Wojtkę, który z zawodu był cieślą. Niebawem Kasia i Wojtek pobrali się. Przy budowie ich wspólnego domu pomagał Wojtkowi Janek. Zamieszkali w nim wszyscy czworo. Minęły lata, przyszły na świat dzieci, które gramoląc się na kolana Kasi, pytały:

– Opowiedz, mamo, jeszcze raz, jak wyglądały kiedyś twoje włosy?

– Ciociu, ciociu! Zawiesiłaś je na cierniowej koronie Jezuska i co się potem zdarzyło? ♦



KONECK

JAK POWSTAŁA NAZWA KONECK?

B yło to dawno, dawno temu... W owych czasach tej żyznej i pięknej ziemi w powiecie aleksandrowskim nie nazywano jeszcze Koneckiem, ale sami zaraz usłyszycie, że od dawna właśnie z końmi związane były te tereny.

Do wioski lud regularnie ciągnął z powodu targów, a kilka razy do roku jak magnes przyciągał ich duży, gwarny jarmark. Jeszcze przed świtaniem, ledwie kur zapiał, kto żyw z całej okolicy – ruszał na jarmark. Łańcuch wozów tłukł się wolno, koło za kołem, po wszystkich drogach i ścieżkach. Obładowany worami, koszami z jajami, garnkami. Jeden wiódł na postronku krowę, inny maciorę z małymi, ale najczęściej było koni. I jakie to były konie! Nie tylko tarpany, które gdzieś dziko po lasach biegają, ale wierzchowce postawne, silne i dystygowane. Było w czym wybierać. Małe koniki, klacze, koniki polskie, ba! – nawet araby najprawdziwsze dostać można było. Kto w tych stronach pytał:

– Wierzchowca potrzebuję, gdzie kupię?

– Tam, na jarmark jedź, panie – słyszał w odpowiedzi. – Tam końmi handlują. Najlepsze tam dostaniesz!

Jarmark nabrał takiego rozgłosu, że nie tylko z najbliższych wsi ludziska ciągnęły. Kupcy przybywali z Włocławka, a nawet i z dalszych stron. Przybysz rozpytywał miejscowych:



– A powiedz mi, kto gospodarzem jest tych ziem, gdzie koni taki dostatek macie?

– Panie! Dobra te, jak i cała okolica, do Krzesława należą – słyszy w odpowiedzi. – Rycerz to zasłużony, pan dobry i uczciwy. Między służbą porządek trzyma, ale o lud dba. Biednego bez pomocy nie zostawi.

– On rycerz, konie kocha, osiadł w miejscu, gdzie jest ich dostatek – wtrącił się Antek.

– Ej, całą prawdę godoj panu! – Szturcha Antka ramieniem jego Kachna. – Konie nasz pan lubi, ale kto wie, czy bardziej jeszcze w ucztowaniu nie gustuje! Sprasza sąsiadów, przyjaciół, a nawet starostę i kler. Tyle ich zjeżdża, że przed dworem wozy się pomieścić nie mogą. Ponoć kucharzy zaprasza, którzy mu coraz to nowe przysmaki serwują.

Jadzka usłyszała półuchem, więc musiała i ona dwa słowa wtrącić:

– Ludzie kochane, słuchajta! Ja jako pomoc czasem się tam najmuję! Widziałam dzika na stole! Razem z łbem! Dacie wiarę!? I jaja przepiórcze maciupkie jak kamyski. Juści, czegoż tam już nie było!

A wiecie jak to na jarmarkach. Jedni sprzedają, drudzy gadają, jeszcze inni zasłysza-
ne historie w świat zanoszą. Wiele czasu nie minęło, jak wieść o gościnności koneckie-
go gospodarza się rozniosła. W coraz dalszych kręgach mówiono o jego wymyślnych
potrawach i suto zakrapianych, radosnych spotkaniach. Dotarła wieść i do biskupa,
do którego razu pewnego proboszcz miejscowy zaproszony został. Nieszczęśnik w gło-
wę zachodził, czym to pochwalić się zwierzchnikowi. Myślał i myślał... aż wreszcie tak
rozmowę zażył:

– A ekscelencja słyszał o panu ziem naszych, Krzesławie?

– A coś żem tam słyszał. Wykwintnie zjeść ponoć lubi, prawda li to? – odparł biskup.

– Prawda, ekscelencjo. A że wykwintnie to mało powiedziane. O potrawach z jego
stołu legendy po wsi już krążą. I zjeść i wypić sobie lubi, ale człek dobry. Sam nie ucztuje.
Zaprasza wszystkich.

– Wszystkich, powiadasz? A to i mnie zaanonsuj – uśmiechnął się biskup. – Skoro
taka sława się go ima, osobiście muszę dojrzeć, jak się miewa jego zacna duszyczka.

Wyszedł proboszcz z tej wizyty jeszcze bardziej przejęty, niż był wcześniej. „Kolejna
uczta już za trzy dni” – myśli. „Krzesława powiadomić trzeba”. Mimo że pora była już
późna, prosto z siedziby biskupa udał się do dworu. Stał pod drzwiami i woła:

– Krzesławie, to ja, proboszcz! Otwórzcie! Ważne wieści przynoszę!

Odźwierny odsuwa zasuwę i woła pana.

– Witam wielbnego! Czemu zawdzięczam tak niespodziewaną wizytę? – odzywa się Krzesław.

– Od biskupa wracam – wyrzucił jednym tchem. – I... i... na najbliższą ucztę, którą wyprawisz, zapowiedział wizytację. On... zjawi się... osobiście – wykrztusił.

– Hmm – zastanowił się Krzesław. – Przekaż w takim razie ekscelencji, że w moich progach zawsze jest mile widziany – uspokoił proboszcza.

Spokojny i opanowany gospodarz w głębi swej duszy przeczuwał już trudność zbliżającego się zadania. Zastanawiał się, jak kulinarnie zaskoczyć znamienitego gościa.

Mistrza kuchni przywołał i rzecze:

– Sam biskup do nas zawita! Przepiórki, bażanty, dziczyzna – wszystko to powszednie dla niego! Cóż mam podać tak znamienitemu gościowi?

Kucharz zamyślił się głęboko.

– Słyszałeś, com ci rzekł? – dopytywał Krzesław.

– Słyszeć słyszałem, ino tak w głowę zachodzę, co mu za strawę podamy – urwał zakłopotany kuchmistrz. Nagle rozlega się głośnie: – Wieceem! Nasze strony z koni słyń, prawda li?

– Ano prawda – rzecze Krzesław.

– Gdy za granicą bywałem, we Włoszech – ciągnie kuchmistrz. – Słyszałem, że w tamtych stronach jada się koninę. Może zrobimy pieczeń hetmańską z koniny? Przepis oryginalny, włoski powinienem mieć jeszcze w swoich notatkach. Co na to powiesz, panie?

– Doskonale! Wyśmienicie! Chodźmy od razu na targ po konia odpowiedniego! – krzyknął Krzesław.

Młodego, pięknego wierzchowca zakupili, a mistrz kuchni wraz pomocnikami przebili go na istne arcydzieło sztuki kulinarnej. W dzień uczyty z kuchni dworskiej takie rozchodziły się zapachy, że każdy, kto koło dworu przejeżdżał, chcąc nie chcąc przystawał i zastanawiał się: „Cóż to dziś pan dworu przyrządzić kazał?”

Biskup powoli i z namaszczeniem skosztował pierwszy kęs, potem drugi, trzeci. Bardzo był zaaferowany potrawą, którą mu przyrządzono. Zjadał do końca w milczeniu.

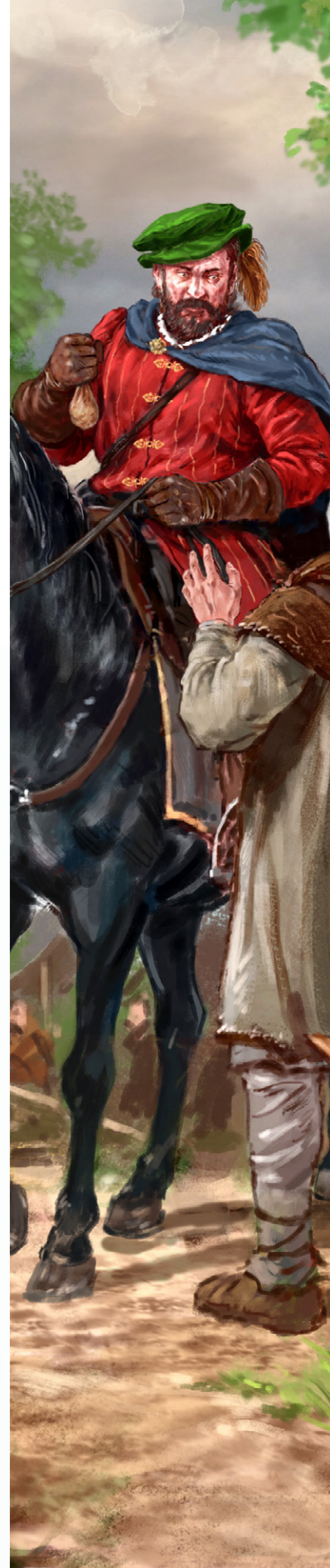
Potem zwrócił się do dziedzica:

– Bóg zapłać, gospodarzu. Na wielu ucztach bywałem. I w kraju, i za granicą. Różnymi specjałami mnie podejmowano. I aż do dziś byłem przekonany, że próbowałem już

wszystkiego. Zaskoczyłeś mnie jednak tą potrawą nową, o smaku i aromacie niezwykłym. Cóż to było?

– Ekscelencjo, pieczeń hetmańską z koniny jadłeś. Rad jestem, że w twój gust trafiłem – odrzekł Krzesław.

Pozostali goście niemniej pochlebnie o nowym, zaskakującym daniu się wypowiadali. Jedli, pili i prawili do późnej nocy. Wieść o hetmańskiej pieczeni z koniny, która smakiem podniebienie samego biskupa podbiła, szybko rozeszła się po całej okolicy. Wkrótce goście zaczęła na wielu szlacheckich stołach. Od tego czasu gospodarzy z uznaniem nazywać zaczęto koniojadami. Z czasem nazywano tak całą osadę. Od koniojada do Konecka droga już była prosta. Do osady przyłgnęła nazwa „Konjedz” lub „Konjedza”, którą po łacinie zapisywano jako „Conoyeczko”, a ta z czasem przekształciła się w znany nam Koneck. ♦





KORONOWO

SKĄD SIĘ WZIĘŁA NAZWA GRABINA?

Z górzystego, koronowskiego parku zwanego Grabiną rozciągał się niegdyś piękny widok na całe miasto. Obecnie zasłaniają go wysokie drzewa. Skąd wzięła się ta nazwa?

Działo się to w zamierzchłych czasach, kiedy burmistrzem miasta był zacny człowiek imieniem Mateusz. Ku zadowoleniu koronowian długo sprawował on swój urząd. Dobry to był gospodarz, dbał o swój lud i wszystkich szanował, również tych najuboższych. Często zaglądał do ich skromnych chat, pytając o zdrowie. Dobrze żył też z rzemieślnikami, sprzyjał ich gospodarczym działaniom i duma go rozpierała, że koronowskie piwo chwalą wszyscy i to nie tylko w okolicy. Sam zresztą również był jego smakoszem. Kiedy chodził ulicami ukochanego miasta, komplementował dziewczynom i niejedna z nich miała nadzieję, że stanie się wybranką jego serca. Wreszcie strzała Amora dosięgła i jego, a wieść o tym lotem błyskawicy obiegła całe miasto.

– Nasz burmistrz oświadczył się Mariannie, córce piwowara Stanisława Grzybowskiego!

Weselisko było huczne, bo zaproszono na nie wszystkich koronowian. Wkrótce jednak zaczęły się dziać w mieście niepokojące, dziwne rzeczy. Na jego skraju rozbili swoje obozowisko dziwni Cyganie. W samym Koronowie od lat mieszkało kilku Romów i powszechnie ich lubiano, ale nowi przybysze wcale nie byli podobni do tych osiadłych. I nie chodzi tu tylko o wygląd, ale o to, co mówili, pojawiając się w karczmie.



– Wiemy, wiemy, dobrze dzieje się w mieście, macie słynnego burmistrza, ale przecież może się wam dziać jeszcze lepiej.

– Nam starcza, nie jesteśmy zachłanni – odpowiedział Witek Golonka.

– Ale od przybytku głowa nie boli? – pytał groźny Cygan o włosach czarnych jak krucze pióra.

– Nie! Trzeba jednak znać słowo „dość”! Gdy myśli się tylko o pieniądzach, serce jałowieje jak gleba bez wody – zauważył Antek Kopytko.

– Aaa tam, aaa tam, życie jest tylko jedno. Trzeba z niego czerpać całymi garściami – przekonywał mały i krępy Cygan, którego oczka świdrowały wszystkich jak ostre narzędzia.

– Nie kuście, bo skusić się nie damy! – krzyknął zniecierpliwiony Zbych, Dzwonem zwany.

Pewnego dnia koronowski burmistrz wezwał do siebie cygańskiego wójta, którego znał od lat i tak mu rzekł:

– Dotąd nie mieliśmy z Cyganami żadnych kłopotów, ale ci, którzy niedawno przybyli, ludzi do buntu podżegają.

– Nie znamy ich – zapewniał cygański wójt. – Jednak spróbujemy pomóc.

Gdy nazajutrz wieczorem „nowi” Cyganie pojawili się w karczmie, jej próg zaraz przekroczyli ci od dawna mieszkający w Koronowie.

– A co wy nam przyjaźń z koronowianami psujecie? – zapytał surowo cygański wójt. I... zaczęła się bójka, podczas której „nowym” czapki z głów pospadały i wtedy wszyscy ujrzeli, że mają oni... rogi!

– Toż to diabły! – wrzasnął Zbych, zwany Dzwonem.

– Zgadza się! – Szyderczo zaśmiał się ten o włosach jak krucze pióra. – I zrobimy wszystko, aby was zniszczyć, za to, że paktów z nami nie chcieliście zawierać. Ukradniemy wam księżyc i miasto wasze pograży się w wiecznej ciemności.

Złowieszco błysnęły ich zębiska, zaiskrzyły się diabelskie ślepia i już ich nie było. W powietrzu pozostał tylko dziwny zapach.

– Siarka... – szepnął Witek Golonka.

Kilka dni później burmistrz Mateusz ciężko zachorował. Minął tydzień, drugi, trzeci, wciąż nie był on w stanie podnieść się z łoża. W końcu wezwał do siebie starą Cygankę.

– Powiedz mi szczerze: wyzdrowieję, czy mam się już oglądać na księżą oborę?

– Wyzdrowiejesz – zapewniła Cyganka. – Musisz jednak wykonać pewne zadanie: udasz się na wzgórze pod Koronowem, gdzie pozostaniesz kilka dni, i będziesz mył się o świcie ranną rosą.

Burmistrz nie był w stanie sam dotrzeć na wskazane miejsce, więc zaniecono go tam. Leżał na wzgórzu, patrzył w stronę ukochanego miasta i myślał z rozrzewnieniem: „Znam tam każdą ulicę i wszystkich mieszkańców. Kocham ich i oni chyba to uczucie odwzajemniają, opowiadają mi o swoich radościach i troskach. Tak bardzo chciałbym dalej im służyć!”.

Gdy nadchodził ranek, burmistrz zgarniał z soczyście zielonej trawy rosę i wcierał ją w skórę. Miał wrażenie, że zalecona przez Cygankę kuracja naprawdę skutkuje. Nastąpiła trzecia noc. Mateusz patrzył w niebo, na którym księżyc przybrał kształt rogała. Sen kleił mu oczy, gdy nagle do jego uszu dotarły jakieś szmery: czy to sen czy jawa? Nie musiał się nad tym długo zastanawiać, bo zaraz ujrzął wylaniające się z pobliskich krzaków postacie. Trzymały one w dłoniach drabiny. Burmistrz lekko wsparł się na łokciu i... już nie miał wątpliwości: to te diabły... w świetle księżyca wyraźnie widać rogi!

Drabiny zostały ustawione i zaraz potem ci, którzy niedawno udawali Cyganów, zaczęli ochoczo wspinać się po szczebelkach.

– Zaraz ukradniemy im księżyc. – Diabłe głosy były radosne i przeradzały się w coraz donośniejszy chichot. Ale w tej chwili rozległ się tubalny, zdecydowany głos:

– Mówi do was gospodarz tego miasta. Nie ukradniecie nam księżyca! Niech was piekło pochłonie, na wieki, wieków! Amen.

I wtedy niebo przecięła błyskawica, poprzedzona potężnym grzmotem. Szczeble drabiny zaczęły się łamać i wbijać w ziemię, a niebawem w tym miejscu wzrósł las grabów. A diabły? Już ich nie było. Kiedy nazajutrz Mateusz po długim śnie otworzył oczy, czuł się jak nowo narodzony. Zerwał się na równe nogi i wtedy ze zdumieniem ujrział rosnące wokół graby. Wkrótce miejsce to nazwano Grabiną. ♦



KOWALEWO POMORSKIE

JAK POWSTAŁ HERB KOWALEWA POMORSKIEGO

Ponad 300 lat Krzyżacy w Kowalewie gospodarzyli. Z tutejszej komturii nadzorowali zamek i okoliczne dobra. Były to czasy średniowiecza. Wyobraźcie sobie, że już wówczas, już 600 lat temu godło miejskie wyglądało tak, jak dziś: na białej tarczy dwie gwiazdy, między nimi półksiężyc, poniżej pół ryby. Dziś tarcza jest czerwona – ot, drobna zmiana.

I przez te wszystkie wieki pokolenie po pokoleniu zachowywało pamięć o historii tego herbu. Ale jak to w przekazie ustnym bywa, z czasem powstały rozbieżności. Jedna grupa osób uważa, że wszystko, co się na tarczy znajduje, ma wymowę religijną: ryba to symbol chrześcijaństwa, półksiężyc – kościół czuwający nad sprawami ziemskimi, a gwiazda – znak Najświętszej Marii Panny. Krzyżacy to przecież Zakon Maryjny. Na pewno uważali się za ziemskich strażników niebiańskiego porządku – czyż to nie wystarczające wytłumaczenie, mówią? Może i tak, gdyby... właśnie, gdyby nie ci, którzy pochodzenie herbu wiążą ze zgoła inną historią. A była ona taka...

W XIII wieku Krzyżacy na dobre rozpanoszyli się na polskich ziemiach. Mieli tu zamek, komturie i ziemie. Czuli się panami i władcami, o władzy prawie królewskiej. Wiecie, wszystko im było wolno: daninę zebrać, aresztować, skrócić o głowę czy łaskę okazać. Cały żywot okolicznej ludności od jednego ich słowa zależał. A ludność żyła biednie. Ich domy, usiane pomiędzy jeziorami, po których dzisiaj nie ma śladu, były skromne. Jedno z tych jezior nazywano Schönsee, co znaczy piękne jezioro.



Właśnie tam, nad samą wodą mieszkał Jan z rodziną. Trudnił się rybołówstwem. Jezioro Schönsee nie tylko było malownicze. Największe jego bogactwo stanowiły ryby.

– Stary! Stary! Choć no tu – zawołała męża Wiesława.

Chwila minęła, zanim ten poderwał się.

– Czego ode mnie chcesz, kobieto? – zapytał żonę zniesmaczony, że popołudniową drzemkę mu przerywa. – Przed świtem jeszcze na rybach byłem, zmęczony jestem teraz. Gadaj, co masz i spać pozwól człowiekowi!

– Z miasta żem przysła – sapie zziąjana. – Mówią ludzie, że te Krzyżaki znów podatek podnoszą. To już trzeci raz w tym roku. Co my zrobimy?! Olaboga!

– Nie kobieto nie zrobim! – rzecze Jan stanowczym głosem, przykrywając głowę czapką. – Co poczniesz? Skromniej żyć będzie trzeba. Jeszcze ryby mamy, one nas wyżywią. Damy jakoś radę.

Miesiące mijały. Pachnąca świeżością wiosna przemieniła się w suche lato, które spłyneło ulewnymi deszczami. W kowalewskich domach coraz biedniej było, ale żyło się jakoś z dnia na dzień. Kiedy nagle... kolejna nowina miejscowość obiegła. A że Wiesława zawsze jako pierwsza wszystko wiedzieć musiała, w pierwszym rzędzie stała, gdy ludzi zgromadzono wołaniem:

– Ludzie, ludzie, słuchajcie! Krzyżacy daniny nowej żądają! Każdy rybak połowę ryb z każdego połowu ma im oddać!

– Niemożliwe! Nie do wiary! Głupoty paplacie! – przekrzykiwali się ludzie.

– Mówili! Prawda, jako Bóg na niebie – zapewniali inni.

Niedobre wieści potwierdziły się, gdy tylko rycerze krzyżaccy przybyli pełnić wartę nad jeziorami. Czasem pieszo, czasem konno – całe dnie patrolowali. A kto na ryby pod ich nieobecność wyruszy, kto odpowiedniej części połowu nie odda – o, biada temu! Aby do gara było co włożyć, coraz więcej łowić musiano. Wcześniej zarzucano sieci, a ryb – jak na ironię – coraz mniej było. Po jesieni zima przyszła i głód zaczął do domów zaglądać. W skutych lodem jeziorach przeręble trzeba było rąbać. Ludzie słabi byli, chorowali i umierać zaczęli. Narastała złość i frustracja, a rosnący głód coraz to nowe pomysły do głów podsuwał. Zaczęły się kradzieże. Rosła wzajemna nieufność.

Jan, jako jeden z najstarszych mieszkańców Kowalewa, ze względu na wiek miał spory autorytet. Widząc, że źle się dzieje, do baby swojej rzecze:

– Wiesia, powiedz no ludziom, by jutro przed dom nasz przybyli, ale nie za dnia, tylko po zmroku, przy blasku księżyca. I niech poczekają, aż Krzyżacy wartę skończą, co by ich żaden nie zauważył. Pomysł mam, jak biedzie zaradzić.

– Ludzi po zmroku z chat wyciągać! Coś ty wymyślił! Oby dobry ten twój pomysł się okazał, bo jeszcze ja tłumaczyć się będę musiała – odburknęła, narzucając na plecy chustę i wyszła.

Nazajutrz wieczorem, gdy już miesiąc na niebie świecił, wyprowadziła Wiesia Jana przed dom. Na podwórzu ujrzeni kupę ludzi. Każdy dzierzył włócznię lub harpun.

– Są – oznajmiła mężowi. – Przyszli wszyscy, jak żeś polecił.

Gdzieś z tłumu wydarł się okrzyk:

– Wyrznać w pień tych Krzyżaków, lichwiarze jedni!

– Tak, racja! Z głodu umieramy my i dzieci nasze – zawtórował drugi głos.

Wtem Jan odezwał się mocnym głosem:

– Ciiicho ludzie! Nie po to was wezwałem, abyśmy do wojaczki z Krzyżakami stawali. Rycerzy siłą nie zgładzimy, ale... pokonać możemy sprytem i rozumem.

– Patrzajcie, teraz wieczór i żadnego Krzyżaka nad jeziorem nie ma. Gdy księżyc i gwiazdy na niebie, oni wolą ucztować i spać, niż warty pełnić.

– Co radzisz, Janie? – zapytało kilku zgromadzonych.

– Połowy za dnia ograniczymy do minimum. Wypływać będziemy jak zawsze, ale większość złowionych ryb wypuścimy do wody. Dzięki temu Krzyżacy dostaną mniej. Drugi raz na połów wyruszać będziemy po zmroku, gdy rycerze zakonni skończą wartę.

– Zgoda, Janie! Zgoda, dobrze prawisz! – mówiły głosy z tłumu.

Od tej pory wypływali na połów dwa razy. Za dnia prowizorycznie i drugi raz po zmroku, przy blasku księżyca. Co złowili, z apetytem pałaszowali ze swoimi rodzinami. Głód niebawem minął. W taki oto sposób okrutni Krzyżacy zostali przechytrzeni przez naszych pomyslowych rodaków. A skoro w tej opowieści istotną rolę odegrały gwiazdy i księżyc, umieszczono je później w herbie. ♦



O POPIELU, KTÓREGO MYSZY ZJADŁY

Żle się działo w kruszwickim grodzie, a i ludność okolicznych wsi miała powody do narzekania. Wspominano z tęsknotą dobrego króla Popiela I, który troszczył się o poddanych, nie uciskał ich daninami, a w czasie suszy zbożem z własnych spichlerzy od głodu ratował. Teraz jednak w kruszwickim zamku mieszkał syn, zmarłego kilka lat wcześniej Popiela I – Popiel II. Będąc jeszcze dziecięciem, często objeżdżał z ojcem okolicę. Miły był to chłopiec, wieśniaków wypytywał o zbiory, a z chłopskimi dziećmi lubił pobaraszkować. Wszystko zmieniło się, gdy stary król na zawsze zamknął oczy, a na zamku pojawiła się żona młodego władcy – Gerda. Skąd Popiel ją przywiózł? Powiadano, że z Niemiec. Była piękna, ale i okrutna. Po okolicy rozchodziły się wieści, że z lubością wrywała ptakom piórka, a muszkom skrzydełka. Bały się jej psy i koty, bo każde z nich czuło, że za spojrzeniem lekko przymrużonych oczu złej pani, przyjdzie zaraz cierpienie. Powiadano, że Popiel jest wprawdzie władcą, jednak rządy nad nim sprawuje Gerda. Bała się jej cała służba, nawet rycerze zakuci w zbroję czuli pod swymi przyłbicami świdrujący wzrok tej, jak ją między sobą nazywali, sekutnicy. Dlatego dziwnym może się wydawać fakt, że wszechwładna królowa bała się... myszy! Ujawniło się to w czasie jednej z uczt, gdy na środku izby biesiadnej pojawił się mały gryzoń. Wtedy to, zawsze przymrużone, oczy Gerdy zrobiły się okrągłe jak młyńskie koła. Jednocześnie, wydając z siebie dźwięki podobne do ryku lwa, wskoczyła na ławę i drepcząc po niej, rozpaczliwie machała rękoma. Widok był tak komiczny, że biesiadnicy, powstrzymując wybuch śmiechu, powsadzali



głowy pod stoły, udając, że chcą złapać białe maleństwo. Ale wcale nie mieli takiego zamiaru, bo po raz pierwszy ujrzeni, że ta kobieta o lodowatym sercu ma jakąś słabość. Tymczasem myszka z przyjemnością zajadała kawałeczki serka, które wcześniej spadły ze stołu.

– Łapać wroga! – wrzasnął wstrząśnięty przerażeniem żony Popiel. – Usiec!

Na rozkaz władcy rycerze wygramolili się spod stołów, ale zrobili wszystko, by myszka, która dostarczyła im tyle uciechy, zdołała uciec.

W ciągu pięciu lat rządów Popiela II i Gerdy niechęć do nich narastała z każdym dniem. Trudno się temu dziwić, bo niemal codziennie zdzierano z okolicznej ludności daniny. Coraz rzadziej wokół chat chłopskich można było usłyszeć: „ko-ko”, „mu-mu” czy „chrum-chrum”. Wieści o okrutnych rządach kruszwickiego władcy dotarły do mieszkających w Myszyńcu jego stryjów. Postanowili oni przybyć do Kruszwicy, aby poskromić bratanek. Zastali go przy biesiadnym, suto zastawionym stole. Dzbany były pełne trunków. Jeden ze stryjów szepnął do pozostałych:

– Rację mają ludzie, powiadając „u Popiela wina wiewa”!

Bratanek zaprosił krewniaków do stołu słowami:

– Raczej się stryjaszku, gąski, kurki, kaczuszki, świnki – wszystkiego mam tu pod dostatkiem.

Najstarszy ze stryjów odrzekł:

– Nie na biesiadę my tu przybywamy, Popielu. Wieści smutne do naszych uszu docierają. Okrutne są twoje rządy. Ludzie uginają się pod ciężarem nałożonych danin, a twoja żona wciąż sprowadza z dalekich krajów drogie szaty, kosztowności, pachnidła.

Po tych słowach przymrużone oczy Gerdy zwięzły się jeszcze bardziej. „Oj, stryjaszku, chcecie wprowadzać nowe porządki w moim królestwie? Niedoczekanie”. Tak pomyślała okrutna pani, ale nie wyrzekła ani słowa. A stryj kontynuował:

– Czy chcesz bratanek, by potomni wspominali kiedyś Popiela II jako pozbawionego litości zdziercę? Mogą ci nadać przydomek „Zły” albo „Hulaka”, bo jak słyszymy i niestety widzimy, od trunków nie stronisz!

Mowa była długa i zawierała całą prawdę o rządach Popiela II i jego małżonki. Stryj zakończył ją słowami:

– Bratanek, wzywamy ciebie do opamiętania się! Życie ludzkie trwa krótko, a pamięć jest długa, czasami nawet wieczna!

Po dłuższej przerwie głos zabrał Popiel II:

– Stryjowie moi! Usłyszałem wiele gorzkich i cierpkich słów o sobie. Powinienem na nie odpowiedzieć i pragnę to uczynić. Jednak wasz przyjazd jest tak niespodziewany, że nie jestem w stanie od razu wygłosić odpowiedniej mowy. Pozwólcie więc, drodzy krewniacy, że udam się do innej izby, by tam zebrać myśli.

Wtedy zawołała Gerda:

– I ja mężu z tobą, wszak stryjowie i do mnie skierowali wiele przykrych słów.

Gdy Popiel z żoną opuścili biesiadników, stryjowie jęli deliberować.

– Jak sądzicie, opamięta się? Wprawdzie minę miał nietęgą, ale ty, Zbylucie, przemówiłeś takimi słowami, że tylko głazu by one nie poruszyły!

Najstarszy ze stryjów odpowiedział:

– Ja wierzę, że się odmieni, przecież to nasza krew!

Wreszcie pojawił się Popiel z żoną u boku. Gdy umilkły wszystkie głosy, rzekł:

– Moi drodzy krewniacy! Głęboko przemyślałem wasze słowa. Nie były one dla mnie miłe, ale – tu Popiel wziął głęboki oddech – niestety prawdziwe.

W tym momencie oczy stryjów rozjarzyły się radością.

– Pragnąc pozostać w pamięci poddanych i potomnych jako władca dobry i sprawiedliwy, od dzisiaj inaczej będą wyglądać moje rządy! A z was – tu wskazał ręką na stryjów – chcę uczynić radę doradców.

Izba aż zatrzęsała się od chóralnego okrzyku: „Hurra! Niech żyje Popiel II!”.

Usta króla ułożyły się w szeroki uśmiech.

– Zatem, kochani krewniacy, wypijmy za pomyślność mojego państwa, rządzonego odtąd przy pomocy mądrych i szlachetnych ludzi – zaproponował gospodarz.

To mówiąc, podał stryjom dzban wypełniony znakomitym winem. Każdy z nich brał potężny haust, po czym podawał dzban następnemu. Na końcu Motel (najmłodszy ze stryjów) podał go Popielowi i zawołał: „Pijże, Popielu, na zdrowie!”.

Kiedy jednak spojrzał na bratanek, przeraził się, bo jego wzrok był pełen nienawiści.

– Stryjkowie, ja nie mogę wam powiedzieć „na zdrowie!”, a jedynie „na śmierć!”, bo zaraz żywot wasz dobiegnie końca. To wyśmienite wino jest bowiem zatrute.

Nim sześć ciał zważyło się z hałasem na ziemię, najstarszy ze stryjów, Mieszko, wychrypiał złowieszczą:

– Kłątwa na was, na cały ród Popielów! Przeklinam was, a śmierć wasza niech będzie straszniejsza od naszej!

Biesiadnicy stali jak zamurowani. Za to Gerda uśmiechała się triumfalnie. Wiedziała, że ukryta w jej pierścieniu trucizna okaże się niezawodna. Już raz ją wypróbowała, kiedy to otruła swoją służkę, która czesząc ją kiedyś, nieopatrznie wyrwała kilka pięknych włosów władczyni. Tymczasem Popiel, wodząc po zgromadzonych groźnym wzrokiem, rzekł:

– Ktokolwiek z was piśnie słowo na temat wydarzeń, których był tu świadkiem, zostanie ukarany gardłem. Nocą ciała mych niegodziwych krewniaków służba wrzuci do Gopła.

Minęło kilka dni. Życie na kruszwickim zamku znowu wypełnione było hulankami. Zadowolony Popiel myślał: „Już nikt nigdy nie będzie mi ciosał kolców na głowie”. Z kolei podła Gerda rozmyślała: „Jakże słodka była to zemsta”. Dotykała przy tym pierścieniem z trucizną swego gładkiego lica. Gdy wbiła ostre zęby w chrupiącą skórkę gęsiny, by delektować się jej smakiem, coś ukłuło ją w kostkę.

– Auć! – Księżna pochyliła się, żeby ukarać jakąś uprzykrzoną muchę, gdy nagle... Nie, to niemożliwe – mysz! Spod stołu wydobył się lwi ryk Gerdy. Wszyscy w zdumieniu zwrócili głowy w jej stronę. Tymczasem zła pani, tak piękna jeszcze kilka chwil wcześniej, z rozwianym włosiem i dzikim wzrokiem znalazła się na ławie, dziwnie podskakując. Miała ku temu powód, bo wokół zaroilo się od gryzoni. Otaczały Gerdę, kasały po nogach, wychodziły z dzbanów oraz mis wypełnionych jadłem. Atakowały też Popiela, który daremnie się od nich opędział.

Wtem przerażony władca przypomniał sobie o klątwie rzuconej przez najstarszego stryja i krzyknął do żony:

– Musimy uciekać! Schronimy się na wyspie!

Wskoczyli więc do łodzi i co sił wiosłując, popłynęli na wyspę na jeziorze Gopło. Tam skryli się w wysokiej wieży, zaryglowali wrota i myśląc, że są bezpieczni, wyjrzeli przez okno. Ze zgrozą dostrzegli, że pierwsze myszy były już na wyspie, a reszta zbliżała się do jej brzegu. Po krótkim czasie gryzonie oblegały już wieżę. Niektóre zaczęły wspinać się po jej ścianach, inne drobnymi ząbkami przegryzały drzwi. Gdy fala tych małych oprawców wlała się do wnętrza, dla władcy i jego żony nie było już ratunku. Myszy w mgnieniu oka zjadły Popiela i Gerdę.

Od tej pory w wieży zaległa cisza. Jedynym dźwiękiem, który ją zakłócał, był brzęk królewskiej korony, toczącej się po schodach.

Przyszła zima, która otuliła Kruszwicę białym płaszczem. Poddanych zaczęło zastanawiać, co się dzieje z królem. Już od dawna nikt z zamku nie wychodził, nie wyjeżdżali końmi, a z komina nie unosił się dym. Gdy w końcu pewien młody kmicz odważył się pójść na zwiady, przyniósł radosną wieść:

– Król nie żyje, a w wieży tylko myszy grasują! Patrzcie, co zostało po Popielu! – wykrzyknął i pokazał koronę.

Lud po wielu latach okrucieństw odetchnął z ulgą, a o ich udrękach przypominają do dziś uderzające nocą o brzeg jeziora fale. ♦





O POLI NEGRI Z LIPNA

Jakże szczęśliwe było dzieciństwo Poli w domu rodzinnym w Lipnie! Tatuś, Jerzy Chalupec, był wprawdzie człowiekiem bardzo zapracowanym, ale swojej ukochanej jedynaczce poświęcał każdą wolną chwilę. Zajmował się kotlarstwem, czyli wyrobem kotłów, garnków i rondli. Pomagał mu w tym stryjek Paweł i babcia. Przybył do Lipna ze Słowacji, poznał mamusię i wzięli ślub. Zamieszkali w dużym domu, w którym ona, Pola, przyszła na świat. Mamusia była dobrą gospodynią, dlatego z kuchni zawsze docierały do nozdrzy domowników kuszące zapachy pieczonego chleba, smażonych naleśników i wyśmienitych placków. A o zupach pani Eleonory opowiadały wszystkie sąsiadki:

– Jak ona to robi, że są tak gęste i treściwe, że łyżka w nich stoi, a jak smakują! Mniam... mniam...

Ze wszystkich pór roku Pola najbardziej lubiła lipnowską wiosnę, kiedy to cały ogród i okoliczne pola tonęły w różnobarwnych kwiatkach. Czasami plotła z nich wianki albo całe naręcza przynosiła do domu. Mamusia robiła wówczas piękne bukiety i wkładała je do wazonów. Takie dekoracje zdobiły solidne dębowe meble w całym domu.

Ukochanym drzewem Poli była rozłożysta wiśnia, rosnąca nieopodal. Kiedy wiosną zakwitała, Pola zwinnie wdrapywała się na jej konary. Widziała stąd kwitnące



łąki, ale najczęściej spoglądała w stronę drzwi, wiedząc, że wkrótce ukaże się w nich czarna czupryna taty, który na czas obiadu przerywał pracę, by choć na krótko zobaczyć żonę oraz córkę i zjeść z nimi wspólny posiłek. Pola widziała na jego zmęczonej twarzy tajemniczy uśmiech. Gdy zbliżał się do drzewa, na którym siedziała, pytał z udawanym zdziwieniem:

– A gdzie jest nasza zamyślona?

I wtedy Pola zsuwała się z drzewa prosto w jego ramiona. Z całych sił obejmowała jego szyję i śmiejąc się serdecznie, zajmowali miejsce przy ogrodowym stole, na którym mamusia stawiała właśnie swoje kulinarne specjały. Tatuś, nadziewając na widelec kawał pieczonego mięsiwa, pytał córkę:

– A kto dzisiaj przybył do twojej bajkowej krainy?

Wtedy Pola, filuternie przekręcając głowę, zaczynała swoją opowieść:

– Taki dziwny ptak. Nie był duży. Miał niebieskie i żółte piórka oraz czerwony kapelusik. Zaczął śpiewać, a potem... tatusiu, ty mi pewnie nie uwierzysz, ale to prawda, zaczął do mnie mówić. Znał moje imię i powiedział tak: „Polu, Polu kiedyś pojedziesz do dużego miasta, a potem jeszcze większego, gdzie poznasz wielu ludzi, ale jeszcze więcej będzie znało ciebie.” Zapytałam go wtedy, czy tam, daleko, będą ze mną mój tatuś i moja mamusia? Wtedy ptaszek dziwnie na mnie spojrzał, coś smutno zaśpiewał i odleciał. Jak myślisz, tatusiu, co to znaczy?

Ciemne oczy dziewczynki z powagą spoczęły na twarzy ukochanego ojca, który patrząc na córkę, odrzekł po głębszym namyśle:

– Widzisz, córeczko, teraz jesteś dzieckiem, ja i mamusia staramy się, aby twoje dzieciństwo było beztrudne, chociaż czasy wcale takie nie są. Polski nie ma na mapie Europy, ale ja wierzę, że kiedyś to się zmieni. Władze carskie robią wszystko, żeby nie było tutaj śladów polskości. Jestem przekonany, że nigdy im się to nie uda. Chociaż urodziłem się na Słowacji, od kilkunastu lat mieszkam tutaj i czuję się z tą ziemią bardzo związany. Polska kiedyś będzie wolna. – Głos tatusia zadrżał. – Może się tak zdarzyć, że mnie przy tobie nie będzie. Wtedy musisz podążyć własną drogą, by realizować swoje marzenia. Może zdobędziesz sławę? Nie zapomnij jednak nigdy, gdzie jest twoje rodzinne gniazdo, choćbyś miała z niego odfrunąć bardzo, bardzo daleko.

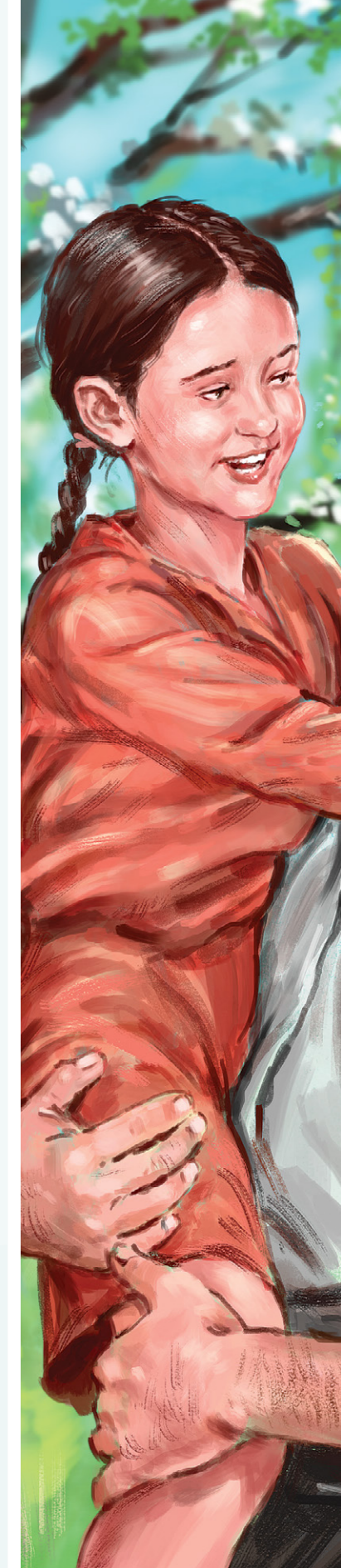
Po twarzy Poli spłynęły dwie duże łzy.

– Tatusiu, przyrzeknij, że jeszcze długo, długo będziesz przy mnie...

Ciepła dłoń ojca zmierzwiła bujną czuprynę ukochanej jedynaczki.

– Wiem, że zawsze sobie poradzisz – powiedział łamiącym się głosem.

Kilka miesięcy potem Jerzy Chalupec został aresztowany przez carskie władze i wywieziony na Sybir. Był rok 1902, Pola miała wtedy pięć lat. Wkrótce jej mama sprzedała lipnowski dom z ogrodem i wyjechała z córką do Warszawy. Tęsknota za ojcem pozostała w Poli do końca życia, ale jego prorocze słowa „poradzisz sobie” spełniły się co do joty. Przyjmując artystyczne nazwisko Pola Negri, dzięki wielkiemu talentowi, zrobiła zawrotną karierę jako gwiazda filmu niemego. Trafiła do Hollywood, gdzie poznała wybitnych aktorów. Wiodła burzliwe życie. Dwukrotnie wstępowała w związki małżeńskie, a o jej romansie z Rudolfem Valentinem pisano w wielu gazetach. Zmarła w dostatku w Stanach Zjednoczonych, w wieku 90 lat. ♦





O SKRZYŻOWANIU SZEŚCIU DRÓG I SIEDMIU DIABŁÓW

Znajdziecie w powiecie tucholskim gminę Lubiewo, a na jej terenie skrzyżowanie – tajemnicze i dziwne. Jak mówi pewna stara legenda Borów Tucholskich: najprawdziwsze zło czai się tam ukryte.

Jak co dzień Waclaw przed chatą siedział. Sędziwy był to już dziadunio. Broda długa opadała mu na piersi. Siedział tak i dumał. A kto by nie przechodził drogą – zaczepił zawsze, pożartował, naopowiadał. Oj, opowieści to on znał całe mnóstwo! I o ile nogi już mu posłuszeństwa odmawiały, umysł miał wciąż sprawny, bystry i ciekawy.

– A dokąd to Bogdan idziesz tak w samo południe? – zagadnął zbliżającego się chłopca.

– A do Bysławka pójde, konia podbić trzeba. Kowal tam najlepszy – odparł chłop, przystając.

– Uważaj ino, nie wiesz, jakie licho na tamtejszych drogach mieszka!?

– A co ty opowiadasz Waclaw! Brednie jakieś pleciesz. Pewnie słońce ci zaszkodziło.

– Nie żadne brednie, a prawda najprawdziwsza! – obruszył się starzec. – Młody jesteś jeszcze. Rady starszych nie lekceważ. Zasiądź tu ino i posłuchaj. Kowal nie ucieknie, do Bysławka zdążysz, a może duszę swą uratujesz.



Bogdan unosząc kapelusz, otarł pot z czoła i rzekł:

– Ech, gorąco w samo południe. Może i masz trochę racji. Odpocznę chwilę.

– Niedaleko tu jest skrzyżowanie – zaczął swą opowieść Waclaw. – Z góry skosem przychodzi droga z Klonowa i ten szlak idzie dalej na wprost do Bysławka, ale zauważ, dróg tam jest aż sześć! Drugą łagodnym klinem odbija od tej głównej, trzecia droga – do Minikowa, czwarta – prostopadła do głównej. Piątą drogą to ty tam przybędziesz. Jest i szósta, która niegdyś skracała drogę flisakom – w kierunku Lisiegokąta, dziś najmniej używana. Zaiste dziwne to skrzyżowanie... Kolejiny życia w tym miejscu gęsto się krzyżują...

– Co masz na myśli Waclawie, zbójcy tam grasują? – zapytał chłop.

– Goorzej Bogdanie, goorzej! – ciągnął powolnym głosem starzec. – Zbójcy odzienie ci tylko i majątek zabrać mogą. Ale to biesy! Ci o duszę twą walczą. W starciu z nimi na wieki przepaść możesz! Dlatego pamiętaj, Bogdanie, którąkolwiek z tych dróg podążać zamierzasz, ostrożnym być musisz! Na każdej z tych dróg czart siedzi. A jest ich nie sześciu, lecz siedmiu – nie do pary jakoś wyszło. Na dodatek wśród czarnej gawiedzi są i lepsi, i gorsi. Rzec by można – pół na pół.

– Ha, ha, ha! Dobre diabełki?! Ale kawał! – Bogdan roześmiał się zdrowo.

– A są, są! – potwierdził starzec. – No może są to stworzenia ciut psotliwe, ale ludzie ich ciężką dolę rozumieją. Od tej swojej dobroci nawet imiona dostali na literę „D”. Zwią się: Dionizy, Damazy i Danek. Tych troje większej krzywdy nigdy nikomu nie zrobiło. Nogę czasem podłożą, szyszkę z drzewa strącą, ale poza tym, jeśli na nie akurat trafisz, za szczęściarza uznać się możesz. Pozostała trójka to zbiry okropne, wyzute z ostatniego cienia dobroci. Imiona ich na ostatnią literę alfabetu się zaczynają: Zeny, Zdzichu i Zbychu.

– No a siódmy? – dopytywał Bogdan. – Mówiłeś, że ich siedmiu.

– Ostatniego zwą Nikodem – ani zły, ani dobry. Psoty jego od dnia i humoru zależą. Raczej za nieszkodliwego uchodzi. Ale szefem całej tej bandy jest Boruta – uśmiechnął się lekko Waclaw i rozsiadł wygodniej, aby kontynuować. – Co rano oddział swój skrzeczącym, przenikliwym głosem do porządku przywołuje: „Kosmaci! Wstawać! Do roboty! No dalej leniuchy, ruszać się!”. Boruta od samego początku na owym fekalnym skrzyżowaniu grafik wprowadził, według którego co dnia robotę diabłom rozdziela: „Zdzichu, ty masz wolne!” – oznajmia Boruta. „Za te dziesięć duszyczek, co je wczoraj przyprowadziłeś, zasłużyłeś.” Pozostała szóstka, wedle zdolności, charakteru i zaciekłości próbuje sztuczek na swojej dyżurnej drodze. Przebierają się za zbłąkanych

chłopów na grzybach, poczciwe kobieciny zbierające jagody, albo pijaków. W razie nagłej potrzeby z wielką łatwością każdy z nich może być kotem, psem, wiewiórką, a nawet ptaszkiem czy czerwonym kurem. Jeden kiedyś ponoć szerszenie hodował. Żądliły one wszystko i wszystkich. Były wywołać w człowieku złość, strach i przekleństwo – wiele są gotowe uczynić.

Bogdan patrzył na starego z rozdziawioną gębą, a ten zniżył lekko głos i ciągnął dalej swoją opowieść:

– Był raz taki przypadek... Biedny chłop z Cierplewa udał się pieszo ze swym chudym byczkiem na targ do Tucholi. Wyruszył już z wieczora, bo chciał po drodze krewniaków odwiedzić w Klonowie. Dobra rodzina zwierzę napoiła, gościa jadłem poczęstowała i gorzałką uraczyła. Grubo już było po północy, gdy w dalszą drogę się udał. Ciągnął za sobą upartego byka, a ten, rozleniwiony odpoczynkiem, na wędrowkę dalszą ochoty nie miał wcale. Zapierał się, szarpał, siadał nagle. Trudna to była droga, a noc dodatkowo jeszcze ją opóźniała. Buty już dawno biedakowi rozmokły, przesiąkła stara mycka i kurtka. Kiedy znaleźli się na skrzyżowaniu, byk nagle się ożywił. Zaczął brykać, ryczeć, „wycinać” nogami. Spocony szamotaniną chłop, stanął na czymś twardym, ale miękkim zarazem. Mocniej ścisnął powróż w jednej ręce, drugą złapał za twarde. Była to pięta dobrego, nowiutkiego buta z długimi, miękkimi, cholewami! Ucieszył się w pierwszej chwili, ale dotarło do niego, że jeden but, nawet najlepszy, jest bezużyteczny! „No, jo jeden je” – pomyślał.

– A gdzie drugen? – głośno zapytał się nie wiadomo kogo. – Jedan nawet dycht najlepszy, to tylko bezużyteczny szkrup – rozprawiał rozeźlony chłopina.

W podwójnej złości – na jeden but i na byka niespokojnego – ruszył dalej pod Tucholę. Uszedł za jeden zakręt, potem drugi, aż doszedł do grobelki, gdzie kończy się las. Od łąk jakby pojaśniało. Patrzy zmęczony chłopina, a na drodze leży drugi, taki sam, but. Byczka uwiązał na postronku do drzewa, a sam rug-cug poleciał po niego, ledwo dech w piersiach łapiąc. Ścisnął nowy but, by szybko porównać go z pierwszym, porzuconym na skrzyżowaniu. Długo jednak biedak szukał, szukał... i nie znalazł. Rozeźlony do białości, wyzywając i przeklinając, wrócił chłopina do drzewa. Patrzy... a tam wisi tylko pusty sznur. Po chudym byczku ani widu, ani słyhu. Dopiero teraz zaczęło się biadolenie. Nie pomogło bieganie ze skarpy na skarpe. Został mu tylko o wiele za duży but i powróż po zwierzęciu.



„Nic mi nie zostało. Wrócić do Cierplewa trzeba” – rozmyślał, idąc powoli. Po drodze spotkał gospodarz panicza ze skórzaną walizeczką, który za jeden „podpisik” oferował drugi but, i na dodatek pełen brzęczących monet. Domyślał się co to za jeden, ale realny strach przed żoną bardziej go paraliżował niż odległa wizja piekła. Podpisał więc co trzeba, zadowolony z siebie, że dobry interes zrobił.

Cóż biednym wędrowcom pozostało? Jeno modlitwa do Boga o szczęśliwy grafik tego dnia, kiedy podróżować przez owo miejsce mają. I tobie życzę, Bogdanie, aby na klonowskiej drodze dyżur miał Damazy, co nigdy nie czuł urazy, Dionizy, co nad życie Minikowo wśród pagórków umiłował, często więc każdemu na tej drodze po prostu darował, oraz Danek, który z całej siódemki był najmniej śmiały i na dodatek lekko zająkały, ale nad grobelką krzywdy nikomu nie czynił.

– Dziękuję. Zasiedziałem się starcze! – oprzytomniał zasluchany Bogdan. – Ruszam dalej, a za opowieść dziękuję. Przeżegnaj się pod lasem... tak na wszelki wypadek.

Moi drodzy, każdy ma też swoje drogi. Kroczcie dzielnie więc przez życie, a jak wam się drogi skrzyżują i biesy zwieść swą pokusą na manowce będą chcieli, to pamiętajcie o tej legendzie – bądźcie silni i wytrwali. ♦



JAK KRÓL WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO MOGILNU PRAWA MIEJSKIE NADAŁ

Mijał już dwunasty rok, odkąd Władysław Jagiełło zasiadł na polskim tronie. Poślubiając w 1386 roku, młodszą od siebie o niemal 20 lat, urodziwą Jadwigę Andegaweńską, koronowany został na króla Polski, którą połączył unią ze swoją ojczyzną – Litwą.

Jagiełło znany był z tego, że często podróżował po rozległym terytorium, nad którym rozciągało się jego panowanie. Była właśnie wiosna roku Pańskiego 1398. Nieliczny orszak królewski zbliżał się do Mogilna, którego właścicielami byli benedyktyni. Zakon ten, założony w VI wieku na Wzgórzu Monte Cassino, sprowadzony został do Polski w pierwszej połowie XI wieku. Pracownicy mnisi wznosili kościoły i klasztory, a w skryptoriach przepisywali starannie grube księgi, bowiem druk nie był jeszcze znany. *Ora et labora* (módl się i pracuj) – tak brzmiała benedyktyńska dewiza. Jagiełło lubił rozmawiać z mniachami, bo byli to ludzie światli, serdeczni i gościnni. Cieszył się więc monarcha, widząc z daleka solidne mury mogileńskiego opactwa. Okoliczny lud, widząc monarszy orszak, przerywał pracę, by głębokim ukłonem powitać dostojnego gościa. Mnisi wiedzieli o przyjeździe władcy, stoły były więc suto jadłem zastawione, a w dzbanach połyskiwał



złocisty miód (nie był jeszcze wówczas znany likier, zwany benedyktynką, z produkcji którego zasłyną mnisi w XVI wieku).

Szeroko otworzył ramiona mogileński opat, widząc rozradowane oblicze polskiego władcy. I zaraz wszyscy zasiedli do stołu. Jagiełło jadł z ogromnym apetytem, co gospodarzy wielce cieszyło. Zrazu mówiono mało, lecz w miarę zaspakajania głodu rozwijała się interesująca rozmowa. Opat dobrze był zorientowany w sprawach politycznych, dlatego monarsze opowieści niezwykle go ciekawiły.

– Ale, ale... – W pewnej chwili stropiony opat klepnął się dość mocno w łysą głowę. – Zrobiło się bardzo późno, a wasza królewska mość na pewno łaknie odpoczynku, leże już przygotowane!

Król nie oponował, bo rzeczywiście odczuwał już zmęczenie i pożegnawszy pozostałych biesiadników, odprowadzony do jednej z izb przez mnicha o imieniu Celestyn, udał się na spoczynek. Król, pochodzący z kraju, gdzie klimat był chłodniejszy niż w Polsce, zawsze, nawet zimą, spał przy otwartym oknie. A teraz była cudna, ciepła noc majowa. Stał w oknie i z lubością wsłuchiwał się w śpiew słowików. To była jedna z jego największych przyjemności. Zamknął oczy. Te słowicze wariacje i trele „gig, gig”, „cik-cik”... Czy może być na świecie coś doskonalszego? Nagle wszystko ucichło. „Słowiki poszły spać” – pomyślał król i idąc za ich przykładem, osunął się na legowisko, by już po chwili głośno chrapać.

Nazajutrz, gdy poranny posiłek pojawił się na stole, opat z coraz większą niecierpliwością czekał na monarchę. Niepokoił się też nieliczni rycerze Władysława.

– Król przecież wstaje bardzo wcześnie – mówił jeden z nich.

Zdecydowano się wreszcie zajrzeć do królewskiej izby. Uczynił to Jędrzej, monarszy ulubieniec. Nagle okrzyk pełen przerażenia uderzył w mury klasztoru: „Króla nie ma!!!” – rozpoczęły się gorączkowe poszukiwania.

– Może gdzieś w okolicy słucha słowików? – pytano z nadzieją w głosie.

– Może jest nad jeziorem?

– Może... może...

Ale władcy nigdzie nie było. Opat zwołał naradę z udziałem rycerstwa i zakonników.

– Nie mam wątpliwości, że monarchę porwano! – oznajmił.

– Jak to? – Z kilkudziesięciu gardeł rozległ się krzyk przerażenia. – Kto ośmieliłby się podnieść rękę na najwyższy majestat?



MROCZA

SKĄD SIĘ WZIĘŁA OWCA W HERBIE MROCZY?

Działo się to w początkach lat 90. XIV wieku, kiedy na tronie polskim zasiadał wielki książę litewski Władysław Jagiełło. W 1386 roku poślubił on Jadwigę Andegaweńską i takim sposobem został władcą Królestwa Polskiego.

Wielkim utrapieniem dla Polski i Litwy byli w tamtych czasach Krzyżacy. Kolejna wojna z zakonem wisiała na włosku. Rycerz Arnold z Wałdowa otrzymał niezwykle ważne zadanie do wykonania: miał dotrzeć do Krakowa i przekazać królowi list, który miał rozstrzygnąć, czy będzie wojna czy pokój.

Świadomy swojej wielkiej misji gnał Arnold na rączym rumaku leśnymi ścieżkami rozumując, że tu może się czuć w miarę bezpiecznie. Przecież Krzyżacy po całym państwie mieli rozsianych swoich szpiegów, a las dawał jednak pewną gwarancję, że tu ich macki nie sięgną.

Zbliżał się do Nakła, gdzie chciał zmienić zziąjanego konia na innego. Musiał jeszcze tylko przebyć ten niezbyt rozległy las. Lecz co to? Coś zielonego podskoczyło w górę. Przerażony koń stanął dęba, a zaskoczony jeździec zwałił się na ziemię. Po chwili zobaczył tylko zad zwierzęcia i słyszał oddalający się tętent końskich kopyt. Arnold rozejrzał się dookoła i ujrzał siedzącą na kępcie mchu... żabę. I wtedy pojął, co się stało.

– To ty! – Jego głos wyrażał straszliwy gniew. – Nie daruję ci tego i zaraz zrobię z ciebie...

– Słuchajcie! Mnich z trudem powstrzymał wzburzonych. – Obok opactwa przebiega kupiecki trakt. Grasują na nim zbójckie bandy i przypuszczam, że któraś z nich, dla okupu, porwała naszego monarchę!

Z wszystkich lamentujących głosów wybijał się jeden – Jędrzeja, królewskiego ulubieńca.

– To moja wina! – Potężnym ciałem rycerza wstrząsało niepohamowane łkanie. – Nie powinienem naszego władcy spuszczać z oka, a w nocy jak pies czuwać przy nim.

Opat szybko uciszył wszystkich.

– Nie wolno załamywać rąk. Tu trzeba działać! Należy powiadomić o zdarzeniu okoliczną ludność i za wszelką cenę odbić władcę z rąk napastników. A tych przykładnie ukarać!

Tak też uczyniono. Poszukujący monarchy ludzie zrobili wielki pierścień, który się coraz bardziej kurczył. Ci, którzy z niego wychodzili, tworzyli nowy, zewnętrzny, gdyby zbójcom udało się wymknąć z tego pierwszego. Jędrzej, który oprócz niebywałej siły miał też sokoli wzrok, zawołał: – Widzę grupę ludzi!

I już biegł w tamtą stronę, a za nim jego przyjaciele – Kacper i Bolko. Zbójcy słyszeli jego głos i ustawili się w pozycji do walki. Ale gdzie im było do zaprawionych w prawdziwych bojach rycerzy! Zbójckie bandy napadały najczęściej na bezbronnych, a walka z prawdziwym rycerstwem była im obca.

– Gdzie król? – wrzasnął Jędrzej i zdawało się, że z jego oczu lecą iskry.

– Tutaj. – Z drugiej strony grubego dębu rozległ się znajomy głos.

– Zaraz po ciebie przyjdziemy, najjaśniejszy panie. Najpierw jednak potańczymy sobie z tymi łapserdakami.

Ale taniec nie trwał długo. Pokonani, związani złoczyńcy wtrąceni zostali do głębokich, klasztornych lochów. Uwolniony monarcha z wdzięcznością patrzył na tych wszystkich ludzi, którzy z narażeniem własnego życia uczestniczyli w poszukiwaniach władcy. A dając dowód swej wdzięczności, 17 maja 1398 roku, nadał Mogilnu prawa miejskie. Do dziś w herbie miasta na błękitnym tle widnieją trzy złote krzyże, które przypominają, o jego dawnych właścicielach – nie tylko mądrych, nie tylko pracowitych, ale i odważnych benedyktynach. ♦



Miał wrażenie, że paskudny płaz patrzy na niego szyderczo wytrzeszczonymi oczami. Rzucił się więc ku niemu, ale stworzenie błyskawicznie skoczyło na inną kępkę... Powtórzyło się to kilka razy, gdy nagle Arnold poczuł, że ziemia rozstępuje się, a on już po chwili tkwił po pas w trzęsawisku.

– List... – jęknął zrozpaczony. – Zawiodłem!

Minęło kilka godzin. Zapadł zmrok, a Arnold tkwił w błotnistej pułapce. W pewnej chwili ujrzał zbliżające się do niego jakieś zwierzę z błyszczącymi ślepiami.

– Wilki – poruszył bezgłośnie wargami. – Zaraz dostarczę im powodu do uczyty.

Jednak zamiast spodziewanego wilczego wycia usłyszał... beczenie! Czy to możliwe? Toż to owca! Skąd ona się wzięła? Po kilku chwilach dobiegły do niego z oddali ludzkie głosy, a potem wyraźne słowa:

– Gdzie ta Cudka się podziała? – Pytający był wyraźnie zatroskany. – Co za utrapienie z tą owcą!

– Bywaj! – krzyknął Arnold.

Dwaj mężczyźni zbliżyli się do niego, ale jeszcze go nie widzieli.

– Nie podchodźcie zbyt blisko, bo spotka was ten sam los, co mnie. Tkwie w grzęzawisku, a wasza owieczka umościła sobie posłanie tam... Zaraz wam pokażę, tylko podajcie mi jakąś gałąź!

Teraz wszystko poszło gładko. Oblepiony ziemią rycerz Arnold stał między mężczyznami, wskazując legowisko Cudki.

– Całe szczęście, że ją odnaleźliśmy, jesteśmy pasterzami. Mam na imię Maciej, a mój przyjaciel Mikołaj. Zajmujemy się wypasem owiec należących do wszystkich mieszkańców naszej wsi. Jest ich 200, ale tylko ta jedna jest niesforna.

– A jak się nazywa ta wieś? – zapytał Arnold.

– Mrocza. – Maciej i Mikołaj odpowiedzieli jednocześnie, a ten pierwszy mówił dalej. – Ale ty rycerzu pewnie jesteś zmęczony i głodny, zapraszamy cię w nasze skromne progi. Przy wieczerzy opowiemy ci jeszcze o „wyczynach” naszej ulubienicy.

Z wielkim zaciekawieniem słuchał Arnold opowieści o niezwykłej owieczce.

– Zdarza się – opowiadał Mikołaj – że we wsi pojawi się jakiś wędrowiec, a już nasza Cudka z całą sforą psów biegnie za przerażonym człekiem. Do ujadania zdążył nieproszony gość przywyknąć, ale do „obekiwania” raczej nie. Kiedyś oskubała ogon konia naszego sołtysa tak, że został mu tylko śmieszny ogoneczek. Innym razem wsadziła

łeb do komina i wyciągnąć go stamtąd nie mogła. A jak się tam dostała? Bóg raczy wiedzieć.

Śmiał się serdecznie Arnold, słuchając tych historii.

– To ci dopiero Cudka! A jeszcze nie zapominajcie, od dzisiaj dodać do swoich opowieści i tej o uratowaniu życia pewnemu – tu palcem wskazał na siebie – rycerzowi!

Arnold spał wybornie. Gdy się obudził, czekał już na niego koń przyproszony przez Macieja od sołtysa. Rycerz podziękowawszy serdecznie za gościnę, pomknął do Krakowa. Tym razem nie miał już żadnych przygód i szybko wrócił do stolicy.

Ten niezwykle ważny list dotarł do króla Jagiełły, który wyraził w obecności rycerza swoje zadowolenie.

– Spisałeś się znakomicie. Chciałbym cię za to wynagrodzić. Może masz jakieś życzenie?

– Tak, najjaśniejszy panie – wypowiedział te słowa zdecydowanie, patrząc śmiało w dobre oczy króla. – Ofiaruj mi wieś Mrocza i uczyn z niej miasto.

– Chętnie to zrobię – odrzekł monarcha. – Ale chyba wiesz, że każde miasto musi mieć swój herb?

– Oczywiście. I nawet wiem, jak powinien wyglądać.

Król podniósł do góry brwi, wyrażając tym zdziwienie.

– Jak?

– Należy w nim umieścić wizerunek owcy.

– Owcy? Dlaczego?

– Bo pewna psotna owieczka uratowała mi życie, a tym samym ów list, który ci dostarczyłem, panie. Dlatego, doceniając jej zasługi, chciałbym ją uwiecznić!

Tak też się stało. W 1393 roku Mrocza uzyskała prawa miejskie, a w jej herbie, na niebieskim tle, umieszczona została sympatyczna owieczka. ♦



NAKŁO NAD NOTECIĄ

JAK NAKIELSKI KUCHARCZYK KRZYŻAKÓW SPOD ZAMKU PRZEPĘDZIŁ

Działo się to w czasach, gdy nakielskim kasztelanem był dobry pan imieniem Włodko. Szanowano go powszechnie. Poddanych nie uciskał, a sprawiedliwość – zgodnie z prawem – wymierzał, nie patrząc na to, czy ktoś z patrycjatu, czy z plebsu się wywodzi.

Jedyna córka kasztelana, Agnieszka, przygotowywała się do zamążpójścia. Wszyscy nakielanie mieli ręce pełne roboty, na wesele sproszono bowiem licznych gości, niektórych z odległych rejonów Polski. Kasztelan osobiście wszystkiego doglądał, bo chciał, by ślub jego jedynaczki zachwyił swą okazałością i by mówiono o nim przez długie, długie lata.

Włodko wciąż wymyślał jakieś konkursy: dla szewców na najpiękniejsze trzewiki dla panny młodej, dla piwowarów na najsmaczniejsze piwo, dla konwisarzy na odlanie najwymyślniejszego talerza lub kubka, a dla kucharzy na najsmaczniejsze, ale przy tym najoryginalniejsze danie. Każdy zwycięzca otrzymać miał złoty pierścień. W zamkowej kuchni rwetes panował niebывały. Kucharze prześcigali się w pomysłach. Jedni zdradzali je głośno, inni zatajali w obawie, że kolega podkradnie mu jego myśl.

Do konkursu postanowił też stanąć młody kucharczyk – Wawrzonek. Marzył on o tym, aby pojechać do Gniezna, poznać tam dogłębnie arkana sztuki kulinarnej, a potem zbudować własną karczmę. Piękne marzenia, jednak aby je zrealizować, konieczne są pieniądze. „Muszę zdobyć ten pierścień!” – myślał gorączkowo, a zaraz potem zrodziło się w jego głowie jeszcze



inne postanowienie: „Jeśli zbuduję karczmę, to przyrzekam, że w każdą Wigilię będę w niej gościł ubogich ludzi”. Niestety brakowało mu pomysłu na wyjątkową potrawę. Na zamek wciąż przybywali zaproszeni na wesele goście, harmider panował więc tu niebывały.

– Jak ja mam w tych warunkach tworzyć? – jęczał kucharczyk i wydawać się mogło, że jest on jakimś poetą, przeżywającym męki twórcze.

Pewnego wieczoru, a było to na dwa dni przed weselem, korzystając z ogólnego zamętu, wymknął się z zamku i pobiegł nad Noteć. Siadł w wysokich trawach i wpatrując się w bezgwiezdne niebo, szukał natchnienia. Modlił się do swojego patrona św. Wawrzyńca, a uznając, że w kwestii zbudowania gospody, był za mało hojny dla ubogich, szepnął:

– I na śniadania wielkanocne też będę ich zapraszać!

Nic nie pomogło. Coraz bardziej doskwierał mu chłód. Zniechęcony postanowił wracać na zamek i już, już chciał podnieść się z ziemi, gdy nagle usłyszał dobiegające z zarośli szepty. Zdumiony podczołgał się w stronę noteckiego brzegu, rozchylił nieco trawy i ujrzał dwóch zakapturzonych mężczyzn. Rozmawiali po niemiecku, ale Wawrzonek dobrze znał ten język i rozumiał każde słowo.

– To znakomita okazja, by napaść na zamek – mówił jeden. Wawrzonek nie miał żadnych wątpliwości: „to Krzyżacy!” – poruszył tylko wargami, by nie spłoszyć rozmawiających i dowiedzieć się, co knują.

– Oni będą zajmować się weselem – kontynuował Krzyżak. – I z pewnością ich czujność będzie stępiona.

– Świetnie! – Drugi Krzyżak zatarł ręce z zadowolenia. – Niech tylko nasi nie spaprają roboty przez przedwczesny hałas!

Wawrzonek już wiedział, co zamierzają odwieczni wrogowie Polski. Bezszelestnie wycofał się ze swojej kryjówki i pognął na zamek.

– Puście mnie do kasztelana! – wołał do strażnika, stojącego przy wejściu do jego komnaty.

– Cisza! – Tamten ostro zareagował. – Nasz pan już śpi! Jutro wyjeżdża w stronę Poznania po ostatnich weselników.

– Ja muszę widzieć się z nim! – Rozgorączkowany Wawrzonek skierował się w stronę drzwi, ale zatrzymała go żelazna ręka i groźny syk: – Nie waż się...

Nazajutrz, w związku z nieobecnością na zamku kasztelana, Wawrzonek udał się do Jędrzeja, dowódcy zamkowej straży. Ten wysłuchał go cierpliwie, ale jego słowom nie dał wiary.



NOWA WIEŚ WIELKA

O PECHOWEJ MONECIE ZE STRYSZKA

W całej Nowej Wsi Wielkiej ani w okolicy nie było dwóch takich przyjaciół jak Piotr Pietruszka i Paweł Marchewka. A znali się oni od urodzenia. Tak, tak, bo gdy Leon Pietruszka po raz pierwszy usłyszał wrzask swojego pierworodnego, w tym samym czasie jego sąsiad zza miedzy Kaziu Marchewka ujrzał w ramionach starej akuszerki Antonowej, tak upragnionego od lat, syna Pawła.

Piotr i Paweł byli jak bracia: razem się bawili, razem uczyli i w każdej potrzebie wzajemnie wspierali. W ciągu trzech lat zmarli rodzice obu przyjaciół, a oni pozostali na ojcowiznie, biorąc sobie za żony dwie siostry Bronirzówny. Ich synowie – Kosma i Damian – to toczka w toczkę Piotr i Paweł, bo też wszystko robili razem.

W połowie każdego tygodnia Piotr i Paweł jeździli furmanką do Bydgoszczy, aby na tutejszym targu sprzedać zboże, marchew, pietruszkę, cebulę i czerwone, pachnące jabłka. Od dwóch lat wyprawy te sprawiały im szczególną przyjemność, a to z tego powodu, że w 1700 roku, mnie więcej w połowie drogi do celu podróży, zbudowano karczmę Stryszek ze znakomitym jadem i wybornym piwem.

Był piękny, sierpniowy dzień i gdy Piotr ujrząwszy z daleka ten przybytek rozkoszy dla podniebienia, zawołał radośnie:

– Właśnie na to czekałem! Powiadam ci, Pawełku, że takiej gąski w miodzie, jaką podają tu w Stryszku, nawet moja świętej pamięci babka Lonia nie robiła, a przecież z przyrządzenia

– To niemożliwe! – podsumował relację kucharczyka. – A wiesz dlaczego? Primo: nasz król zawarł niedawno z Krzyżakami pokój. Secundo: oni nie ośmieliliby się zaatakować zamku, wiedząc, że przebywa w nim tyłu znakomitych rycerzy!

Wawrzonek zrozumiał wówczas, że obrona zamku przed wrogami spoczęła na nim. Droga na zamek wiodła przez bramę, umieszczoną w warownej wieży. Na jej strych zaniósł Wawrzonek garnki, patelnie, metalowe kubki i talerze. Nikt nie zwracał na niego uwagi, bo przecież całe życie zamku kręciło się wokół tego najważniejszego wydarzenia – ślubu i wesela. Szewcy znosili piękne buciki, piwowarzy uwarzyli beczki znakomitego piwa, konwisarze wykonywali kubeczki, kubki, kubasy najrozmaitszych kształtów. A kucharze? Dopieszczali jeszcze przygotowane przez siebie wykwiłne potrawy, zerkając ukradkiem na półmiski konkurentów. A Wawrzonek dalej nosił na strych swoją „broń” i powtarzał skierowane pod adresem spodziewanych napastników słowa:

– Nie chcieliście robić hałasu, to ja wam go urządzę!

Zapadła ostatnia noc przed weselem. Wawrzonek patrzył przez małe okienko swej wieżyczki i czekał... Nagle ujrzał wylaniające się zza drzew sylwetki. Nie było wątpliwości – Krzyżacy. Zaczęli przystawiać drabiny do murów i wspinać się po ich szczeblach. Wtedy spadł na nich wieki grad – nie kul, ale garnków, patelni i innych hałaśliwych przedmiotów. Rwetes zrobił się wielki, a zbudzeni rycerze stanęli do walki z zaskoczonymi takim obrotem sprawy napastnikami. Krótka bitwa zakończyła się zwycięstwem obrońców.

Gdy nazajutrz kasztelan powrócił na zamek, przywożąc ostatnich gości weselnych, dowódcą straży zamkowej Jędrzej opowiedział mu o wypadkach minionej nocy. Włódko sięgnął wówczas do swej szkatuły i wyjąwszy z niej najokazalszy pierścień oznajmił:

– Nie martwcie się kucharze, szewcy i inni rzemieślnicy, biorący udział w ogłaszanych konkursach. Ich zwycięzcy zostaną przeze mnie sowicie wynagrodzeni. Jednakże kucharczyk Wawrzonek okazał się bezkonkurencyjny, bo jego pomysł uratował zamek i nas wszystkich.

Od tego czasu upowszechnił się zwyczaj, że w przeddzień ślubu pannie młodej, na progu jej domu, tłucze się garnki – na szczęście, by przepędzić wszelkie zło.

A co się stało z Wawrzonkiem? Spełniły się jego marzenia. Został mistrzem kucharskim, zbudował karczmę, w której każdego roku, w Wigilię i na Wielkanoc, podejmował, przygotowanymi przez siebie potrawami, najuboższych ludzi. ♦



gęsiny na całą okolicę słyneła! Zrezygnuj ty wreszcie z tej swojej kaczuszki w sosie śliwkowym, bo gdy chociaż raz delikatne mięsko gąski muśnie twoje podniebienie, zaraz zwątpisz, czy jesteś jeszcze na ziemi, czy może masz w gębie jakiś boski pokarm, ambrozję...

– Prrr! – To była jedyna odpowiedź Pawła na perorę przyjaciela, a chwilę potem dziarsko zeskoczył on z kozła.

Tymczasem Piotr Pietruszka, wciąż podekscytowany swoją kwecistą mową na temat wyższości walorów smakowych gęsi nad kaczką, powoli gramolił się z wozu. Zauważył wówczas, że Paweł podniósłszy coś z ziemi, intensywnie się temu przygląda.

– A co tam masz? – zagadnął zaciekawiony i zerkając zza ramienia przyjaciela, ujrzał leżący na jego dłoni, nieduży, okrągły przedmiot.

– Ta stara moneta – wyjaśnił po chwili namysłu Paweł – to tynf... Widzisz te litery ICR? Ioannes Casimirus Rex. Te bezwartościowe pieniądze wybijano za Jana Kazimierza w czasie wojny ze Szwedami. Teraz te bezbożniki, razem z Rosjanami i Sasami, znowu grasują po naszym kraju. Wyrzucmy to paskudztwo, bo pecha nam jeszcze przyniesie...

– Chwileczkę – Piotr energicznie wstrzymał szykującą się do wymachu rękę Pawła – ja w takie bajki o pechu nie wierzę. Zostawię sobie ten pieniążek na szczęście. Pamiętaj: kto nie szanuje małego, nie będzie miał dużego.

Zaraz po tych słowach blaszany miedzianek spoczął w solidnej, skórzanej sakiewce Piotra Pietruszki. Była ona zaopatrzona w rzemyk i spoczywała na piersi właściciela, który tym sposobem chronił ją przed złodziejami. Po wyśmienitym popasie z gęsią w miodzie w roli głównej i kaczką w sosie śliwkowym przyjaciele ruszyli w dalszą drogę.

A w grodzie nad Brdą powitał ich – jak to zwykle bywało w dzień targowy – nieopisany gwar. Piotr i Paweł szybko sprzedali wszystko, co mieli na wozie, a posiadacz tynfa – dopełniając swój okazały miśzek – zawołał z radością:

– Spójrz, Pawełku! Grosz do grosza, a będzie kokosza!

– Oby tylko nie okazało się, że ten znaleziony tynf jest tyle wart, co kiepski żart. – Paweł zaśmiał się ze swego dowcipu, ale Piotr już go nie słyszał, bo stanąwszy przy kramie z damskimi fatalaszkami, gorączkowo zaczął je oglądać.

– A teraz kupimy coś naszym kochanym żonkom! Ooo, tan serdaczek z cekinami będzie w sam raz dla mojej Agaty. I jeszcze te trzy wstążki... nie, cztery, bo ta niebieska pasuje najbardziej do jej modrych oczu. A te korale... Paweł, spójrz jakie cudne. Też kupię, w końcu mnie na to stać – wyszeptał chępliwie i sięgnął po swój skórzany woreczek.

Nagle strasznie pobladł i szarpnął za rzemyk, na końcu którego dyndała chudziutka, bo pusta, sakiewka. Paweł przyglądał się jej w osłupieniu, a po chwili przeraźliwie wrzasnął:

– Na rany Chrystusa! Paweł, widzisz to samo co ja?

– Człowieku, bierzesz ten towar czy nie? – Głos przekupki był wyraźnie zniecierpliwiony. – Ludzie chcą kupować, a ty sterczysz jak kołek w płocie.

Paweł ujął nieprzytomnego z rozpaczy przyjaciela za ramię i wyprowadził z targowiska. Stanęli pod rozłożystą wierzbą, która zdawała się płakać nad piotrową niedolą. A nie-szczęśnik ten, targając swoją płową czuprynę, powtarzał:

– Przekłeta moneta! Przekłeta moneta!

Paweł zrazu łagodnymi słowami starał się uspokoić przyjaciela. Nie widząc jednak żadnych efektów tych zabiegów, zmienił taktykę. Tubalnym głosem, którego istnienia sam w sobie nie podejrzewał, przeraźliwie wrzasnął:

– A gdyby mnie konie stratowały?

Zdumiony tym pytaniem Piotr rzeczywiście umilkł, po czym marszcząc czoło, wyjąkał:

– O czym ty mówisz? Co ma piernik do wiatraka?

– A właśnie, że ma! – zapewnił Paweł. – Bo ja się pytam, czy bardziej żałujesz straty tych pieniędzy, czy bardziej pożałowałbyś straty przyjaciela?

– Ależ Pawełku, przecież bez ciebie pozostałaby ze mnie tylko połowa – zapewnił Piotr.

– I ja tak myślę o tobie. Odłóż więc ten swój lament na gorsze okoliczności. A teraz cieszymy się naszym szczęściem. Konie nas nie stratowały, mamy wspaniałe rodziny i zdrowie. I dodam jeszcze coś: „Nie zasypia w nocy śmieie, kto ma pieniędzy wiele”.

Piotr Pietruszka i Paweł Marchewka roześmiali się serdecznie i ruszyli w stronę wozu. Jeszcze daleko rozbrzmiewał donośny głos Piotra:

– Ale Pawełku, powiadam ci, że ta gąska w miodzie ze Stryzka to istny cymes... ♦



JAK FRYDERYK W SZAFARNI BYWAŁ

-Domuś, słyszysz? Idą! – powiedział Frycek, dopijając swoją żołądziówkę. Domuś znieruchomiał, jakby nasłuchiwał, ale już po chwili ucieszył się podeks-cytowany:

– No... idą chyba, a jakby inaczej! – zawołał.

– Chłopcy, najpierw skończcie kolacje – upominała zawsze przezorna pani Dziewianowska.

Widziała, że zaczynają się wiercić, kręcić i coraz trudniej im w miejscu usiedzieć. Gdy dojedli szybko, pozwoliła, aby wreszcie odeszli.

Jednym susem wyskoczyli na podwórze. Na zewnątrz robiło się szaro. W otoczeniu dworu trudniej było już coś dojrzeć. A wiedzieć trzeba, że pierwsza rezydencja Dziewianowskich to był prawdziwy dwór. Taki, jakie budowało się w dawnej Polsce: parterowy, drewniany, pod gontem. Miał duże okna z drobnymi szybkami. Wszędzie wokół ciągnęły się lasy. Rosły przepiękne sosny i dęby. W okolicy mieszkalnej las przechodził w park, w którym był ogród, sady oraz dwa niewielkie stawy.

Od strony owych stawów słyszeć się dały głosy procesji.

– I co? Słyszysz? Domuś? – dopytywał Frycek.

– Baby gęgają przez nosy jak gęsi – odpowiedział.

– Okrążyli już pewnie pola i pod dwór suną.

– A dziewczęta słyszysz? Piszcza niemiłosiernie, jakby chciały, by cała wieś je słyszała – podśmiewali się, czekając.



Pamiętajcie moi drodzy, że śpiewy, związane z uroczystością okrężnego były za-
zwyczaj improwizowane. Na poczekaniu układano teksty. Raz do roku okrężne się
odbywało, gdy prace w polu skończone już zostały. A dziś aż dwie wsie okrążali. Każdy
na siebie włożył ubranie lepsze niż zazwyczaj. Już powiewają kolorowe spódnice. Buty
stukają. Tłum cały wolnym postępując krokiem, coraz bardziej do domu się zbliża.

Na przedzie pochodu dwie panny Agnieszki krocą pompatycznie. Obie niosą na gło-
wie wieńce ze zboża. W dalszej kolejności kroczą mężatki z pęczkami w rękach oraz
starsi parobkowie. Im kto lepiej sprawił się przy żniwach, tym mógł liczyć na godniejsze
miejsce w szeregu. W odgłosach pieśni wtoczyła się kolumna na podwórko i stanąwszy
przed samym dworem, odśpiewali wszystkie strofy pieśni: „Otwórzże nam panie nowy
dwór, bo ci prowadzimy – wszystek zbiór”. Każdemu łatkę przypięli – i dziedzicowi, i do-
mownikom. Taki zwyczaj, nawet księdza nie oszczędzano. Głosy śpiewaków sprawiały,
że na ganek wyszedł również pan domu razem z żoną, i służącymi. Chopin wsłuchuje się
w tekst:

„Przede dworem [...] zielony kierz,
Nasz warszawiak chudy kieby pies.
Na stodołę stoją jętki,
Nasz warszawiak bardzo prędkie.”

– Słuchajcie, te strofy są chyba o mnie! – woła równie zdziwiony, co podekscytowany
Fryderyk.

– Faktycznie. I ty się załapałeś. Przecież jesteś jak domownik – odpowiedziała z uśmie-
chem pani Ludwika.

Dziewki idą z wieńcami do dworu. Już mają wychodzić, gdy tymczasem... dwóch pa-
robków z kublami wody nieczystej przy drzwiach w sieni szybko się ustawia, na dziewczki
czatuje. Wtem słychać głośnie hluuust i piski biegnących dwóch Agnieszek. Każdej z nosa
kapie, a w sieni struga wody się zrobiła. Ledwie wybiegły, a jak nie zagrają skrzypce, jak
nie ruszy noga z nogą, obcas z obcasem. Wszyscy na dziedzińcu w tany ruszyli. Głosy
śpiewają, panny wirują, kręcą się warkocze i kawalerowie skaczą. Piękna bezchmurna
noc była, a księżyc i gwiazdy świeciły niczym latarnie.

– Świece przynieście dla pana ekonoma i dla skrzypka! – wołał pan Juliusz.

Przy świecach jeszcze przyjemniej się zrobiło. Zaczęły się skoki, walce i obertasy. Młody Chopin również ścian nie podpierał.

- Panno Teklo, czy można prosić? – zagadnął Fryderyk śmiało.
- Oczywiście, z największą przyjemnością.

I ruszyli pierwszą parą walca tańczyć. Chopin niezłym tancerzem się okazał. Potem jeszcze raz z panną Teklą w tańcu wirował, aż ludzie rozprawiać zaczęli:

- A ten panicz tak z panienką Teklą tańczy, jakby jej narzeczony.
- Kto wie... kto wie... – zastanawiały się Małgośka z Agnieszka.
- Co wy ludzi gadacie – zgromił ich Domuś. – Frycka znam jak brata. Lubi Teklę i potańczyć lubi, jak zdrowie mu dopisuje – ot, wszystko.

Faktem jest, że tak się towarzystwo rozochociło, że do upadłego na dziedzińcu wywijali. Nie mówię tego z przesadą – kilka par faktycznie upadło, gdy ktoś nogą o kamyk zawadził. Tańcowali tak i tańcowali, do zabawy ciągle skorzy. Dochodziła jedenasta wieczór. Frycowa basetlę przyniosła.

Dziś o basetli już nikt nie pamięta, ale kiedyś! Na początku XIX wieku wszyscy ten instrument znali! Kształt jak wiolonczela, smyczek, a struny jak skrzypce miała. Muzycanci wiejscy zawrze basowali na niej skrzypkom. Oj, basetla Frycovej gorsza była od skrzypiec. Wyobraźcie sobie – jedną strunę tylko miała.

- Czy mogę? – poprosił młody Frycek.
 - Graj, chłopcze! Graj! To dla ciebie przyniosłam.
- „Co zrobić? Jakże zaigram na jednej strunie? Znajdę może gdzieś drugą” – myśli Frycek. Poszedł na podwórze, gdzie Leon i Wojtek już panią Dziewianowską o to samo proszą:

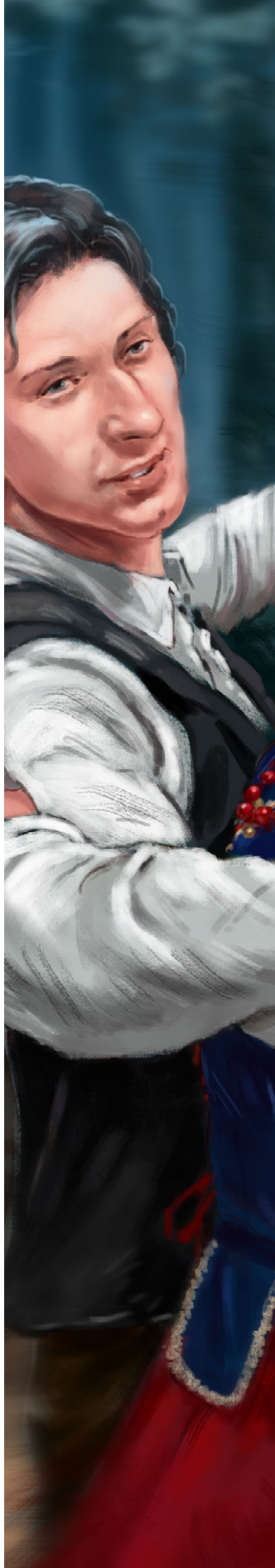
- Szanowna pani, choć jedna, dwie struny by się nam przydały, prosimy?
- Widziała, że pora już późna. Nie chciało jej się po ciemku strun szukać, ale zobaczyła zbliżającego się Frycka i zmiękla.

- Ech, niech wam będzie – westchnęła i zniknęła na chwilę za drzwiami.
- Przyniosła dziewięć nitek. Ale nieszczęście chciało, że co Leon z Wojtkiem ukręcili strunę, zaraz pękała.

- No nic. Jak trzeba, to i na jednej strunie zaigram – powiedział pod nosem Frycek.
- Smyczek zakurzony był, ale jak się Fryderyk do niego dorwał, jak chwycił. Basować, dudlić zaczął tak, że wszyscy się zlecieli patrzeć na dwóch Fryców. Jeden z tych Fryców,

starszy – grał na skrzypkach, drugi – na jednostrunowej, zakurzonej basetli rzępolił. Widok to był przedni, a zabawa jeszcze lepsza. Wtem rozległo się głośne: „Raus chłopcy!” – to panna Ludwika. Ech, niestety trzeba było dobranoc powiedzieć i spać pójść. Kompania się rozeszła, a ci co pozostali, z podwórza do karczmy na dalszą zabawę się udali.

A wszystko to działo się w Szafarni, w gminie Radomin pięknie położonej, gdzie dziś wznosi się Ośrodek Chopinowski. W tamtych czasach dawny dwór państwa Dziewanowskich stał. To tam, u swojego szkolnego kolegi Dominika w 1824 roku, czternastoletni Fryderyk Chopin spędzał swoje pierwsze wakacje poza Warszawą i Żelazową Wolą. Sielski i udany był to wypoczynek. Rok później, gdy znów nastał czas wakacyjny, w jedno tylko miejsce Fryderyk chciał jechać – do Szafarni! ♦





ROGOWO

O ROGOWSKIEJ GROBLI

Od niepamiętnych czasów, każdy kto ze Żnina do Gniezna jechał albo z Mogilna do Janowca – wszyscy do Rogowa choć na chwilę zajeżdżali. W tej malowniczej krainie na krańcu Pałuk krzyżowały się szlaki handlowe i ludzkie historie.

Jedna z nich wiąże się z tutejszą groblą. Oblewające Rogowo jeziora Zioło i Rogowskie, kiedyś stanowiły jeden zbiornik, a na samym środku tego akwenu znajdowała się niewielka wysepka – taka, ot na jeden domek. Obserwować stamtąd można było całą okolicę i to tam mieszkał sobie samotny rybak.

Jego łódź kursowała w te i z powrotem – między jednym brzegiem, a drugim. Wodzisław na niego wołano – bo przewoził ludzi, towary, zwierzęta – wszystko, co potrzeba. Czy to piątek, świątek czy niedziela, czy pora słoneczna czy deszczowa, czy rano czy wieczór – swoją pracę wykonywał zawsze. Trzeba było tylko stanąć na brzegu i zawołać: – Wodzislawie, Wodzislawie!

Nikommu nie odmówił, a jak biedny poprosił – grosza od takiego nie wziął.

Lata mijały, a Wodzisław postarzał się i osłabł. Coraz trudniej było mu wiosłować i odpychać od brzegu łódź.

– Cóż ja pocznę – zastanawiał się na głos. – Rogowo się rozwija, chętnych do przeprawy przybywa, a moje ręce słabe coraz bardziej.

O, długo tak bolał nad swoją niemocą. Ciemno już zaczynało się robić, gdy nagle... Myśl genialna olśniła go jak piorun.



– Wiem, wiem! – Podskoczył w radosnym okrzyku. – Zbuduję groblę, która połączy oba brzegi!

Wstał zaraz o świcie. Na tyle, ile czas mu pozwalał, gromadzić materiał zaczął. Kamienie znosił, taczkami woził piasek i glinę. Pracował i nosił. Woził jeden dzień, drugi i trzeci. Kiedy wydawało mu się, że budulca jest już bardzo dużo, wrzucił to wszystko do wody.

– Uffff – odetchnął, mając nadzieję, że choć kawałek grobli zobaczy.

Patrzy w tafle jeziora – a tu nie! Woda pochłonęła wszystkie materiały i śladu po nich nie widać.

– Ech, głupiego robota! – biadolić zaczął. – Nie ma wyjścia, zaniechać przedsięwzięcia trzeba będzie.

Noc już była bardzo ciemna, gdy zrezygnowany wszedł do izby. Już miał położyć się spać, gdy nagle... a co to!? Mężczyzna przed nim stanął rosy.

– A ty coś za jeden? Duch? Bandyta? – rzucił wojowniczym tchem do przybysza.

– Od razu bandyta! Oj, Wodzisławie! Słyszałem o twoich zmartwieniach. Groble chcesz budować, ale jakoś nie idzie ci ta robótka. Pomoc by się przydała, co? Taaak się skłaaada, że spadłem ci z nieba, hahahaha! – zaśmiał się rubasznie. – W każdym razie, proponuję pomoc. Zbuduję groblę za ciebie. W tydzień. O jedną tylko rzecz proszę w zamian.

– Co chcesz? – spytał rybak. – Biedny jestem chłop, nic nie mam.

– Och, wręcz przeciwnie. Zapisz mi swą duszyczkę.

Zadrżało z przerażenia serce Wodzisława. Pojął od razu, z kim ma do czynienia.

– A idźże czarcie i nie wracaj! – krzyknął, zaczynając modlić się i czynić zamaszyste znaki krzyża.

Miał nadzieję, że pozbył się diabła. Piekielne siły jednak nie odpuściły. Nękały go co noc, kusząc i wabiąc coraz to nowymi obietnicami. „A może zapisać tę duszę? Choć innym bym pomógł. Czy to grzech?” – zastanawiał się.

Na samą myśl o wiecznym potępieniu zimny chłód i gorące ciarki na przemian przechodziły mu po plecach. Wreszcie niecierpliwa troska wzięła górę nad bojaźnią kary i dał za wygraną.

– Podpiszę, diable, ale słuchaj... – rozpoczął Wodzisław. – Grobla ma powstać w ciągu tygodnia, do niedzieli, zanim kur zapieje. I ma być solidna, co by ludziom długo służyła. Jeśli warunków nie spełnisz, umowa nieważna.

Jak tylko rybak przypieczętował czarci układ kroplą krwi, zabrał się diabeł do roboty.

– Patrzajta, ale rybakowi robota idzie sprawnie! – gadano z podziwem. – Mozolił się tyle i nic nie było widać, a teraz? – Dzień raptem minął, a tu spory kawał grobli stoi!

Gdy po trzech dniach grobla połączyła już wyspę z brzegiem, coraz większa podejrzliwość zaczęła wstępować w serca wieśniaków. Baby czekające na przeprawę łodzią o jednym dyskutowały.

– Skądże starowina tyle wigoru z siebie wykrzesał? – Ściszone głosem szepnęła Kazia.

– Jezus, Maryja! Święty Józefacie! On konszachty z diabłem mieć musi! – lamentowały inne.

– Ciiiiii, bo nas usłyszysz! Ciiiiii... – uciszały się nawzajem.

Po cichu pacierze odmawiały, a na widok rybaka pośpiesznie znak krzyża czyniły – tak na wszelki wypadek. I coś jakby się zmieniło. Wiecie, że Wełna rzeką jest wartką i w wodę obfitą. Deszcze spadły, a wezbrane wody rozmywały za dnia to, co zostało zbudowane w nocy.

– Psia kość! – zeżlił się Lucyfer, a oczy czerwieniały mu ze złości jak małe lampki. – O, ty rzeko wredna! Nie przechytrzysz mnie, nie przeeeehyyytrzysz – syczał.

Z kamieni, gliny, piasku zrobił wielki nasyp. Postanowił w ostatnią noc, tuż przed świtem, wrzucić to wszystko do wody i zakończyć swoje dzieło. Tak więc diabeł i rzeka mierzyli swoje siły. Pracował, gromadził, napręzał się i wyginał.

– Jeszcze momencik, jeszcze chwila – szeptał dumny z siebie, świętując w myślach zwycięstwo.

Już przesuwiał wielką górę do rzeki, już pierwsze kamienie posypały się w dół, gdy nagle... z najbliższej zagrody rozległo się głośnie: „Kukuryku!” – kur zapiał.

Zpracowany diabeł nie zauważył, że wstawał już świt. Była niedziela rano.

– A niech to! – Wściekły kopnął kopytem tak mocno, że w nasypie zrobił się ślad po jego diabelskiej nodze. Dusza Wodzisława została uratowana. Nasyp istniał jeszcze długi czas, ale z czasem wiatry i wody całkowicie go rozmyły.

Po śmierci rybaka, w miejscu jego chatki, zbudowano kościół. Miał odpędzać złe duchy, które ponoć często nawiedzały to miejsce. Powstał też drewniany most, który trwale połączył oba brzegi. A kto dociekliwy, może i ślad diabelskiego kopyta znajdzie? ♦



SĘPÓLNO KRAJEŃSKIE

JAK KAZIMIERZ WIELKI SĘPÓLNU PRAWA MIEJSKIE NADAŁ

Działo się to w XIV wieku, kiedy Królestwem Polskim władał Kazimierz Wielki. Wprawdzie przydomek ten otrzymał jeszcze za życia ojca Władysława Łokietka, mierzącego zaledwie 150 centymetrów wzrostu, ale zasługi ostatniego Piasta były naprawdę wielkie. Nazywano go „królem chłopów”, a i mieszczanie mieli powody do zadowolenia. Wiele osad otrzymało prawa miejskie, co wiązało się z licznymi przywilejami. Polska była krajem miodem i mlekiem płynącym.

Nic więc dziwnego, że właściciel Sępólna – Hektor Ostroróg z Pakości – podjął próbę uzyskania dla osady praw miejskich. Rozumiał, że przyciągnie to kupców z najodleglejszych zakątków, a i rodzime mieszczaństwo korzystać będzie z różnych przywilejów. Oczywista wyobraźnia widział tętniące życiem miasto, które jemu przynosić będzie znaczne zyski. Przystąpił więc ochoczo do realizacji swego planu. Wysłał w tej sprawie do króla kilka listów. Wiedział jednak, że w ślad za epistołami musi podążyć do miasta stołecznego Krakowa ktoś, kto osobiście dotrze do monarchy i sprawdzi, co się w tej sprawie dzieje. Zwołał więc naradę z udziałem najznamienitszego rycerstwa i przedstawił na niej swoje zamiary.

– Chcę – słowo to wypowiedział ze szczególnym naciskiem – aby do stolicy pojechał: Strachota, Zdieszko z Sępólna i Roch z Wałdowa. Dam wam głęjt do miłościwego



pana, dzięki któremu szybko do niego dotrzecie. Dostaniecie też sześciu pachołków jako eskortę. Wprawdzie pod rządami naszego dobrego gospodarza zmniejszyła się liczba rozbojów, jednak, powiedzmy sobie szczerze, bandytów na świecie nigdy nie zabraknie. Co jeszcze... – Hektor mierzwił swoją bujną czuprynę. – Acha, musicie mieć konie na wymianę, no i oczywiście pieniądze. To wszystko. W drogę! Niech was Bóg prowadzi.

Nazajutrz, pięknym, lipcowym świtem wyruszyli trzej rycerze na południe. Postanowili przebrać się za mnichów, uznając, że to zapewni im bezpieczeństwo. Nie dojechali jeszcze do Pakości, a tu z lasu wyskoczyła banda zbójców. Otoczyli oni podróżników, wrzeszcząc przeraźliwie:

– Dajcie wszystko, co macie!

Roch już chciał chwycić za skrywany pod habitem miecz, ale przypomniał sobie, że przecież udaje mnicha. Postanowił więc zacząć inaczej:

– A nie wstyd wam tak uderzać na synów bożych? Ja każdemu z was radzę: *memento mori* (pamiętaj o śmierci). Staniecie kiedyś przed...

Nie skończył jednak, gdyż bezceremonialnie jego podniosłą mowę przerwał jeden z rzezimieszków:

– Bajuj-bajuj, będziem w raju! – Po tych słowach cała banda zarechotała, powtarzając: – Bajuj-bajuj, będziem w raju.

Sprawca tej powszechnej wesołości mówił dalej:

– Nie przedstawiłem się jeszcze waszmościom. Jestem Honza, herszt tej ucięższej kompanijki. A mówię „waszmościom”, bo na malutki niuch mojego długiego nosa – a nochal miał rzeczywiście okazały – czuję, że pod tymi sukmanami miecz się kryje, czyż nie? – Mrugnął lewym okiem i gwizdnął słowiczko. – No dobrze, przejdźmy do rzeczy: życie wam darujemy, za co oczekujemy dozągonnej wdzięczności. Zabieramy tylko konie – trzy wam jednak zostawimy – oraz kosztowności i pieniądze. – Po tych słowach zwrócił się do zgrai: – Do dzieła!

Minęło zaledwie kilka chwil, gdy na drodze zostali rycerze, pachołkowie i trzy konie.

– Wracajmy do Sępólna. – Strachota z rezygnacją machał ręką, wskazując nią kierunek powrotny.

– Strachota, nie strachaj się. – Roch bezskutecznie próbował go rozśmieszyć. – Odeślemy tylko pachołków do osady, mają niedaleko. A my musimy dotrzeć do Krakowa.

Nie możemy zawieść Hektora Ostroroga i mieszkańców Sępólna. Oni oczekują na dobre nowiny. Co o tym myślisz, Zdieszko?

Zdieszko, choć małowówny, cieszył się wśród rycerstwa dużym poważaniem.

– Masz rację, Rochu – rzekł. – To jest sprawa naszego honoru. Podjęliśmy się wykonać zadanie i mimo przeciwności losu dokonamy tego.

Strachota był wyraźnie zawstydzony.

– Macie rację – przyznał.

Ruszyli więc w dalszą drogę. Nie była ona łatwa. Konie musiały stawać na popasie, ale ludzie odnosili się do podróżujących raczej życzliwie. Tylko raz jakiś gospodarz poszczuł ich psami, gdy poprosili o coś do zjedzenia. Nie mieli pieniędzy, nie mogli więc spać w przydrożnych zajazdach, ani posilać się wyszukanymi potrawami. Jedli chleb, popijając mlekiem, czasami ktoś zaprosił ich do chaty na groch, fasolę czy bób. Ofiarowywano im też owoce: soczyste gruszki, czerwone jabłuszka lub dojrzewające właśnie śliwki. Spali najczęściej w stodole na sianie. Aż któregoś dnia ujrzeli wreszcie mury Krakowa.

– No, dobiega kresu nasza mordęga – westchnął z ulgą Strachota.

– A ja bym tego tak nie nazwał – zaoponował Roch. – Ta podróż była dla nas ciekawym doświadczeniem. To, że my, rycerze, jesteśmy gościnni, powszechnie wiadomo. Ale że ten spracowany ludek ma w sobie tyle serdeczności i życzliwości, to cieszy i duszę mą raduje. A co ty, Zdieszko, o tym myślisz?

– Polacy to wspaniali ludzie i mają przed sobą wielką przyszłość – stwierdził rycerz-mędrzec.

Kiedy cała trójka dotarła wreszcie do królewskiego sekretarza, ten oświadczył:

– Musicie dać mi glejt od waszego pana!

– Nie mamy, bo zostaliśmy napadnięci. – Strachota przeczuwając komplikacje, był bardzo zniecierpliwiony.

– W takim razie – spokojny głos sekretarza również Rocha denerwował – musicie czekać do dnia, gdy król spotka się z ludem!

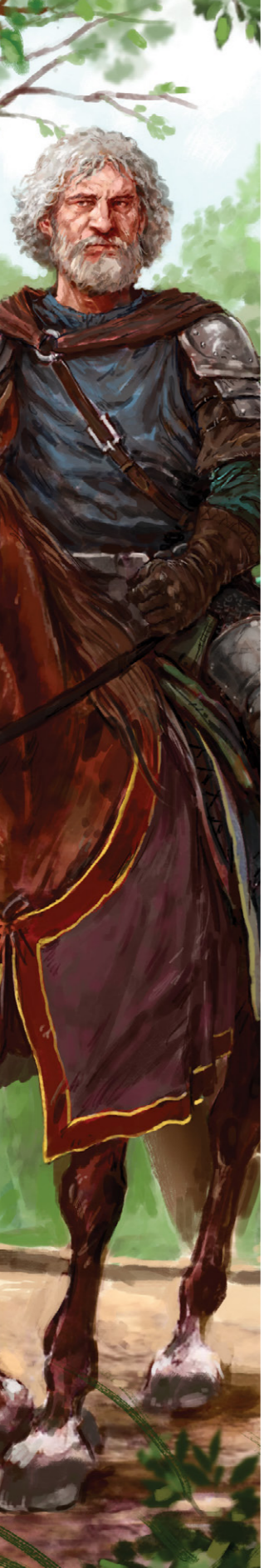
– Czyli ile dni?

– Około 14.

– Co? – Strachota już nie panował i chwycił za rękojeść swego miecza.

W tym momencie stanął przed nimi jakiś zamkowy pachołek.

– Miłościwy pan, król Kazimierz prosi waszmościów do siebie.



Oszołomieni tą niespodziewaną wiadomością podążyli za chłopakiem. A gdy zjawili się przed królewskim obliczem, każdy z nich pomyślał: „Mam jakieś majaki, to nie może być rzeczywistość!”. Bo oto przy monarsze stał roześmiany od ucha do ucha... Honza, herszt zbójcekiej bandy!

Król widząc ich miny, roześmiał się serdecznie:

– Tak, tak, to jest Honza. Udając rzezimieszka, wykonał moje polecenie. Wiecie, takich podań o nadanie praw miejskich dostaję mnóstwo. Czasami zastanawiam się, czy to taka moda, czy właściciele osad chcą polepszyć los ich mieszkańców? Zdarza się więc, że sprawdzam siłę tego dążenia. I wy ją pokazaliście. Realizując szlachetny cel, musimy być uparci, nie możemy się poddawać. Rycerze, zdaliście egzamin, dlatego z wielką przyjemnością nadam Sępólnu prawa miejskie.

I tak też się stało... ♦



SKRWILNO

SKARB ZE SKRWILNA

Tego dnia pani Zofia Piwo, jak co dzień, uczestniczyła we mszy świętej.

Po skończonym nabożeństwie, została w kościele chwilę dłużej. Przykuło jej uwagę dziwne zachowanie księdza Walerego. Duchowny zaczął zbierać co cenniejsze przedmioty: naczynia, szaty, pergaminy i chować wszystko do skrzyni. Zdziwiona zapytała:

– Wielebny ojcze, cóż zamierzacie począć z tymi rzeczami?

– To nie pani nie wie? Szwedzi idą. Siedzą jeszcze w Prusach, zajęci zdobywaniem tamtejszych miast, ale długo tam już nie zabawią. Boga oni nie uznają, a rabują wszystko, co stanie im na drodze. Największe świętości gotowi zbezczeszczyć! A ja tu przecie pamiątkowe kielichy mam, wota, co ludzie Najświętszej Paniencie po prośbie składali, zabytkowe monstrancje, kielichy... Pani potrzyma wieko. Domkniemy i zaraz będzie gotowe – poprosił Zofię. – Dziękuję pięknie za pomoc. Dalej sam sobie poradzę. Nie moje to, rzecz jasna, skarby, ale kościelne. Ja tam na co dzień tego wszystkiego nie potrzebuję. Pomyślałem więc, że schowam do kufra i zakopię w bezpiecznym miejscu: niech leżą, aż sytuacja się uspokoi.

– Przewrotny ksiądz, widzę – zauważyła Zofia. – Ale to dobrze.

– Wie pani jak to jest. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Wolę chuchać na zimne.

– Racja, ojcze... racja – powiedziała od niechcienia Zofia, wychodząc.



Zachowanie wielebnego nie dawało jej jednak spokoju. Wróciła do domu i na niczym nie mogła skupić uwagi. Spoglądała na swoje rodowe pamiątki, biżuterię, lichtarze, wisiory zdobione szlachetnymi kamieniami. Smutno jej się robiło na myśl, że wszystko to niebawem może wpaść w ręce grabieżców.

„Oj, ile w tych przedmiotach jest wspomnień” – pomyślała. „Wisior z syreną dostałam od Stanisława, zastawa była prezentem ślubnym, a bransoletę z kartuszem sama zamówiłam dla męża u najlepszego złotnika. Każdy z tych przedmiotów opowiada jakąś historię, każdy jest częścią dziejów naszego rodu. Jak znikną te przedmioty, zniknie też pamięć o nas. Może warto by je zachować?”

W duchu powzięła już plan, ale że noc już była, realizację odłożyć musiała na kolejny dzień. Następnego dnia o świcie narzuciła kubraczek i ruszyła do księdza Walerego.

– Księżę, księżę? To ja Zofia Piwo. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – usłyszał, gdy właśnie zabierał się za podlewanie ogrodu.

– Na wieki wieków, amen – odpowiedział ksiądz. – Co panią do mnie sprowadza?

– Myślałam o naszej wczorajszej rozmowie. Wie, ksiądz... te precjoza, które ksiądz wczoraj pakował. I ja mam w domu kilka przedmiotów, które chciałabym zachować dla potomnych. Skoro te Szwedy tak grabią wszystko i niszczą.

– Niebawem i tu przybędą, mówię pani. Uciekać z Okolewa trzeba będzie – odrzekł wielebny poważnym głosem.

Poczęła więc Zofia tłumaczyć:

– Wszystkie rzeczy, które chciałabym ocalić, włożę do kufra, ale on jest duży i ciężki. Sama nie dam rady i nie mam pomysłu, gdzie to ukryć. W dzisiejszych czasach nie wiadomo komu zaufać można. Księdzu ufam.

– No dobrze, dobrze, ale gdzie my to schowamy? – zastanawiał się na głos duchowny, gładząc się po brodzie. Nie wiadomo, czy mówił do stojącej obok szlachcianki, czy raczej z własnymi myślami dyskurs prowadził.

– Otoczenie dworu nie wchodzi w grę – wtrąciła się Zofia. – Ktoś by mógł zobaczyć. Poza tym, jeśli jakikolwiek złodziej będzie cennych rzeczy szukał, dwór pierwszy odwiedzi.

– Racja, święta racja – poparł ją wielebny. – A słyszała pani o tym dawnym grodzisku, położonym niedaleko?

– Ludzie mówią, że tam straszy. Boją się – odpowiedziała szeptem Zofia.



SICIENKO

O TYM, JAK WOJDYŁŁO DUSZĘ DIABŁU ZAPISAŁ

Wniewielkim Strzelewie w gminie Sicienko, panował zazwyczaj spokój. Gród zamieszkiwało może ze sto osób. Wiosną okoliczne pola żółciły się rzepakiem, latem mieniły kolorowym kwieciami, jesienią zaorane szykowały się na zimowe mrozy. I tak rok, w rok. Podobnie było z ludźmi – życie odmierzało się odwiecznym, powolnym rytmem natury, a oni chwalili sobie ten ład. Było tak jednak do czasu. Bowiem jak to zwykle bywa, zawsze znajdzie się jakaś zakała, która żywot ludziom zatruć potrafi.

Do Strzelewa przybył i na dworze osiadł Wojdyłło. Tajemniczy i zamożny tak, że na językach ludzi stałe gościł. Baby przy robocie już tylko jeden temat miały.

– Widziałaś ty Marychna to panisko? Bogaty jak królewicz! Majątek tutejszy kupił, panem całej gminy niedługo zostanie! – gadała podniecona.

Marychna, która nigdy konwenansami się nie zajmowała, głośno prychnęła:

– A widziała żem, widziała, tyle dukatów ma, że na złotych talerzach jada ponoć! Ale na czym on tak się wzbogacił, pojęcia nie mam. Ubiór ma przeciętny, a manier zdaje się, że matka go nie nauczyła wcale!

Tygodni kilka nie minęło, a spokój w Strzelewie stał się tylko wspomnieniem. Zbychowi, co na skraju wsi mieszka, trzoda poginęła. Marian, co z urobkiem z targu wracał, w lesie zaginął. Janowi oszczędności życia, jak kamień w wodę, przepadły. Przydrożna karczma z powodu regularnych rabunków na skraju bankructwa się

– Otóż to! Straszy, nie straszy – zabobony to zapewne. Ale skoro wszyscy w to wierzą, to myślę, że i złodziej tam się nie zapyści – powiedział pewnie ksiądz. – Są to jedne z najstarszych ziem Polski. Należały do państwa polskiego już za czasów Mieszka I. Tam, gdzie dziś jest wzniesienie, kiedyś była wyspa, połączona z jeziorem groblą, a na niej grodzisko, otoczone wałem i palisadą. Kiedy w XII wieku spalili je Prusowie, mieszkańcy już go nie odbudowali. Osiedlili się nieopodal, tam gdzie dziś mamy Skrwilno. W miejscu dawnego grodu zostały ich groby, ale żeby straszyć tam miało?... Ech, nie wydaje mi się. Wyruszamy jutro godzinę przed wschodem słońca. Niech będzie pani gotowa.

Zapakowała więc Zofia kufer cennych przedmiotów. Oj, czego w nim nie było! Bizuteria z herbami rodowymi Rogala (pełne nazwisko Zofii brzmiało: Zofia Magdalena Loki herbu Rogala), zastawa stołowa, lichtarze, nożyce. Wszystko ze złota lub srebra. Przedmioty ozdobione były kamieniami szlachetnymi: diamentami, rubinami, szmaragdami i szafirami. Do skrzyni trafiła również jej ulubiona kolekcja pereł. Służąca pomogła Zofii wieczorem wszystko to na wóz załadować.

Ciemno jeszcze było, gdy zjawił się wielebny. Wspólnie ruszyli do grodziska, oddalonego od Okalewa cztery kilometry drogi. Gdy zakopywali kufer, świtać zaczynało. W samą porę zdążyli i... nie dotyczyło to tylko pory dnia. Wieczorem po wsi rozniosła się wieść, że Szwedzi lada chwila już będą.

Zofia Magdalena z obawy o swoje życie skryła się u rodziny na Ziemi Dobrzyńskiej. A co z wikarym Walerym Czapskim? Nieszpory w kościele odprawiał, gdy Szwedzi wtargnęli. Świątynię złupić zamierzali, ale szybko zorientowali się, że większość cennych rzeczy musi być gdzieś schowana.

– Klecho, mówże, gdzie jest złoto? – wykrzykiwali. Szarpali i bili biednego wikarego. Ten nie powiedział. Umarł na skutek obrażeń, nie wyjawivszy miejsca ukrycia kościelnego skarbu.

Zastanawiacie się pewnie, co się stało ze skrzynią Zofii? Swą tajemnicę prawdopodobnie zabrała do grobu, skoro dopiero po 300 latach skarb odkryto. A dokonał tego w 1961 roku Roman Piotrowski – nauczyciel historii, kierownik miejscowej biblioteki oraz zasłużony dla Rypina archeolog-amator. Odkopano wszystko, co ukryła Zofia Piwo herbu Rogala. Ogromne było zaskoczenie badaczy, gdy oszacowali, że znalezione precjoza to ponad dwa kilogramy złota i pięć kilogramów srebra. Nic dziwnego, że znalezisko od razu nazwano skarbem tysiąclecia. ♦



znalazła. Historii podobnych bez liku pojawiać się zaczęło. Codziennie jakiś napad, rabunek, morderstwo. Nocą wokół domostw warty na zmianę pełniono. Ale i to na niewiele się zdało.

Szybko skojarzono rozboje z nowym mieszkańcem Strzelewa. A apetyt Wojdyły na grabieże rósł coraz bardziej. Uprawiał zbójctwo i terroryzował boгу ducha winnych mieszkańców już we wszystkich okolicznych wioskach. Umiaru nie znając, zapuszczał się coraz dalej i dalej. Majątek jego rósł, posiadłość piękniała, służby coraz większą liczbę zatrudniał, ale nikt długo u niego nie popracował. Wytrzymać z nim się nie dało. Jeden Janek tylko jakoś w pracy u łotra się utrzymywał.

Pewnego dnia Wojdyło siedział przy swoim mahoniowym stole. Zadowolony liczył pieniądze i ostrzył nóż. Widok ten sprawiał, że ciarki po plecach przejść mogą. Wierny sługa Janek czyścił mu tymczasem buty.

– Jestem z siebie baaardzo zadowolony – rzekło wolno Wojdyło ochrypłym głosem. – W krótkim czasie dorobiłem się majątku. Wzbudzam strach i respekt. Kariera godna podziwu, nie uważasz, Janku? Czegóż chcesz więcej? Jak myślisz, czego bym jeszcze mógł chcieć?

– Może żony i dzieci? – odparł Janek.

Krew w Wojdydle zagotowała się tak, że aż wstał oburzony i zaczął krzyczeć na całe gardło:

– Dzieci?! Żona?! Po co mi to?! Musiałbym wydawać na nich pieniądze. Babie kupować stroje, pachnidła i malowidła... Nie! Mnie potrzeba więcej złota i kosztowności, ale tylko dla mnie! Dla mnie! Rozumiesz?

Przestraszony sługa, widząc gniewną minę zbója, zawahał się chwilę. Zebrał się jednak na odwagę i przemówił:

– Ale po co panu to wszystko? Co pan z tym zrobi? Do grobu pan tego nie zabierze.

– A tam, grób, grób! Nie kracz mi z tym grobem. Wiem, że już nie jestem młody, ale o śmierci myśleć jeszcze nie zamierzam. Biegnij szybko i sprowadź mi tu tego diabła, który podobno wie, jak mogę się jeszcze bardziej wzbogacić – rozkazał podniecony Wojdyło.

– O... o... oczywiście panie – wyjąkał Janek i na dobre już przestraszony tego, co ma nastąpić, pobiegł czym prędzej do Sicienka. Znalazł w karczmie diabła i sprowadził Wojdylle, tak jak prosił. Diabeł rzekł do Wojdyły:

– Podobno szukałeś mnie panie. Czy chcesz wrócić do naszej rozmowy sprzed lat? Wojdyłło rozsiadł się w wielkim fotelu, fajkę zakurzył i do tłumaczenia się zabiera:

– Robię się stary. Nie chce mi się już skradać, napadać, łapać, czekać na okup. Zadyszki od tego wszystkiego dostaję, nogi mnie bolą. Teraz chcę się wzbogacić, ale łatwo i szybko.

Na kosmatej głbie diabła pojawił się wymowny, szelmowski uśmiech i tak oto mówić zaczął:

– Tak myślałem, tak myślałem... Składa się idealnie, bo na tę okoliczność przygotowany jestem.

Diabeł wyciągnął z torby pergamin i położył na stole.

– Siadaj i pisz, panie! *Ja, Wojdyłło, właściciel dworu Strzelewo, zapisuję w tym dokumencie swoją duszę diabłu. W zamian za to otrzymam tyle złota, ile zmieści się do cholewy mojego buta. Złoto otrzymam zaraz po podpisaniu tego dokumentu, a moja dusza do piekła powędruje dopiero po mojej śmierci. Podpisano: Wojdyłło.* Podaj mi cyrograf, zaraz wrócę ze złotem.

Tylko diabeł wyszedł, Wojdyłło podekscytowany własną przebiegłością woła Janka:

– Janku, chodź tu, szybko! Przynieś mi czym prędzej but z największą cholewą. Odetnij spód buta, ale tak, żeby nic nie odpadło.

– Panie, dobrze ci radzę, z czartem nie zadzieraj... – Janek nieśmiało próbował przekonać Wojdyłłę.

– Wiem, co robię. Za chwilę będę naprawdę bogaty!

Janek przyniósł but, przygotowany jak pan kazał. Słyszają pukanie.

– Otwieraj, otwieraj. Przyszedł diabeł ze złotem – ponağłał zniecierpliwiony Wojdyłło.

– Nastaw but – polecił czart. – Nasypię ci złota i zakończymy ten handel. Zobaczmy się dopiero, gdy będziesz już w drodze do grobu.

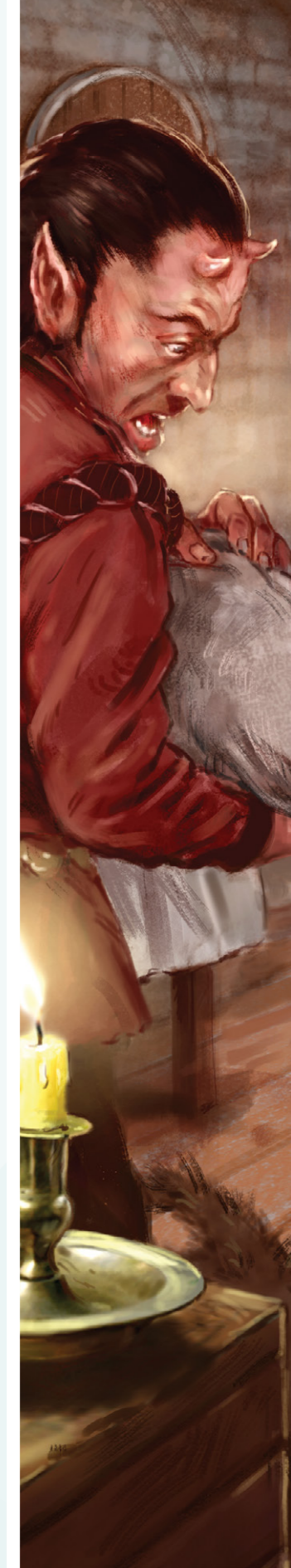
– Co wy dzisiaj z tym grobem? Ja chcę jeszcze pożyć w dostatku. Syp diable! – powiedział zbój.

Diabeł sypie i sypie, a but się nie napęlnia. Zdziwiony spogląda na spód buta i jak wściekły nie wrzaśnie:

– O łotrze! Przejrzałem cię! Chciałeś mnie oszukać. Myślałeś, że od diabła sprytniejszy jesteś!? O nie! Okrutną poniesiesz karę!

Diabeł z wściekłością wstrząsnął ziemią. Dwór i skarby Wojdyłły w jednej chwili zapadły się do wielkiego dołu. Diabeł zadbał i o to, aby do skarbów nikt dotrzeć nie mógł. Dół zalał wodą, a na dnie ułożył dywan z trujących roślin.

Do dziś po stawie w Strzelewie pływa ten kobierzec niezwykły, nazywany przez mieszkańców pływającą wyspą. A mieszkańcy Strzelewa i okolic z ulgą odetchnęli. Tylko czasem, gdy północ wybija, zrywa się wiatr nad okolicznymi polami. Wzmağa się szum, słychać jakiś łopot, spływa mgła z czarnych chmur. To ponoć sam diabeł przybywa, zobaczyć, jak jego kosztowności na dnie stawu się mają. ♦





STRZELNO

KAMIEŃ STRZELEŃSKI ŚWIĘTEGO WOJCIECHA

P przed romańską bazyliką św. Trójcy w Strzelnie możemy zobaczyć tajemniczy granitowy głaz, z którym związana jest pewna legenda. Okrutnie strudzeni byli: biskup Wojciech, jego brat Radzim i ksiądz benedyktyn Boğusz, gdy na mocno sfatygowanej furmance wyjechali z rozległego lasu na polną drogę.

– Macieju, trzeba nam znaleźć jakieś miejsce na odpoczynek – zwrócił się biskup znużonym głosem do starego woźnicy. – Musimy rozprostować wreszcie kości.

W tej chwili wzrok duchownego przykuł widok czterech okazałych głazów.

– Spójrzcie – zawołał radośnie, wskazując ręką na wspaniałe okazy. – Tam odpoczniemy i co nieco przekąsimy.

Chwilę potem posłuszny siwek, usłyszawszy tubalne „prrr!”, zatrzymał się.

– Wyciągnij Macieju z worka to, co nam dali ostatnio gościnni gospodarze.

Podczas jazdy do moich nozdrzy docierał niezwykle kuszący zapach. Trzeba przyznać, że ludzie na tych ziemiach są bardzo serdeczni i szczerzy. Jadła nie żałują, a i w każdej, nawet najlichszej chacie, znajdzie się legowisko dla strudzonych po podróży. Gorzej wygląda sprawa z przyjmowaniem chrześcijaństwa – stwierdził biskup.

– Tak, tak – potwierdził Radzim. – Wciąż tkwi w nich ta nieufność wobec nauk naszego Chrystusa, ale zwykle jednak słuchają tego, co im prawisz, bracie.



Prowadząc tę rozmowę, otwierali worek z jedzeniem, z którego po chwili wydobyli pachnącą pieczeń i chleb. Przysiadłszy na głazach, z apetytem spożywali posiłek. Biskup Wojciech, mimo odczuwanego głodu, zjadł niewiele, a gdy pozostali rozkoszowali się jeszcze smacznym mięsiwem, on położył się nieopodal i spoglądając w niebo, przebiegał myślami ostatnie lata swojego żywota. Dwa lata zaledwie minęły, odkąd okrutny książę czeski, Bolesław Przemysłida, wymordował niemal cały jego ród Sławnikowiców. Obawiał się, że to on, Wojciech, zagraża jego władzy. Niewielu krewiaków uszło z kraju z życiem. Wojciech znalazł się w Gnieźnie u księcia Bolesława Chrobrego. Władca Polski przyjął go serdecznie. Razem obmyślili plan podjęcia misji chrystianizacyjnej w kraju Prusów. Zrazu Wojciech zamierzał udać się na północny zachód, do pogańskich Wioletów, jednak ostatecznie uznali z Bolesławem, że wyprawa ruszy na północny wschód. Teraz właśnie realizowali ją z bratem i księdzem Boguszem, podążając przez kraj Polan do owych tajemniczych Prusów. Wśród Słowian czuli się bezpiecznie. I to nie dlatego, że książę dał im trzydziestoosobową eskortę swoich wojów, którzy dyskretnie nad nimi czuwali, lecz z tego powodu, że tujejszy lud był spokojny i dobry. Ale jak powita ich ten nieznany, pogański lud? Bóg raczy wiedzieć! Biskup zapadł w sen, a zbudziło go jego mocne, własne chrapnięcie. Nieco speszony spojrzał na towarzyszy podróży i zawołał z wielką werwą:

– Dość już tego leniuchowania, czas ruszyć w dalszą drogę i nieść ludziom słowo Boże.

Cała czwórka zajęła miejsca na wozie. Lecz, co to? Co robi ten koń Siwek? Ruszył prosto na jeden z głazów. Stary Maciej krzyknął przerażony: – Stój!

Nie pomogło. Jedno z przednich kół furmanki uniosło się wysoko w górę, a gdy wszyscy jej pasażerowie spodziewali się fatalnego upadku... nic podobnego się nie wydarzyło. Ziemia pod kamieniem jakby rozstała się.

– To jest cud – wyszeptał stary Maciej.

Nieposłuszny przed chwilą Siwek stanął jak wryty, a kiedy cała czwórka, opuściwszy wóz, zbliżyła się do głazu, ujrzała na nim wyraźny ślad koła. Odtąd, przez ponad tysiąc lat, historia strzeleńskiego kamienia przekazywana jest z pokolenia na pokolenie. ♦



STRZELNO

O ROZBÓJNIKU DĄBKU ZE STRZELNA

– **T**o pewnikiem sprawka tego piekielnika Dąbka i jego bandziorów! – krzyczał Janek Bednarz, a wokół niego gromadził się tłum, który gęstniał z minuty na minutę.

– A co się stało? – zapytał Antek Pięta.

– Nie słyszałeś o zaginięciu Maryni Białki? Podobno wczoraj rano wyszła z domu i ślad po niej zaginął. Jej ojciec od zmysłów odchodzi, a przecież za dwie niedziele mają się odbyć jej zrękowiny z Filipem Książkiem – tłumaczył bednarz.

– A dokąd poszła? – zapytała stara Matejowa.

– Ponoć widziała ją Kachna Piekarzówna, jak zmierzała w stronę lasu – wyjaśniła Gruba Zośka, córka młynarza.

– Jakie лихо ją tam poniosło? Czy nie wiedziała, że na takie jak ona dybie zgraja Dąbka? – Maciej zwany Siwą Brodą z niedowierzaniem kręcił głową. – Czy ona nie słyszała, co spotkało piękną kasztelankę, gdy wpadła w ręce tej zbójcekiej szajki? Opowiadano o tym takie okropności, że aż strach powtórzyć! A pamiętacie, co zrobiono z Sabiną Ogórek? Dąbek zatrzymał ją na drodze i przymilnym głosem poprosił o zakup na rynku gwoździ i octu, bo on sam nie może, z powodu bólu nogi. Uczynna Sabina, oczywiście nie rozpoznawszy łotra, a mając litość w sercu, spełniła tę prośbę. Ten zbój powbił jej owe gwoździe w piętę i polał octem. Do dzisiaj biedaczka kuśtyka na jednej nodze. Całe szczęście, że ma dobrego syna, który jej pomaga.



O tym wszystkim rozprawiano na strzeleńskim rynku. Oburzenie na bezkarność Dąbka i jego kamratów było powszechne. Wyrażano obawę, że miła i zawsze pomocna Marynia Białka, dostawszy się w łapy tych okrutnych rzeźmieszaków, została przez nich zapewne zabita.

Było jednak inaczej. W dniu zaginięcia dziewczyna rzeczywiście poszła do lasu, chcąc nazbierać lubczyku. Wiedziała, że jej ukochany Filip darzy ją szczerym uczuciem, ale stara Matejowa, co na ziołach najlepiej się знаła, powiedziała jej, że chcąc zatrzymać przy sobie miłość chłopaka na całe życie, musi mu podać w potrawie lubczyk. Wskazała też miejsce, gdzie rośnie to cudowne ziele. Marynia była piękną dziewczyną, miała modre oczy, rumiane policzki i zawsze uśmiechnięte, malinowe usta. Urody dopełniały dwa rude, długie warkocze. Właśnie taką ujrzał ją między zaroślami rozbójnik Dąbek. Ogromnie mu się spodobała. Nie spuszczać z niej swych kaprawych oczu, wydał z siebie przeciągły świst i zaraz u jego boku pojawiło się dwóch kompanów. Byli to dwaj bracia bliźniacy, których nazywano Zerwipazurem i Wyrwizębem. Straszne łotry, zdolne do każdego okrucieństwa, gotowe na spełnienie każdego rozkazu swojego herszta, który, wskazując na zbierającą lubczyk Marynię, szepnął:

– Ona musi być moja...

Wkrótce dziewczynę ogarnęła ciemność. Po długim czasie ocknęła się i ujrzała przed sobą, w blasku ognia, straszną twarz nieznanego człowieka. Zdawało jej się, że wciąż śni. Zamknęła oczy, a kiedy ponownie je otworzyła, koszmar nie minął.

– Gdzie ja jestem? – wyszeptała odrętwiałym ze strachu głosem.

– U mnie, dziewczeczko, w moim domku, czyli pieczarze. Nie bój się, nie się tobie złego nie przydarzy – zapewniał rozbójnik. – Musisz jednak spełniać moje polecenia. Będiesz sprzątać, gotować, chodzić na rynek po zakupy. Nikt tam cię nie rozpozna, bo jeden z moich ludzi tak zmieni twoje piękne liczko, że nikt w Strzelnie nie zorientuje się, że to ty. – Tu Dąbek odwrócił się do kompana, siedzącego obok niego: – Nic dziwnego, że nazywamy go Pięknotą. Ale, ale... – rozbójnik wyraźnie się nad czymś zamyślił – muszę znaleźć sposób na to, abyś nie wyjawiała nikomu, kim jesteś. Zaraz...zaraz... Już wiem. Wy, ludzie, zwykli zjadacze chleba, jesteście bardzo bogobojni. Przysięgniesz mi zatem na krzyż, że żadnemu człowiekowi nie zdradzisz, gdzie mieszkasz.

– Szturchadło! – w pieczarze rozległ się tubalny głos herszta – przynieś mi ten złoty krzyż, który zdobyliśmy w ostatniej wyprawie!

W jednej chwili poderwał się z ziemi wysoki chudzielec z czarną czupryną, o twarzy zoraną licznymi bliznami. Natychmiast spełnił polecenie Dąbka, w rękach którego znalazł się duży, szczerozłoty krucyfiks. Spojrzał on groźnie na Marynię i, chwyciwszy gwałtownie jej dłoń, położył ją na tym świętym symbolu chrześcijaństwa.

– Przysięgnij dochować tajemnicy! – wycodził przez spróchniałe zęby.

Przerażona dziewczyna wyszeptała:

– Przysięgam!

Od tego dnia Marynia usługiwała Dąbkowi i jego bandzie. Ciągle myślała o swoim ukochanym Filipie, o ojcu, o sąsiadach i przyjaciółach. „Czy mój los kiedyś się odmieni?” – dumiała, a jej piękne, modre oczy wypełniały się łzami.

Minęło kilka tygodni, nadszedł kolejny targowy wtorek, w którym Pięknota, jak zwykle, zmienił jej twarz w oblicze starszej kobieciny, ukrywając wspaniałe warkocze pod brunatną chustą. Na strzeleńskim rynku gwar jak zawsze panował niebywały. Marynia, obładowana koszami, przypominała sobie, że musi jeszcze kupić mąkę, bo Dąbek miał ochotę na kluchoy z okrasą. Nagle dziewczyna poczuła, że ktoś bacznie jej się przygląda. Zwróciła głowę w tamtą stronę i zamarła... To był Filip. Nie oglądając się więcej, ruszyła w stronę lasu. Chłopak poszedł za nią, myśląc gorączkowo: „Skąd ja znam te oczy?”

Po chwili nie miał już wątpliwości, że to przecież jego Marynia. Widział przesuwającą się między drzewami brunatną chustę. Był coraz bliżej, gdy spostrzegł mostek. Znał to miejsce. Po jego drugiej stronie stała figurka Matki Boskiej. Postać, za którą podążał, już tam była. Odstawiwszy kosze, zwróciła się ona w stronę młodzieńca:

– Błagam, schowaj się pod mostem!

Gdy chłopak spełnił jej prośbę, ta rzuciwszy się na kolana przed świętą figurą, rozpoczęła swoją bolesną spowiedź. Zwierzała się Najświętszej Paniencie ze swej niedoli, wiedząc, że nie łamiąc przysięgi danej hersztowi, opowiada ukochanemu o swoim cierpieniu. Wysłuchawszy tej smutnej historii, Filip ruszył do miasta, gdzie powiadomił władze o losie ukochanej. Wezwani mieszkańcy Strzelna ruszyli z wielką odsieczą. Pojmano rzezimieszków, osądzono i wymierzono im zasłużoną karę.

Marynia i Filip wzięli ślub, doczekali się gromadki dzieci i żyli w Strzelnie spokojnie i szczęśliwie. ♦



O SILE MATCZYNEJ MIŁOŚCI

Na terenie dzisiejszego Szubina stał niegdyś okazały zamek. Mieszkał w nim możny pan Mikołaj. Miał on żonę i trzy córki. Będąc właścicielem okolicznych wiosek, cieszył się dobrą sławą.

– Dobry jest nasz pan, sprawiedliwie rozsądza wszystkie spory!

– W czasie nieurodzaju spichrze swoje dla nas otwiera, by głód nie zapanował!

Tak chwalono szlachetnego pana Mikołaja, jego żonę i córki. Zwłaszcza najmłodszą z nich, Jagódkę, darzono szczególną sympatią. Trudno się temu dziwić, bo gdy ludzie ją ujrzeli, albo usłyszeli jej perlisty śmiech, mieli wrażenie, że słońce jaśnieje nad całą okolicą nawet wtedy, gdy dzień był dżdżysty. Spokojnie i szczęśliwie płynęły dni. Ludzie czuli się bezpiecznie i biorąc przykład z dobrego pana i jego rodziny, sami stawali się lepsi: pomagali sobie nawzajem, w trudnych chwilach pocieszali życzliwym słowem lub choćby spojrzeniem.

Ale zdarzyło się razu pewnego, że w lesie, po drugiej stronie rzeki Gąsawki, zamieszkał zły czarnoksiężnik. Bacznie przyglądał się on ze swoich zarośli mieszkańcom zamku i okolicy. Bardzo irytowała go panująca tam zgoda i serdeczność. Wciąż powtarzał, zgrzytając krzywymi zębiskami:

– Już niedługo zburzę wam ten spokój i tę waszą idyllę w perzynę obrócę! A ta dziewczucha, którą Jagódką zwa, będzie mi usługiwać!

Kilka dni później czarnoksiężnik wybrał się na zamek. Wyglądał bardzo dostojnie. Stawawszy przed panem Mikołajem i jego żoną, odezwał się takimi słowami:



– Witam was, zacni gospodarze. Nazywam się Nikolaus Paravandus. Przybywam z daleka, by szerzyć wiedzę, którą posiadam w ciągu całego mojego życia. Doszły mnie słuchy o niezwykłej mądrości waszej najmłodszej córki, Jagódki. Oddajcie mi ją na nauki, a uczynię z niej najmądrzejszą kobietę świata. Wiedza to przecież skarb, który zawsze podąża za tym, kto go posiada...

Czarnoksiężnik usiłował nadać swemu spojrzeniu łagodną głębię, tymczasem matka Jagódki zobaczyła w nim jedynie obłudę.

– Nigdy nie oddamy ci naszej córki – odpowiedziała stanowczo. – Miejsce dzieci jest przy rodzicach. Jagódka nie musi być najmądrzejsza na świecie. Ważne, żeby była dobrym człowiekiem.

Został więc zły czarnoksiężnik z kwitkiem odprawiony, ale tacy ludzie nie od razu rezygnują ze swoich niecznych zamiarów.

– Czekać, czekać, już ja was urządzę – powtarzał wściekle, oddalając się z zamku. Pewnego dnia zobaczył pana Mikołaja, wybierającego się na polowanie.

– Już mi bratku żywy z mojej pułapki nie ujdiesz – zasyczał szyderczo i po chwili przestoczył się w jelenia. Chwilę później pędził już przed myśliwym.

– Za mną, za mną! – syczał pod nosem. – Dalej, dalej, za chwilę rozpoczną się bażna!

I rzeczywiście, koń pana Mikołaja ze strasliwym rżeniem zaczął wraz z jeźdźcem zapadać się w grzęzawisku, które go pochłonęło. A potem nastała cisza...

Wielka żałoba po śmierci dobrego pana Mikołaja okryła nie tylko jego rodzinę, ale i okoliczny lud. Niestety, nieszczęścia na tym się nie skończyły. Zły czarnoksiężnik, przestoczywszy się w smoka zięjącego ogniem, podpalił drewniane zamczysko. Kiedy ujrzał wdowę z córkami, które z przerażeniem wpatrywały się w kupę popiołu, jaki pozostał po ich domu, pomyślał: „I co, pani Mikołajowo, trzeba było od razu oddać mi swoją córkę Jagódkę! Masz przecież jeszcze dwie inne córki! Teraz pewnie żałujesz swej pochopnej decyzji. Ale dam ci jeszcze szansę!”. I stanąwszy przed wdową, zaoferował jej swą pomoc:

– Wielkie spotkało cię nieszczęście, ale ja ci pomogę. Odbuduję twój dom i sprawię, że znowu będziesz bogata. Musisz tylko spełnić jeden warunek: oddaj mi swoją najmłodszą córkę na nauki!

Wdowa dumnie spojrzała w fałszywe oczy „łaskawcy” i rzekła:

– Nigdy nie oddam ci mojego dziecka! – Siła jej głosu była tak wielka, że czarnoksiężnik zrozumiał, że o jakiegokolwiek perswazji nie może być mowy.

– W takim razie – przymilny dotąd głos czarnoksiężnika przekształcił się w syk – zamieniam ciebie i twoje córki w pelikany i pozostaniecie pod tą postacią do czasu, dopóki krew miłości matczynej nie zrosi tej ziemi!

W tym momencie zamiast wdowy Mikołajowej i jej dzieci stanęła na trawie pelikanica, pod skrzydła której tuliły się trzy pelikaniątka. Czarnoksiężnik, ujrawszy swoje dzieło, zaczął się szydyczko śmiać, powodując wibracje wśród zamkowych zgliszczy. Góra popiołu uniosła się tak wysoko, że wszystko wokół stało się szare i niewyraźne. Kurz opadł, a sprawca tego zjawiska jakby się rozplynął. Tymczasem pelikanica uwiła gniazdko, wymościła je miękkim mchem i codziennie zносиła tam pokarm dla swego potomstwa.

Mijały dni i miesiące. Lato tego roku było upalne i zdawało się, że deszcz zapomniał o swoim istnieniu. Wielka susza sprawiła, że przynoszonego do gniazdko przez pelikanicę pokarmu było coraz mniej. Gdy nadszedł dzień, w którym już nie mogła dać do jedzenia swoim dzieciom, z rozpacz zaczęła drzeć własne piórka, by dziobem uczynić rany dla ujścia swej krwi mającej uratować dzieci od głodu. Kilka kropeł tej krwi spadło na ziemię. I wtedy... cóż to? Po pelikanach nie było śladu, a na polanie stały pani Mikołajowa i jej córki. Kochająca krew matczyna przywróciła im wszystkim ludzką postać. A jej trzy krople, które spadły na ziemię, zamieniły się w krążki złota, za które można było nie tylko odbudować zamek, ale i wesprzeć okoliczną, też głodującą, ludność!

Dobroć pani zamku stała się tak znana, że na ziemię te zaczęli przybywać nowi ludzie. Powstało miasto, w herbie którego umieszczono wizerunek pelikanicy karmiącej swą krwią pisklęta, co miało przypominać o tym, że matczyna miłość jest bezgraniczna. ♦



O HERBIE GMINY ŚWIECIE NAD OSĄ

Herb gminy Świecie nad Osą przedstawia na czerwonym polu dwa półksiężycy i miecz pomiędzy nimi. Motyw to dawny i wywodzi się od rdzennie polskiego herbu Przegonia, a ten natomiast związany jest ze znamienitym i walecznym pułkownikiem, Ostoją zwanym. Był to mąż niewysoki, średniej postury, ale odwagi tyle miał, co dziesięciu, ba – nawet stu chłopów!

– Niepozorny taki – mówili niektórzy. – Wąsy w nieładzie, czupryna czarna, oczy piwne, często zamysłone, ale jak do wojaczki stawał! O, wtedy mieczem sprawnie jakby kijkiem wywijał! – Każdy podziwiał w nim męstwo, energię i wielki talent.

Działo się to w czasach pierwszych Piastów za panowania Bolesława Śmiałego. Świecie nad Osą było jednym z ważniejszych grodów Ziemi Chełmińskiej. Tereny, które dziś do gminy należą, w połowie były pruskie, w połowie Polskie. Na północ od Osy urzędowali Prusowie, a na ziemiach na południe od rzeki – Polacy. O czasach tych wiemy niewiele. Ale opowieść o pewnym zdarzeniu przekazywana była z pokolenia na pokolenie i przetrwała do dziś. A było to tak...

– Najjaśniejszy królu! – wyrzucił jednym tchem zziębnięty posłaniec. – Nieprzyjaciół wtargnął na nasze ziemie, w nasze granice!

– Pułkownika Ostoi nam trzeba! Prędko wici śłać po niego! Zdolny to wojak, sytuację opanuje! Niech zbierze rycerzy i rusza od razu! Napaść wroga w zarodku zgnieść trzeba! – rozkazał król.



Wysłańcy natychmiast do Ostoi ruszyli. Konie gnały przez lasy i pola co sił. Tętent kopyt słyszany był w całej okolicy, a tumany kurzu kłębiły się za nimi na gościńcu.

– Pułkowniku! Pułkowniku! Król cię wzywa! Wróg idzie ku nam! Kilka zastępów zbrojnych widziano dwa dni drogi stąd, jak rzekę Osę przekraczali. W waćpanie nadzieję król pokłada! Zbierzemy naszych i pójdziemy za twoim przewodem! Rozgromimy nieprzyjaciela!

Gdy już znaleźli się na polanie, na której obozowały gromady wrogiego wojska, świt nieśmiało dopiero, pierwszymi skromnymi promieniami słońca się budził. Wrogie rycerstwo i wielu pancernych spało jeszcze. Dzień mieli ciężki, a wieczorem biesiadowali długo przy ogniskach. Mało kto powieki ociążałe od snu i napitków podnieść już zdołał. Ostoja tymczasem plan już miał gotowy. Po cichu, na piechotę podkraść się z wojskiem pod obóz. A potem runął z wrzawą na zaspanych nieprzyjaciół. Żaden miecza nie uszedł. Jedni przez własne zuchwalstwo poginęli, innym tego dnia szczęścia w walce zabrakło. A wiedzieć musicie, że gdy Ostoja stał na czele oddziału, duch waleczności we wszystkich wstępował. Sam wojował z kilkoma naraz, a jego ludzie – mimo że nieliczni – postrach siali w nieprzyjacielu.

Pojmano też niewolników. Był wśród nich Jakiel – człek prosty, ale rozumny. Gdy tylko zobaczył Ostoję, do nóg mu upadł i błagać zaczął:

– Panie! Żywot mój nędzny! Dzieciak w domu pięć czeka na mój powrót. Jeśli łaskę okażesz i życie darujesz, większe zwycięstwo niż to pomogę ci odnieść. Znam dobrze główny obóz twego nieprzyjaciela. Wejść mogę do środka i podejrzeń nie wzbudzę. A wiem, jak przechytrzyć twego wroga. Przysięgam, że prawdę rzekłem i słowa dotrzymam!

I błagał tak, błagał, cały czas na kolanach, aż pułkownika poruszył ten widok. Ostoja był to mąż wojowniczy, ale o dobrym sercu. Dlatego te oto słowa spokojnie rzekł:

– Idźże zatem i słowa dotrzymaj.

Jakiel prosto do swego obozu się udał i jak obiecał, tak zrobił. Podstępem czujność i siłę swoich osłabił.

– Hetmanie, cudem życie swe ocaliłem! – rzecze Jakiel do pruskiego przywódcy. – Na polu bitwy ciężko! Wojska więcej potrzeba!

Wrogi hetman nowe posiłki straży pierwszej wysłał. I to o wiele liczniejsze niż wcześniej. A ci poszli do boju, w zasadzkę Ostoi wpadli i poginęli. Potem pułkownik z drugimi chorągwiami połączył swe siły i nocą przy blasku księżyca na osłabiony



obóz nieprzyjacielski uderzył. Zrobił to tak jak wcześniej – po cichu, sprytnie i z zaskoczenia. Ataku nikt się nie spodziewał. Ze snu wyrwani żołnierze biegali po omacku, nie wiedząc, co się dzieje. Jedni pod miecz się dostali, drudzy do pobliskich lasów zbiegli, ale ludzie Ostoi ich wytropili i sprawiedliwość im wymierzili.

Za to dzieło i obronę granic Polski Ostoi znaczne dobra darowano i herb szlachecki nadano. Na pamiątkę owej chwalebnej nocy, kiedy zgrabna akcja Ostoi miejsce miała, w herbie owym znalazły się: miecz – symbol męstwa i odwagi oraz złote półksiężycy barkami ku sobie zwrócone – wyobrażające księżyc w rzece się przeglądający. ♦



JAK POWSTAŁO MIASTO ŚWIECIE NAD WISŁĄ

Działo się to w XIII wieku, kiedy Polska nie była jednością, a podzielona na dzielnice słabła w wyniku obcych najazdów i walk o ziemię, prowadzonych między dzielnicowymi książętami. Jednym z nich był ambitny książę pomorski Świętopełk II, który znacznie powiększył granice swojego księstwa. Objęło ono również obszar dzisiejszego miasta Świecia. Na nadwiślańskiej skarpie wybudował zamek, co nie podobało się diabłu mieszkającemu na pobliskich wzgórzach. Czart wszelkimi sposobami starał się dokuczać zarówno rybakom, łowiącym w tym miejscu ryby w Wiśle, jak i podróżnym, starającym się dotrzeć rzeką na zamek.

Mimo tych diablích figli książę Świętopełk lubił to miejsce. Czuł, że w tym zamku, z dala od wojen, które tak często prowadził, naprawdę odpoczywa. Przybywali tu z nim jego rycerze, muzykanci i trefnisie, którzy starali się umilić mu chwilę spokoju przed kolejną wyprawą wojenną.

Ale licho nie spało... Pewnego dnia, mimo późnej pory, przebywający w Chełmnie Świętopełk postanowił jeszcze przed nocą dotrzeć do swojego ulubionego zamku. Przygotowano dwie łodzie, do których ochoczo wchodzili rycerze. W jednej z nich ulokował się książę. Był w doskonałym humorze i zaintonował pieśń, śpiewaną wiek wcześniej przez wojów Bolesława Krzywoustego: „Naszym przodkom wystarczyły ryby słone i cuchnące. My po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające...”.



– Książę, chyba idzie burza – stwierdził jeden z rycerzy. – Może przeczekamy w Chełmnie do rana?

– A co ty Burzysławie taki strachliwy? – zaśmiał się Świętopelk. – Oj, twój ojciec chyba pomylił się, dając ci takie imię!

Rycerz spiekł raka, na szczęście otaczające ciemności ukryły zawstydzenie.

– Ruszamy! – rozkazał książę i zaraz potem dwie łodzie znalazły się pośrodku rzeki. Wiał wiatr, który wyraźnie nasilał się, a księżyc skrył się za chmurami. W pewnej chwili ciemności przeciął zygzak błyskawicy i wówczas wszyscy ujrzeli, że wody Wisły zaczynają falować niczym wzburzone morze. Lunął deszcz.

– Co u licha? – krzyknął jeden z rycerzy i wszystkim zdało się, że słyszą dobiegający z nadwiślańskich wzgórz szyderczy chichot.

– Tam naprawdę mieszka diabeł... – szepnął rycerz Sławoj, przypomniawszy sobie, jak śmiał się do rozpuku, gdy opowiadał mu o tym w chełmińskiej karczmie jakiś człek. Teraz do śmiechu mu nie było. Zbielałymi ze strachu ustami powtarzał: – Najświętsza panienko, miej nas w swojej opiece!

A nawałnica szalała. Wydawało się, że łodzie ruszyły do jakiegoś obłądnego tańca, że wypełnione są nie rycerstwem, a szalejem. Nagle jedna z łodzi przewróciła się. Rozległ się straszliwy krzyk przerażenia zmieniony wkrótce w bulgotanie. Chociaż wokół panowała zupełna ciemność, z łatwością domyślono się strasznej prawdy. Tymczasem druga łódź nadal płała po rzece.

– Ktoś wypadł za burtę! – wrzasnął Burzysław. – Książę, gdzie jesteś?

Nikt mu nie odpowiedział. I wtedy stała się rzecz niepojęta. Jakieś światło rozjaśniło tafle rzeki, a rycerze ujrzeli podniesioną dłoń, na której błyszczał książęcy pierścień.

– To nasz książę! – krzyknęli wszyscy jednocześnie, chwycili rękę swego ukochanego władcy i wciągnęli go do łodzi, a wkrótce wszyscy szczęśliwie dotarli do brzegu. Przez dłuższą chwilę siedzieli na nim w milezeniu. Pierwszy odezwał się książę.

– Skąd wzięło się to światło? Ono uratowało mi życie!

Wkrótce sprawa się wyjaśniła. Otóż kilka lat wcześniej, w miejscu gdzie rzeka Wda wpada do Wisły i gdzie najczęściej tonęli ludzie, pewien grzesznik zbudował skromną chatkę. Złożył on przysięgę, że pokutą za jego grzeszne w młodości życie będzie ratowanie rozbitków. I rzeczywiście niejednego z nich ocalił. Tego dnia, gdy książę Świętopelk przeżył swoją dramatyczną przygodę, pustelnik ów wydobyl z rzeki jakiegoś rybaka.

Kiedy jednak przyniósł go na plecach do swojej chatki, uznał, że może się jedynie modlić za spokój jego duszy, która niebawem z nieszczęśnika uleci. Zapalił więc świecę i w tym momencie usłyszał dobiegające z rzeki krzyki. Nie chcąc opuszczać umierającego, podszedł ze świecą do okienka i choć nic przez nie nie zobaczył, zapalona świeca sprawiła, że siedzący w łodzi rycerze dostrzegli unoszącą się nad wodą upierścienioną dłoń. Poznawszy okoliczność swojego ocalenia, uszczęśliwiony książę Świętopełk odezwał się do swoich rycerzy takimi słowami:

– W miejscu ujścia Wdy do Wisły rozkażę zbudować potężny zamek. Na jego wieży będzie płonąć wieczny ogień: w dzień na chwałę miłosiernego Boga, w nocy dla rozświetlania drogi wszystkim rozbitkom i zbłąkanym!

Gdy po kilku latach szlachetny pustelnik zakończył swoje życie, w miejscu, gdzie stała jego chatka, zbudowano, na rozkaz księcia, kościół pod wezwaniem św. Michała, a wokół niego powstało miasto nazwane Świeciem. W jego herbie na czerwonym tle, między dwoma półksiężycami, widnieje srebrna świeca, której złoty płomień rozświetla drogę wszystkim pragnącym przybyć do tego urokliwego miasta. ♦



DLACZEGO W HERBIE TORUNIA ZNAJDUJE SIĘ ANIOŁ?

Był październik 1466 roku, złota, polska jesień... Traktem z Dobrzynia ku Toruniowi posuwał się orszak jezdnych. Obok liczne uzbrojone rycerstwo przesuwały się załadowane po brzegi wozy. Widać było, że w orszaku tym jedzie jakaś znacząca persona. I rzeczywiście tak było – to król Kazimierz Jagiellończyk podążał do Torunia, by tam zawrzeć pokój z zakonem krzyżackim. Wojna, jaką Polska prowadziła z Krzyżakami, trwała aż 13 lat. A wszystko zaczęło się od tego, że rycerstwo i mieszczaństwo polskie, mieszkające na ziemiach państwa krzyżackiego, dość już miało ich rządów: bezprawia, wysokich podatków, uginania karków pod wciąż nowymi obciążeniami... W 1440 roku założony został antykrzyżacki Związek Pruski, który postawił sobie za cel przywrócenie tych ziem zagarniętych przez Krzyżaków w XIII- XIV wieku Polsce. Czternaście lat później delegacja Związku przybyła do Krakowa, by błagać króla Kazimierza o wsparcie. Przewodził jej Jan Bażyński, który onegdaj był dyplomata i najemnikiem służącym zakonowi, ale potem znalazł się na czele opozycji. Stanąwszy przed obliczem królewskim, Bażyński przemówił:

– Najjaśniejszy panie, z wielką prośbą my tu do ciebie przybywamy. Włącz ziemie krzyżackie do Królestwa Polskiego.



Zamyślił się wielce monarcha i tak odpowiedział:

– Cięży i nam to krzyżackie sąsiedztwo, ale taka decyzja oznaczać może tylko jedno: wojnę z zakonem. A wojna wymaga pieniędzy! Skąd ja je wezmę?

– Ręcę ci najłaskawszy królu, że my wspierać będziemy ciebie ze wszystkich sił. Pomożą bogate miasta: Gdańsk, Toruń, Elbląg, gdzie już wybuchają antykrzyżackie powstania. W Toruniu powstańcy wysadzili w powietrze zamek krzyżacki!

– Rozważyć to muszę z moją radą, bądźcie jednak dobrej myśli.

6 marca 1454 roku król Kazimierz ogłosił włączenie ziem zakonu do Polski, co spowodowało wybuch wojny. Toczyła się ona ze zmiennym skutkiem. Zaczęła ją bitwa pod Chojnicami, gdzie rycerstwo polskie haniebnie uciekło z pola. Ale we wrześniu 1466 roku wojska polskie pod wodzą Piotra Dunina, po pomyślnych walkach pod Chojnicami, opanowały miasto. I wtedy wielki mistrz Ludwigo von Erlichshausen poprosił o pokój.

I oto król zmierzał właśnie do Torunia na rokowania pokojowe. Towarzyszył mu, oprócz licznej eskorty, Jan Ostroróg – człek wielce w księgach rozmiłowany i Jan Długosz – kanonik krakowski, który od 11 lat tworzył wielkie dzieło *Roczniki, czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego*.

W pewnej chwili król spoglądając na ciągnące się po obu stronach drogi puste równiny, rzekł:

– Na ziemiach tych chyba wilki miały swoje legowiska. Im bardziej posuwamy się w głąb obszaru, gdzie legła ręka krzyżacka, tym większe spotykamy zniszczenia. Biedny był ten ludek, który tak boleśnie jarzmo krzyżackie czuł. Ale teraz to się wszystko odmieni.

Westchnął głęboko litościwy król, głowę na piersi zwiesił, lecz nagle się ożywił i wydobywszy z rękawa świstawkę, świsnął przeciągle. Natychmiast przy nim pojawił się jego pacholek Marcin.

– Wiem, że nie znasz języka tutejszego ludu. Znajdź więc kogoś, kto go zna i sprowadźcie mi jak najszybciej z tej ziemi tych ludzi, może być ich dużo!

Tymczasem monarcha zarządził popas. Pacholki rozłożyli grube, niedźwiedzie skóry, rozpalili ogniska, nad którymi w wielkich kotłach zaczęto warzyć strawę.

Wtem od lasu dał się słyszeć tętent i ludzkie głosy. Zaraz potem ujrzano wysłanego przez króla pacholka Marcina i jego towarzyszy, prowadzących liczną gromadę powiązanych ludzi. Na koniach zaś siedziały dzieci.

Król uśmiechnął się z zadowoleniem, Marcin stanąwszy przed nim, zawołał wesoło:
– Twoja wola, najjaśniejszy panie została spełniona. Ludzi tych, ślaniających się z głodu, znaleźliśmy w gęstwieniu – uciekli przed krzywdami czynionymi przez Krzyżaków.

– My ich nakarmimy! – Na te słowa króla jego pacholkiwie rozdzielać zaczęli w drewniane kubki rozgotowaną kaszę i kromki chleba. A ci biedni, zgłodniaли ludzie brali naczynia drżącymi rękami i patrzyli z niedowierzaniem... Potem ich twarze „utonęły” w jadle.

Cztery dni później król z całym orszakiem wjechał do Torunia. Dzwony biły radośnie, a toruńscy mieszczanie z zadowoleniem oddali monarsze klucze do miejskich bram. Witając go chlebem i solą, prosili o opiekę. Z pewnym niepokojem patrzyli jednak na owych zabranych w drodze nieszczęśników. Ale król rzekł uspokajająco:

– Nie obawiajcie się tych gęb, bo żywność mam nie tylko dla nich, lecz i dla was. A i innych mieszkańców tych ziem moi pacholkiwie już w chleb zaopatrują.

Odpowiedziało mu gromkie:

– Niech żyje król Kazimierz Jagiellończyk!!!

Weiaż słyszał te radosne okrzyki król, kiedy wraz z polskimi panami wchodził do toruńskiego ratusza, w którym czekała już starszyzna krzyżacka z wielkim mistrzem Ludwikiem na czele. Rozpoczęto obrady. Zaczął wielki mistrz:

– Pozwólcie, miłościwy panie, że najpierw nasz sekretarz przeczyta przygotowane przez nas warunki pokoju, tak ważnego dla obu stron.

Kazimierz spojrzał wymownie na przebiegłe oczka krzyżaka.

– Niech i tak będzie – rzekł powoli. – Wyrażam jednak nadzieję, że nie zapomnieliście przy sporządzaniu tego dokumentu, że to wy jesteście pokonanymi, Polacy zaś są zwycięzcami w tej wojnie.

Wielki mistrz puścił tę uwagę mimo uszu, a sekretarz krzyżacki, rozłożywszy nieduży rulon pergaminu, zaczął czytać po niemiecku. Zdążył jedynie wypowiedzieć parę słów, gdy przerwał mu oburzony monarcha:

– Po niemiecku? Protestuję!

– Ale my nie znamy waszej mowy – tłumaczył Ludwíg von Erlichshausen.

– A my nie chcemy znać waszej. Jest przecież język neutralny – łacina i w tym języku trzeba sporządzić dokument.

– Ale to wymaga czasu... – próbował oponować ktoś z krzyżackiej starszyzny.
– Wojna trwała 13 lat i te 2 dni zwłoki niewiele znaczą. – W głosie polskiego monarchy brzmiała stanowczość.

Wtedy wielki mistrz jękając się nieco, przyznał:

– Sporządziliśmy na wszelki wypadek to pismo również po łacinie...

Król Kazimierz, Ostroróg i Długosz spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– No to czytajcie. – Król nieco wygodniej rozsiadł się w swoim fotelu.

Ale sekretarz czytał krótko. W związku z tym, że Kazimierz w łacinie nie był zbyt biegły, zwrócił się do Jana Długosza:

– Przetłumaczcie.

I kanonik krakowski wyjaśnił, że Krzyżacy deklarują, iż wojny z Polską nigdy podejmować nie będą i że oddadzą ziemie chełmińską i michałowską.

– Tylko tyle? – Brwi monarchy podniosły się tak wysoko, że Długosz pomyślał: „w takim zdumieniu jeszcze nigdy króla nie widziałem”. A zaraz potem rozległ się donośny śmiech monarszy:

– Żarty! Żarty! – wołał na cały głos, wówczas gdy wielki mistrz popadał w coraz większe zakłopotanie. Wreszcie krzyżacki zwierzchnik, nabrawszy powietrza, jał przemawiać, starając się zademonstrować swoją pewność.

– A co? Wy chcecie nas wyzuć z wszystkich ziem, tak? I jeszcze zabrać całą naszą ludność?

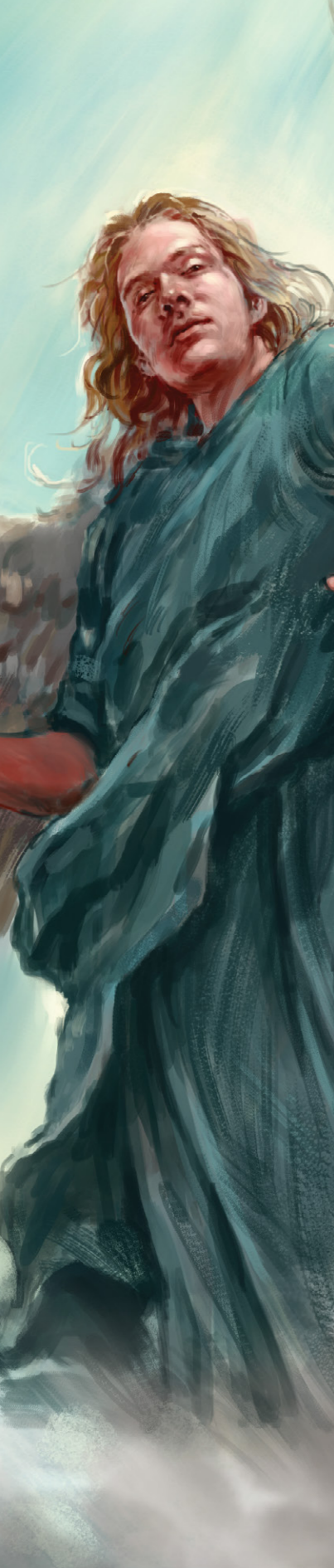
W tym momencie twarz monarchy stężała. Rozwahał coś przez chwilę, po czym wysunął z rękawa świstawkę i... świsnął. Cała starszyzna krzyżacka zerwała się na równe nogi.

– Nie obawiajcie się – rzekł uspakajająco Kazimierz. – Tu nie będzie żadnego zamachu, żadnego podstępu. My, Polacy, nie stosujemy waszych metod. A teraz mistrzu podejdź ze mną do okna i spójrz.

Ludwíg von Erlichshausen ujrzał zalegające rynek tłumy tych zabiedzonych nieszczęśników zebranych na rozkaz Kazimierza z okolicy.

– To są wasi poddani? – pytał ironicznie polski monarcha. – To byli wasi niewolnicy żyjący w nędzy, bo przez lata czuli na swoich karkach krzyżacki bat. Ale to się już skończyło... Kanoniku! – tu zwrócił się do Jana Długosza – czytaj teraz nasze warunki!

Jan Długosz rozwinął pergamin i zaczął czytać, pięknie akcentując każde łacińskie słowo. Krzyżacy mieli oddać Polsce Pomorze Gdańskie, ziemię chełmińską,



michałowską, Warmię, Malbork, a pozostawione im ziemie jako Prusy Zakonne z Królewcem stawały się zależne od Królestwa Polskiego.

– To dyktat! – krzyknął wielki mistrz, gdy Jan Długosz skończył.

Król Kazimierz zadał tylko jedno pytanie:

– Chcecie wojny?

– Niiieeee! – odkrzyknęła chórem starszyzna krzyżacka.

Długo wspominali torunianie monarszy pobyt w ich mieście, które znalazło się w granicach Królestwa Polskiego. Zastanawiano się też nad tym, w jaki sposób uczcić zwycięstwo Polski nad Krzyżakami.

– Toruń w Polsce – powtarzali uszczęśliwieni mieszkańcy.

Nie wiadomo, kto pierwszy rzucił pomysł, że godnym upamiętnienia sukcesu wojny trzynastoletniej będzie odlew dzwonu, który powinien zawisnąć w kościele Świętych Janów. Wykonanie tego dzwonu powierzono sławnemu ludwisarzowi Marcinowi Schmidtowi. Hojność torunian była wielka, bo i też cel wspinały. Wreszcie dzieło było gotowe i wzbudziło powszechny podziw. Dzwon ważący 7238 kilogramów, a wysoki na 2,76 metra nazwano *Tuba Dei*, co znaczy „Trąba Boża”. Jego dźwięk usłyszano po raz pierwszy 31 grudnia 1500 roku. Okazał się tak potężny, że dotarł do nieba. Zadowolony Bóg zesłał do miasta anioła, by ten swoim pojawieniem wyraził torunianom wdzięczność. Dla upamiętnienia tego zdarzenia rajcy miejscy podjęli decyzję o umieszczeniu w herbie Torunia wizerunku anioła, który odtąd ma mieć miasto w swojej pieczy. ♦



TORUŃ

O KRZYWEJ WIEŻY W TORUNIU

Żli byli torunianie na mieszkańców bydgoskiego grodu za to, że ci nazywali ich „Krzyżakami”. Bo czyż to była ich wina, że Konrad Mazowiecki, sprowadziwszy Krzyżaków do Polski, oddał im ziemię chełmińską, na której właśnie gród toruński leżał? Bydgoszczanie panoszyli się na szlaku wiślanym, napadali na statki torunian, a ci nie pozostawali im dłużni. Procesom sądowym nie było więc końca, ale żeby od Krzyżaków wyzywać!? A czy historia Barbary z Torunia nie świadczy dobitnie o stosunku torunian do rycerzy z krzyżami na płaszczach? O Wandzie z krakowskiego grodu, co Niemca nie chciała i w nurty Wisły się rzuciła, cała Polska słyszała, bo ją mistrz Wincenty Kadłubek spisał, ale o dzielnej toruniance jedynie coś tam zamruczy...

Barbara była piękna. Mieszkała z ojcem w kamienicy, stojącej przy samiuśkim rynku. Domy te zajmowali najbogatsi mieszczanie, patrycjuszami zwani. Gdy wchodziła ona do franciszkańskiego kościoła Wniebowzięcia NMP wydawać się mogło, że to majowe słońce przedostało się przez grube mury. Właśnie tam ujrzał ją Zygfryd, jeden z dwunastu rycerzy zakonnych zajmujących toruński zamek. Odtąd nie mógł już o niej zapomnieć. W bezsenne noce krążył po zamkowych komnatach i murach. Znał już jej imię, Barbara. Wiedział, że nie stawiając tamy narastającemu uczuciu, łamie przysięgę rycerza zakonu. Przysięgę, w której wyrzekł się wszelkiej ziemskiej miłości. On tymczasem czuł narastający ogień serca. Barbara już zauważyła, że ją śledził. Widziała jego czarne, świdrujące oczy i coraz większy niepokój mącił jej umysł. Zwierzyła się ojcu, który głęboko się zafrasował, a po chwili rzekł:



– Barbarko, może przyspieszymy twój ślub z Jędrzejem z Chełmna? Na dźwięk imienia ukochanego chłopaka Barbara aż pokraśniała, ale stanowczo odrzekła:

– Nie, tatusiu. Toż jeszcze rok nie minął od śmierci ukochanej mateczki. Żle bym się czuła, gdybym obyczajów nie przestrzegała.

Jędrzejowi, który co tydzień odwiedzał swoją narzeczoną, nie rzekła o natrętnym zalotniku. Bała się, że wpadłby on w taki gniew, że Krzyżak jednym ciosem miecza zostałby powalony. A za taki postępek Jędrzejowi groziłoby podcięcie gardła.

Był piękny lipcowy wieczór, gdy Barbara wracała do domu. Zasiadła się nieco u Kachny, którą na druhnę swoją wybrała. Jeszcze tylko dwie niedziele, a zostanie żoną tego, przy którym serce bije tak mocno: stuk-stuk, stuk-stuk. Ale co to? Od bramy jej domu oderwał się jakiś cień... w długim, białym płaszczu. Przebóg! To ten prześladowca! Trzeba uciekać. Ruszyła w stronę Bramy Chełmińskiej. W pewnej chwili usłyszała chrapliwe:

– Barbaro!

Biegła coraz szybciej. Czuła już jego oddech i znowu:

– Barbaro!

Przecież lubiła swoje imię, ale gdy wydobywało się ono z gardła tego Niemca z ostrym „barr...” miała wrażenie, że jej własne imię pali ją w uszy. Brama jeszcze nie jest zamknięta. Dlaczego nie stoi przy niej żaden halabardnik? Już widziała przed sobą Wisłę, nad którą tyle razy przechadzała się z ukochanym. Gdzie on teraz jest? Pewnie przygotowuje się do ślubu.

– Barbaro! Ukochana! Ty musisz być moja! – wołał Zygfryd, a ona czuła, że nakrywa ją jakaś płachta. W odpowiedzi krzyknęła:

– Nigdy! Wolę umrzeć – wzniosła ręce ku rzece i poprosiła: – Wisło, uratuj mnie przed pohańbieniem! – Wskoczyła w jej głębinę.

– Barbaro! Barbaro! – Głos krzyżackiego rycerza był coraz bardziej rozdzierający. W geście rozpaczony Zygfryd padł na nadwiślański piasek i zaczął nim, niczym popiołem, posypywać sobie głowę.

– Cóżem ja uczynił? – zawodził z żalem. Potem kazał zbudować Krzywą Wieżę, jako symbol pełnego grzechów życia, a do końca swoich dni nie przemówił już do nikogo ani jednym słowem.

Stoi ona do dziś wtopiona w mury miejskie, tak samo krzywa, jak niegdyś, a niektórzy twierdzą, że nawet bardziej. Jak jest naprawdę? – każdy może sprawdzić. Mówi się, że ci, których grzechy cięższe są od grzechu wspomnianego Krzyżaka, nigdy nie zdołają utrzymać równowagi, opierając się plecami o ścianę wieży, i tym samym nie zaliczą „testu prawości”. ♦



TORUŃ

O TORUŃSKICH KATARZYŃKACH

Wesołe było dzieciństwo rumianej Katarzynki. I serdeczna matuchna, i pracowity ojciec – piekarz Pieczychleb – kochali ją nad życie. We wszystkich zaułkach toruńskiego miasta słycać było perlisty śmiech dziewczynki.

– Katarzynko! – wołała stara Bardochowa, która z trudem powłóczyła nogami – przyniesiesz mi chleb z piekarni swego ojca? Nie ma w Toruniu lepszego pieczywa!

A Katarzynka biegała od domu do domu, sprzedając chrupiące bułeczki i okrągłe chleby ze złocistą skórką. Ale zdarzyło się nieszczęście. Ukochana matka dziewczynki, do której ta nie zwracała się inaczej jak „mateczko”, ciężko zachorowała i po kilku dniach wydała ostatnie tchnienie. Wielka żałoba okryła dom pracowitego piekarza Pieczychleba. Także sąsiedzi łzy ronili, bo dobra i życzliwa była to kobieta.

Z troską patrzył piekarz na swą jedynaczkę, której niegdyś rumiane policzki stały się bladziutkie. „Katarzynka potrzebuje matki” – myślał. Kiedy więc poznał córkę młynarza z Podzamecza – rudą Gertrudę – uznał, że będzie ona serdeczną opiekunką dla Katarzynki. Ale już na drugi dzień po ślubie nowa małżonka pokazała swoje prawdziwe oblicze. Była złą macochą. Wciąż szturchała pasierbicę, krzyczała na nią, nazywała darmozjadem. Zupełnie inaczej przemawiała do swojego pupila – wielkiego, pręgowatego kocura o imieniu Diabello. Czasami zwracała się do niego per Diabutek i wsadzała do pyszczka najsmaczniejsze kąski. Do męża zaś mówiła:

– Twoja leniwa córuchna wyżre nam ze spiżarni wszystko, co dzięki mojej gospodarności udało się tam zgromadzić!



Nękany ciągłym gderaniem żony i zatroskany z powodu mizernego wyglądu swojej Katarzynki Pieczychleb rozchorował się i już z łóżka nie wstał. Jeszcze nie minął czas żałoby, a ruda Gertruda ponownie wyszła za męża. Jej wybrankiem był człowiek równie zły jak ona. Wypędzili biedną sierotę z ojcowskiego domu, a podła macocha wołała za nią:

– Możesz zamieszkać w starym młynie. Tylko nie waż się kręcić wokół mojego domostwa, bo cię psami poszczuję, a mój kochany Diabulek wbije swe pazurki w twoje kościste rączyska!

Zamieszkała więc Katarzynka w opuszczonym młynie. Jej pożywieniem było to, co znalazła w lesie. Czasami jakiś litościwy rybak dał jej złowioną rybkę. Pewnej nocy usłyszała jakby we śnie:

– Kaško, ratuj mnie z tej matni, zanim wydam dech ostatni!

Szeroko otworzyła oczy. Księżyc był właśnie w pełni i rzucał światło na młyńską izbę. Zobaczyła wstrętnego kocura swej macochy. Miał on właśnie sięgnąć swoją długą łapą po upatrzoną ofiarę – mysz, gdy Katarzynka chwyciła stojący obok kosz i trafiła nim w Diabella. W tym momencie mysz uciekła do dziury. Kot długo patrzył na dziewczynkę nienawistnymi, jarzącymi się ślepiami... „Nie mogę tu dłużej żyć” – pomyślała dziewczynka. Nazajutrz o świcie opuściła stary młyn i pognęła w stronę, stojącego pod czerwonymi murami Torunia, klasztoru.

Kiedy furtianka Hildegarda spojrzała przez kratę, ujrzała znajomą dziewczynę. Rozpoznała ją mimo pobladłej, pociągłej twarzyczki.

– Katarzynka? Co cię tu przywiodło? – spytała.

– Muszę zobaczyć się z przeoryszą! – Jej głos drżał, a do oczu cisnęły się łzy. – Muszę! Muszę!

Stanąwszy przed przełożoną, z płaczem padła jej do nóg:

– Matko, błagam, przyjmij mnie do konwentu!

Gdy przeorysza usłyszała opowieść o cierpieniach Katarzynki, przytuliła ją do serca i powiedziała: – Tutaj będziesz bezpieczna!

I tak było naprawdę. Katarzynka nawet czasami bardzo się dziwiła, bo mniszki spały długo, a dzwon klasztorny zamiast wzywać na msze, wzywał na smakowite śniadanka. Życie w klasztorze było wesołe. Katarzynka, która sama doznała wielu cierpień, nie potrafiła dzielić z mniszkami ich bez troski. Wkrótce jednak nastał czas straszny dla wszystkich – epidemia czarnej śmierci, czyli dżumy, przywleczone z Chin przez kupców. Ta straszna

choroba zbierała obfite żniwo w całej Europie. Zabrakło rąk do uprawiania ziemi, więc zapanował głód. Przed furtą klasztorną gromadziły się tłumy głodujących, błagających o pomoc. Stanowiły go wdowy i sieroty, ale także dawni bogacze, teraz bardziej do kościoł trupów niż do żywych istot podobni. Zasobne niegdyś spiżarnie klasztorne całkowicie opustoszały. Skończyła się wesołość mniszek. One też były głodne.

Pewnej nocy Katarzynka miała dziwny sen, w którym ujrzała mysz, uratowaną przez siebie od kota Diabella. Przemówiła ona ludzkim głosem:

– Jestem Mysim Królem. Ty, Kaško, uratowałaś mi życie, więc teraz ja wybawię ciebie i wielu innych głodujących. Zrób tylko to, co ci powiem. Zejdź do klasztornych podziemi, tam znajdziesz w dzieżach pięćdziesięcioletnie ciasto, które należy upiec.

Katarzynka zaczęła wypiekać smakowite pierniki i karmić nimi głodujących. Z wdzięczności do niej nazwano je „katarzynkami”. Z czasem pyszne pierniczki stały się jedną z wizytówek Torunia.

Niewiele osób wie, iż prawdziwe toruńskie pierniki dostępne są tylko dla wybranych. Nie tylko ze względu na swoją wysoką cenę, ale także sposób ich przygotowania – ciasto potrzebne do wyrobu tych przepysznych smakołyków leżakuje aż dwa pokolenia! Związane jest to z pewną tradycją. Dziadek nastawia ciasto, a z przygotowanej masy pierniki piecze dopiero wnuk. Inny zwyczaj powiązany jest z dwiema uroczystościami. W dniu chrzcina syna nastawia się ciasto do leżakowania, które przeznaczone jest do wypieku na wesele młodego potomka. Im dłużej chłopak nie żeni się, tym lepszy piernik wychodzi po upieczeniu. Ponadto w języku polskim utarł się frazeologizm „stary piernik”, oznaczający pogardliwie starszego mężczyznę. Wnętrza toruńskich piwnic wciąż skrywają mnóstwo ciasta, które czeka już kilkadziesiąt lat na swoją kolej do pieczenia. Piernikami tymi raczą się możni tego świata oraz prezydenci, królowie i dygnitarze. ♦



TORUŃ

O TORUŃSKIM FLISAKU

Na rynku Starego Miasta w Toruniu znajduje się pomnik – fontanna przedstawiająca flisaka ze skrzypcami. Jakże jest miło w ciepłe, letnie dni przyłożyć rękę do jednego z pyszczków ośmiu żab, z których tryska orzeźwiająca woda. Fontanna ta związana jest z pewną legendą.

W średniowieczu Toruń rozwijał się znakomicie. Na rynku znajdowały się sukiennice, kramy i waga miejska, na której każdy mógł zważyć kupiony lub sprzedawany towar. W dni targowe panował na rynku niebываły zgiełk. Między stoiskami krążyli nie tylko ci, którzy pragnęli coś kupić. Pojawiało się tu także wielu złodziejasków, kuglarzy, grajków i „ciekawskich”, myślących, że „tego dnia zdarzy się tu coś wyjątkowego”. Stałą bywalczynią toruńskiej Starówki była sędziwa żebraczka Matylda. Nie lubiano jej powszechnie, bo i głos miała skrzekliwy, i rękę po jałmużnę wyciągała w najmniej odpowiednim miejscu: a to przy kramie z delikatnym suknem, przy którym zatrzymywały się najbogatsze toruńskie mieszczki, a to przy ławie, gdzie piekarz Maćko sprzedawał złociste, pachnące chleby. Ludzie chcieli sycić swe oczy pięknymi, mieniącymi się tkaninami, chłonąć w nozdrza kuszące zapachy, a tymczasem widok nędznej, starej żebraczki psuł im humor i odbierał apetyt na świeżutkie pieczywo. Oj, często słyszała Matylda wiele cierpkich słów: „Zawalidroga!”, „Nierób!”, „Brudas!”, „Mój Boże!” – myślała wówczas. – „Gdyby ci wszyscy ludzie wiedzieli, jak ja w życiu ciężko pracowałam! Tylko złorzeczyć potrafią!”.



Któregoś dnia usłyszała: „Że też taką jeszcze ziemia nosi! Nikomu niepotrzebna, tylko zawadza.” Tego było już za wiele – miarka się przebrała.

Ludzie, którzy opowiadali potem o tym zdarzeniu, byli gotowi przysiąc, że głos, który usłyszeli, nie wydobywał się z ust Matyldy, ale z jakiejś niewidzialnej istoty. Takie oto słowa dotarły do wszystkich:

– Wy, ludzie bez serca, od których nie zaznałam nigdy niczego dobrego – przeklinam was! Myślcie tylko o pieniądzach, o zysku, o kupnie coraz to nowych błyskotek, a nie widzicie wokół ludzkiego cierpienia. Teraz i ono was dotknie!

Głos zamilkł i zapanowała zupełna cisza. Nikt nawet nie zakaszał, ani nie kichnął. Gdy Matylda z rozwichrzonymi białymi włosami przesuwała się między kramami, wszyscy ustępowali jej miejsca. Wkrótce zniknęła. Ludzie powrócili do swoich domów w przecuciu nadchodzącego nieszczęścia. Nazajutrz, wczesnym rankiem obudziło torunian donośne kumkanie. Przerażeni wylegli na ulice i to, co ujrzeli, było czymś niewyobrażalnym: tysiące, ba, dziesiątki tysięcy żab zalegało całe miasto. Wdzierały się pod cudne jedwabie, skubały złociste chleby piekarza Maćka, wskakiwały do słoików z cukierkami, chleptały mleko z baniek przywiezionych na rynek przez podtoruńskich wieśniaków, panoszyły się w pokojach bogatych mieszczan, żyjących w staromiejskich kamienicach. Istna plaga! Mijały dni i widać było, że nowi goście na dobre zadowolili się w grodzie nad Wisłą. Sklepikarze zwinęli swe kramy, piekarz Maćko przeniósł się do Bydgoszczy, a okoliczni chłopci wozili swoje mleko, masło, sery, jaja w inne miejsca. Toruń, jeszcze niedawno tak ludny i bogaty, ubożał. „Co robić?” – zastanawiali się przerażeni rajcy miejscy, a burmistrz był tą sytuacją tak poruszony, że posiwił jak gołabek. Któregoś dnia, gdy siedział w dębowym burmistrzowskim fotelu i jak zwykle targał z rozpaczy swoją siwą czuprynę (wcześniej robił to z brodą, ale już ją wyrwał), pewna myśl zakiełkowała w jego znękanej głowie:

– Wiem! – zawołał do rajców. – Trzeba zwołać na rynek wszystkich mieszkających w Toruniu kawalerów!

Miejscy heroldowie dwoili się i troili, by dotrzeć do każdego domu. Stawili się wszyscy, choć rechoczących wokół żab było znacznie więcej niż stojących między nimi par ludzkich nóg.

– Kochani torunianie! – zawołał wódcarz miasta przy nieustannym kum, kum, re, re, kum, kum, re, re... – Jeśli któryś z was znajdzie sposób na pozbycie się tych – tu wskazał

na obskakujące jego nogi płazy – nieproszonych gości, otrzyma wysoką nagrodę pieniężną i... – tu głos mówcy nieco się załamał – moją jedyną córkę, Hildę, za żonę.

Niemal w tej samej chwili zgromadzeni usłyszeli donośny, młody głos, dobiegający gdzieś z końca tłumu:

– Ja tego dokonam – mówił z pełnym przekonaniem jasnowłosy młodzian. – Moje imię brzmi Iwo. Na nagrodzie pieniężnej mi nie zależy. Jestem flisakiem. Złowione w naszej czystej rzece ryby splawiam Wisłą do Gdańska i mam z tego godziwy zarobek. Ale twoją córkę, którą widuję w kościele, pragnę poślubić i szanować. Jeżeli wykonam zadanie i zostanie ona moją żoną, zapewniam, że nie zazna przy mnie biedy... A teraz ludzie – zwrócił się do zgromadzonych – wracajcie do domów i zaufajcie moim planom.

Nastała piękna, gwiazdzista noc. Torunianie spoglądali przez okna na złocisty rogał księżycy, myśląc: „Jakże byłoby pięknie, gdyby nie ten ciągły rechot”. Ale co to? Coraz wyraźniej docierał do ich uszu jakiś inny, iście anielski dźwięk.

– To skrzypce – szepnęła Hilda, córka burmistrza i przez okno swojej kamienicy, stojącej przy rynku, spojrziała w dół. Czy to możliwe? Ależ tak. Na kamiennym bruku toruńskiej Starówki stał ten sam chłopak, którego każdej niedzieli spotykała w kościele Świętych Janów. Miał w dłoniach skrzypce i grał. Jak on grał! A wokół niego... mnóstwo żab! Gdzież uleciał ten straszliwy rechot? Słysząc tylko muzykę... Skrzypek powoli zmierzał ku Bramie Chełmińskiej, a dokuczliwe płazy posuwały się za nim niczym w tanecznym korowodzie. Już go nie widać... Dźwięczna muzyka uwiodła żaby, które na dobre zniknęły z miasta. Czy trzeba dodawać, że potem odbyło się huczne wesele Hildy i Iwa, na które przybyli wszyscy torunianie i wieśniacy z okolicy? ♦



DLACZEGO W HERBIE TUCHOLI ZNAJDUJE SIĘ ŚWIĘTA MAŁGORZATA?

W religii chrześcijańskiej mamy osiem świętych o imieniu Małgorzata. Ta, o której będzie mowa w naszej legendzie, to św. Małgorzata Antiocheńska. Żyła ona w czasach, gdy chrześcijanie byli prześladowani przez okrutnego cesarza Dioklecjana. Nie chcąc wyrzec się wiary, została ścięta i wkrótce uznano ją za świętą. To właśnie ona uratowała Tucholę przed wrogiem... W jaki sposób?

Działo się to tak dawno temu, że nie wiemy, skąd przybyły owe wojska, które pewnego wczesnojesiennego dnia obległy tucholski gród. Wiemy natomiast, że dzielni tucholanie z wielkim zapałem przystąpili do jego obrony. Widzieli, stojąc na wałach, jak napastnicy ze świeżo ściętych drzew budują maszyny oblężnicze. Byli jednak pewni, że nie zniszczą one – zbudowanych z drewnianych kłoców wypełnionych ziemią – wałów.

– Nie dadzą nam rady – mówił dowódca obrońców Brzyk. – Będą się starali dostać do nas po drabinach, a wtedy „poczestujemy” ich roztopioną smołą.

– Wyreżymy piekło! – skomentował słowa dowódcy jeden z obrońców, a inni odpowiedzieli śmiechem.

– A jak nas podkopią? – głos Jędrzeja zdradzał zaniepokojenie.

– Nie mają szans – uspokoił go Brzyk. – Wały są zbyt grube.



– A czy wystarczy nam mieczy, tasaków, włóczy, strzał? – pytali jeden przez drugiego.
– Jeśli wrogowie nie wędrują się do grodu, tasaki i miecze nie będą potrzebne. –
Na czole Brzyka pojawiła się podłużna zmarszczka. – Dużo zależy od tego, jak długo będą nas nękać. Mamy początek jesieni. Pamiętajmy, że zapasy żywności kiedyś się skończą... Bądźmy jednak dobrej myśli.

Minał tydzień, drugi, trzeci... Gdy zaczynał się drugi miesiąc oblężenia, jesień szumiała swoimi złocistymi liśćmi, a obrońcom zdawało się, że z tego szelestu dociera do nich jakiś niewieści głos powtarzający: „trwajcie, trwajcie”. I znowu mijały tygodnie, jesień spochmurniała, straciła urodę, a jej ogołocone gałęzie straszły swoją brzydota. Kończył się zapas strzał, wydzielone porcje żywnościowe stawały się coraz skromniejsze, wielu dzielnych obrońców padło czy to z wyczerpania, czy rażeni strzałą wroga. Coraz mniej było tych, którzy mogli ich na wałach zastąpić. Już nie pytano dowódcy Brzyka o szanse na obronę grodu. Spoglądano na jego posępne oblicze, w pozbawione blasku oczy i rozumiano, że oto nieuchronnie zbliża się dzień kapitulacji.

Była połowa listopada. Kryjące się za lasem słońce pozostawiło na niebie jeszcze wstążkę jasności. Niewielka garstka obrońców, skupiwszy się wokół Brzyka, milczała ponuro. W końcu któryś z nich odezwał się cichym głosem:

- Żeby choć żony nasze i dziecięta najmilsze można było uratować...
- Spójrzcie... co to? – Te słowa Brzyka wyrażały najwyższe zdumienie.

Wszyscy patrzyli w tę samą stronę, gdzie znikający za lasem blask zachodzącego słońca zaczął nagle formować się w jakąś postać kobiecą... Miała ona na sobie srebrną suknię, na głowie koronę, w prawej dłoni trzymała gołębia, w lewej krzyż.

– Toż to święta Małgorzata – wyszeptał Jędrzej. I wtedy wszyscy usłyszeli powracający jakby echem niebiański głos:

– Otuchy nie traćcie! Ducha nie ǳacie! Jako Pan Jezus każe – miłujcie swoich nieprzyjaciół. Gdy ktoś ciska w was kamieniem, wy w niego chlebem. Zwyciężycie, ale nie bronią. Z resztki mąki, jaka pozostała na dnie waszych skrzyń, wypieczcie chleb i wyrzucie za mury miasta. – Jeszcze uśmiechnęła się i już jej nie było.

- Miałem dziwny sen – powiedział Krzych, przecierając oczy. – Śniła mi się...
- Święta Małgorzata – dopowiedział Bartek.

I już wszyscy wiedzieli, że to zdarzyło się na jawie i że chociaż jest zimny, listopadowy wieczór, ich serca ogrzała właśnie tak długo w nich nieobecna otucha. Nastął

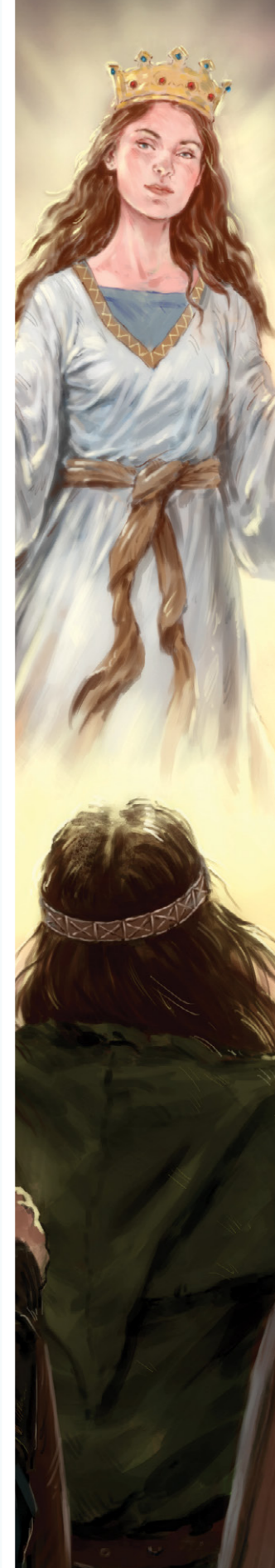
ranek. Oblegający tucholski gród napastnicy szykowali się właśnie do ostatecznego natarcia. Ich dowódca wydał już odpowiednie rozkazy.

– Zaraz rozgnieciemy tę pehłę! – zawołał, a odpowiedział mu wielogłosowy, szydery śmiech.

Lecz co to? Zamiast gradu kamieni i strzał sypnęły się na napastników... nie do wiary – jeszcze ciepłe bochenki chleba. I jakie smaczne! Dowódca wbił swoje wielkie zęby w chrupiącą skórę.

– Ale, ale... skoro oni rzucają w nas chlebem, muszą mieć go pod dostatkiem. Co to oznacza? Że mogą się bronić jeszcze przez całą zimę! A my? My tu możemy tylko marznąć, a nawet zamarznąć. A ja tak tęsknię do mojego syneczka... Zwijamy oblężenie! – Głos dowódcy brzmiał kategorięcznie, ale wszyscy jego żołnierze przyjęli wiadomość z ulgą. Wykonując rozkaz wodza, chrupali z przyjemnością smaczne chlebki, myśląc przy tym, czy po powrocie do kraju ich żony też im takie upieką.

Tak to fortel, doradzony przez świętą Małgorzatę, okazał się skuteczny. Nic więc dziwnego, że wdzięczni tucholanie umieścili jej wizerunek w herbie miasta. ♦





WAGANIEC

JAK DZIEDZIC WAGANIECKI NARAZIŁ SIĘ PLEBANOWI W ZBRACHLINIE

Z Wagańca do Zbrachlina jest „żabi skok”, a w drugą stronę, jak mówiono – jeszcze bliżej. Przejście z jednej wsi do drugiej to niecałe pół godziny marszu. Ludzie, towary, usługi – ileż rzeczy jest wspólnych przy tak bliskim sąsiedztwie!

Zbrachlin, którego korzenie sięgają XII wieku, zawsze był trochę jak ten starszy brat. Mógł pochwalić się parafią z tradycjami, a umiejętne wykorzystanie bliskości Wisły zapewniało mu dostęp do szlaków wodnych i co za tym idzie pomyślność. Waganiec – młodszy, ale niekoniecznie był mniej roztropny. Już w XV wieku sprawnie funkcjonował tam folwark Waganieckich.

I jak to w bliskiej zżyłości bywa, raz układało się lepiej, kiedy indziej – gorzej. Kochano się i kłócono na przemian. Mijały lata. Waśnie jednak nigdy nie przysłaniały obopólnych korzyści, aż do czasu...

Bartłomiej go zwano. Był dziedzicem Wagańca (tak kiedyś określano Waganiec). Tylko wrócił z nauk za granicą, od razu dał poznać swoje liczne talenty.

– Jaki on zaradny, oszczędny i pracowity! – chwalono.

Faktycznie łeb miał nie od parady. Wykupił okoliczne ziemie. Dobrze je zorganizował i sprawnie zarządzał. Nie minęło wiele czasu, gdy zauważono, że jakiś inny wrócił niż



pojechał. Z początku cicho, półszepem, potem coraz śmiej ludzie na języki go wzięli. Ekonom sekretarza raz zagadnął:

– Wiedzę on z tej zagranicy przywiózł, że ho, ho! Ekonomię najnowszą wprowadził i innowacji tyle! Jak za granicą mamy, nie?

– Ale zagranica mi ładna! – odburknął tamten. – A nie zauważył pan, że dziecko zachowuje się jakoś dziwnie? Do kościoła w niedzielę nie chodzi, przed figurą Najświętszej Pani nie przystaje, a obrazka świętego w całych dobrach próżno szukać. Ładną zagranicę on nam tu przywiózł! Here-tyk! Zbałamucił nas wszystkich gotowy – to kwestia czasu, sam pan zobaczy... panie ekonomie.

– Może i wiarę nową wyznaje, ale uczciwy jest. Krzywdy nikomu nie robi. Wyzysku w folwarku nie ma. Zawsze sprawiedliwie i na czas się z każdym rozlicza – obstawał przy swoim ekonom.

I było wielu takich, którzy ekonoma popierali, ale równie wielu sekretarzowi rację przyznawało. Faktem jest, że w XVI wieku kalwinizm stawał się coraz popularniejszy wśród polskiej szlachty. I o ile pod szlacheckim patronatem powstawały szkoły, zbory i drukarnie – działo się to wszystko w miastach. Ludność wiejska napływającego protestantyzmu nie rozumiała, a wręcz obawiała się go.

Lata mijały i oba wyznania żyły we względnej zgodzie. Bartłomiej Waganiec wznosił dwór i czekał się syna. Filip dał mu na imię. Wszędzie go było pełno. To na folwarku biegał, to zwierzęta dokarmił, to u służby przesiadywał. Wszyscy go uwielbiali. O, jak kochał Bartłomiej tego chłopaka! Filip miał już jedenaście lat. Pewnego dnia obudził się bardzo słaby i przyszedł do matki:

– Mamo, bardzo boli mnie brzuch, głowa i jest mi słabo.

– Połóż się, a ja zaparzę ci herbatę – poradziła kobieta.

Gdy domowe sposoby nie pomogły, wezwano lekarza. Krwi kazał upuścić i odpoczywać. Ale dni mijały, a małemu Filipowi nic lepiej nie było. Leżał tak już dwa tygodnie, coraz słabszy, coraz mizerniejszy.

– Synku, będzie dobrze, zobaczysz – obiecywał mu Bartłomiej, samemu coraz bardziej wątpiąc w te słowa.

Wieczorem wydawało się, że jest lepiej.

– Kocham cię tatku, kocham cię matulu – powiedział z lekkim uśmiechem Filip.

Kiedy rankiem o świcie ojciec przyszedł dojrzeć syna, ujrzał, jak ten leży martwy. Gdy poranną ciszę rozdarł głośny krzyk:

– Nieee!!! Tyko nie to!!! – Cały folwark wiedział, co się stało. Nadszedł dzień, którego wszyscy się obawiali. Ogromna to była tragedia, ale największy problem miał dopiero nastąpić.

– Gdzież pochowamy nasze najdroższe dziecko? – pytał Bartłomiej żonę. – Ewangelickiego cmentarza nigdzie w okolicy nie ma.

– Może w Zbrachlinie – zaproponowała. – Tam jego przodkowie leżą. Niech i on wśród nich spocznie. To katolicki cmentarz, więc rozmów się z proboszczem, poproś o zgodę.

– O, nie! Co to, to nie! – wykrzyknął. – Tęgo klechy nigdy o nic prosić nie zamierzam. Jak tylko mnie widzi, nawracać się każe. Ludziom we wsi opowiada, że jedno tylko wyznanie jest właściwe, a budowę szkoły protestanckiej od kilkunastu lat blokuje.

Uderzył pięścią w stół i wyrzekł stanowczo:

– Moje dziecko – zrobię, co uważam!

I uczynił, jak zapowiedział. Dziecko na zbrachlińskim cmentarzu bez zgody proboszcza pochował. Na okoliczność pogrzebu, z oddalonej o 20 kilometrów Kościelnej Wsi sprowadził pastora, aby ten wygłosił mowę.

Proboszcz spokojnie patrzeć na to nie mógł. Ludziom począł rozgłaszać:

– Dopóki swoich spraw każdy pilnował i jeden drugiemu w drogę nie wchodził, dopóty gotów byłem milczeniem pominąć bezbożne zachowania Bartłomieja Wagańca. Ale dłużej cicho siedzieć nie będę! Na moją ziemię wszedł, na katolicki cmentarz! Bez pytania, bez zgody! I jeszcze kalwińskiego pastora sobie sprowadził. Do wiary żadnego szacunku nie ma! Ludzie! Jak tak dalej będzie, gotów nas wszystkich przechrześć, a naszą świątynię na zbór przerobić. Kres temu trzeba położyć!

Bartłomiej dłużny mu nie pozostawał, a że ludzi oddanych sobie miał dużo, coraz bardziej zażarty spór wyznaniowy się toczył: sąsiad przeciw sąsiadowi. Między katolikami a protestantami doszło do zamieszek. Tłum wdarł się do kościoła. Niczym wściekła bestia niszczył wszystko na swojej drodze: okna, ławki, obrazy, a nawet ołtarz i kaplicę. Pleban, próbujący bronić dobytku, został zdeptany. W ferworze walki pleban pożałował dziedzica i wykrztusił ostatnimi siłami:

– Wybaczam ci wszystkie zniewagi! Wybacz i mnie! Żyj od tej pory dobrze! – I wyzionął ducha.

Ludzie zaniepokojeni, że zginął człowiek, uspokoili się. Pochowano proboszcza w Zbrachlinie, zaraz obok małego Filipa. Z czasem też i w Zbrachlinie, i w Wagańcu ludzie zaczęli się bardziej szanować i żyć w zgodzie. I tak jest do dzisiaj. ♦



WĄBRZEŹNO

O SKARBACH Z ZAMKOWEGO JEZIORA W WĄBRZEŹNIE

Podobno na dnie Zamkowego Jeziora w Wąbrzeźnie spoczywają wielkie skarby: szczerolote pierścionki z drogocennymi kamieniami, kolczyki przepięknie grawerowane, kolce, bransoletki, łańcuszki. Ponadto misy, puchary, misternie zdobione posążki, kubki z wymyślną ornamentyką i wiele innych cennych przedmiotów. Ktoś kiedyś powiedział, że gdyby ustawiono je obok siebie, można by nimi opasać całą Ziemię. Ktoś inny dodał, że nawet dwa razy, ale tu chyba mocno przesadził. Skąd się te skarby wzięły?

Mieszkała kiedyś w Wąbrzeźnie niezwykle bogata panna. Roilo się wokół niej od zalotników. Jednak żaden z nich nie zwracał uwagi na przymioty jej ducha i umysłu, a miała ich przecież niemało. Pomażała potrzebującym, pocieszała cierpiących, kochała dzieci i zwierzęta. Założyła ochronkę dla sierot, którą wyposażyła w łóżeczka, lekarstwa, zabawki i zapewniała maluchom najlepszą opiekę. Udzielała schronienia zarówno zbłąkanym pieskom, jak i tym, które ludzie jej podrzucali.

– Za głośno szczeka! Za dużo żre! Za dużo choruje! Linijeje i brudzi mieszkanie!



To były powody, dla których okrutni ludzie porzucali swoich najwierniejszych przyjaciół. A panna Wanda miała serce dla wszystkich. Posiadała też rozległe zainteresowania, zwłaszcza naukami humanistycznymi, co było wówczas wśród białogłów rzadkością. Adorowało ją wielu mężczyzn, jednak Wanda nie miała złudzeń co do istoty ich umizgów. Wszyscy udawali tylko zakochanych. Wyznawali jej miłość wyuczonymi formułkami, ale ich oczy lśniły jedynie żądzą posiadania jej majątku. Byli i tacy, którzy rzekome uczucia nawet wyśpiewywali, ot choćby ten Zygfryd, który kilka dni temu uraczył ją swoim wyznaniem takimi słowy:

„Wando, Wando, oj, Wandeczko,
kocham ciebie ma dziewczeczko.
Damy sobie to, co mamy
i się szczerze pokochamy”.

A potem dodał:

– Ja już oczywiście ciebie kocham, najdroższa.

A Wanda pomyślała: „Nie dość, że kłamie, to jeszcze fałszuje”. Chociaż zawsze starała się swych zalotników grzecznie traktować, tym razem ze złością odśpiewała:

„Nieszczery Zygfrydzie – fałsz ci bije z oczu,
twe rymy są kiepskie, brak ci przy tym głosu!
Mówisz, że kochasz mnie mocno i szczerze,
a ja twoim słowom zupełnie nie wierzę.
Me wielkie pieniądze tylko nęcą ciebie,
skończ więc już z tą farsą i wracaj do siebie!”.

Zygfryd najpierw zaniemówił, a potem wybuchnął:

– A ja się tak starałem! Odbyłem do ciebie długą drogę, dwa razy zatrzymałem się na popasie, zapłaciłem pocie za napisanie rymów i co? Nie opłaciło się, tylko poniosłem same straty!

– Precz! – krzyknęła Wanda.

Zygfryd zaskoczony jej gwałtowną reakcją najpierw szeroko otworzył usta, które uformowały się w kółeczko, a potem wziął nogi za pas i już go nie było. Jeszcze z ulicy dobiegło do niej jego żalosne: „same straty, same straty...”

Wanda snuła się po pięknych pokojach swojego olbrzymiego domu. Smutniała i dotykając kosztownych przedmiotów, powtarzała:

– Cóż mi po tym wszystkim? Pewnie zawsze będę żyła w dostatku, ale to nie daje mi szczęścia. Tak bardzo pragnę kogoś kochać i być naprawdę kochaną...

Mijały kolejne miesiące. Któregoś dnia wybrała się Wanda na spacer. Pierwsze poduchy wiosennego wiatru nastroiły ją bardzo melancholijnie. Długo szła przed siebie, rozmyślając o upływającym samotnie życiu. Nie zauważyła, że słońce zaczęło kryć się za drzewami i zrobiło się zimno.

– Gdzie ja jestem? – zaniepokoiła się. Czuła, że drży i dzieje się z nią coś złego. Z coraz większym trudem stawiała kroki. – Czy ten las nigdy się nie skończy? Ooo, chyba widzę w oddali jezioro... łódkę... zdaje się, że ktoś w niej siedzi?

Zobaczyła jeszcze dużą rybę, złowioną przez rybaka, a potem ogarnęła ją ciemność. Gdy się ocknęła, był jasny dzień. Posłanie, na którym leżała, w niczym nie przypominało jej ogromnego, wysokiego łoża. Patrzyły na nią błękitne, śmiejące się oczy młodego mężczyzny. Zaczęła się zastanawiać: „Skąd ja go znam? Aaa, to ten rybak znad jeziora”.

– Nareszcie! – Radosny głos młodzieńca dotarł do jej uszu. – Dwa dni na to czekam!

– Na co? – spytała zdumiona.

– Na to, żeby panienka się obudziła!

– Niemożliwe! – Wsparła się na łokciach, gdy jednak usiłowała wstać, okazało się, że jest na to zbyt słaba.

– Niech się panienka nie martwi, ja ją uzdrowię, a potem do domu odprowadzę.

– Nie mów do mnie panienka. Mam na imię Wanda.

– Kiedy ja nie śmiem tak mówić. Panienka chyba z jakiegoś znacznego rodu, bo suknia taka strojna...

– Jeszcze raz usłyszę „panienko”, to nie odezwę się do ciebie ani jednym słowem.

A suknię przysłała mi kiedyś bogata daleka krewna. A ciebie jak wołają?

– Janek – odparł młodzieniec.

I Janek pielęgnował Wandę, przyrządzał jedzenie, parzył zioła. Widział, jak powraca do zdrowia i powtarzał z zadowoleniem:

– Mówiła zielarka Czarnuszka, że te białe zioła, rosnące pod lasem, będą najlepsze.

Wieczorami, gdy skończyły się wszystkie prace, Janek siadał na zydelku i opowiadał Wandzie o swoim życiu: o nieżyjących rodzicach, o udanych i nieudanych połowach,

o samotności, która czasami tak doskwierała, że aż wyc się chciało. A Wanda czuła, że narasta w niej coś dotąd nieznanego i nie wiedziała, czy się przed tym wzbraniać, czy serce swe na oścież otworzyć?

– Janku – powiedziała któregoś dnia. – Jutro wracam do domu.

Twarz chłopaka sposepniała.

– Szkoda – wyszeptał.

– Mieszkam w Wąbrzeźnie. Odprowadzisz mnie tam?

– Oczywiście.

Nazajutrz wczesnym rankiem Wanda opuściła miejsce, w którym zaznała tyle szczęścia. Nigdzie nie było jej tak dobrze. Szli w milczeniu równym krokiem. W końcu Janek zaczął:

– Wiesz, Wando... chciałbym ci coś powiedzieć, tylko nie wiem, jak to zrobić? – Znowu zaległa cisza. – Trudno mi ubrać to w słowa...

Tak upłynęła im cała droga. Gdy stanęli wreszcie przed domem Wandy, oszołomiony jego przepychem Janek wyjąkał: – Nic tu po mnie...

– Ale co chciałeś mi powiedzieć? – zapytała dziewczyna.

– Nieważne. To ja już sobie pójdę.

– Nie, zostań, proszę – szepnęła niemal błagalnie Wanda. – Czy chciałeś powiedzieć mi to, co ja tobie? Kocham cię!

– Nie żartuj sobie z biednego rybaka, który miał nieszczęście pokochać bogatą panienkę – odrzekł Janek.

– Moje bogactwo jest moim nieszczęściem. A wiesz, właśnie nadeszła chwila, w której chętnie się od niego uwolnię. Poczekaj! – Wanda szybko wbiegła do domu i wkrótce zaczęła wynosić z niego skrzynie pełne kosztowności.

– Chodź, pomożesz mi! – zawołała do Janka, wychylając się z okna.

Aż cztery razy obracali wozem, aby następnie całą jego zawartość zrzucić z mostu do Zamkowego Jeziora. Gdy z posiadanych przez Wandę skarbów nie zostało ani śladu, uszczęśliwiona dziewczyna zarzuciła ukochanemu ręce na ramiona. A co się potem zdarzyło? Odbyło się wesele, a szczęście Wandy i Janka trwało bardzo długo. ♦



O ZAGINIONYCH DZWONACH ZE WSI WRONIE

Pełne niepokoju było serce Jędrka Pasikonika z Nowej Wsi Królewskiej, kiedy to pewnego listopadowego dnia znalazł się na leśnej drodze wiodącej do Wąbrzeźna. Południe już dawno minęło, ale chłopak wierzył, że przed zapadnięciem zmroku uda mu się dotrzeć do celu. W Wąbrzeźnie mieszkała jego ukochana – jasnowłosa, błękitnooka Zosia. Jędrak jeździł do niej wozem w każdą niedzielę, jednak dzisiaj była środa i wozu potrzebował ojciec – druciarz, który w mieście i okolicy naprawiał garnki i sprzedawał łapki na myszy i szczury.

Ale co sprawiło, że Jędrak postanowił zobaczyć swą ukochaną w środku tygodnia? Sen, dziwny sen... Ostatniej nocy przyśniła mu się Zosia ubrana w białą suknię, stała od niego w znacznej odległości i z tajemniczym wyrazem twarzy wołała:

– Jędrak, Jędrak! Już pora!

Obudził się z sercem pełnym trwogi. „Czy to było pożegnanie?” – myślał zaniepokojony. „Może już pora się rozstać?”

Jędrak terminował u zduna, który kiedyś wyróżniał go spośród innych czeladników, myśląc, że chłopak poślubi jedną z jego siedmiu córek. Kiedy jednak dowiedział się, że ten uderza w koperczaki do jakiejś panny z Wąbrzeźna, zaczął



okazywać mu swoją niechęć, a dzisiaj nie chciał słyszeć o zwolnieniu go szybciej z roboty.

Drogę do Wąbrzeźna Jędrzek prawie przebiegł, powtarzając:

– Sen-mara, Bóg-wiara.

Stanąwszy przed znanymi drzwiami piekarza Antoniego Baryłki, gwałtownie zakolał. Nie czekał długo na ich otwarcie.

– Jędrus! – Perlisty głos Zosi stał się balsamem na jego serce. – Co ty tu robisz? Czy coś się stało?

– Nie – zawołał uradowany. – Tylko ten sen...

Kiedy opowiedział ukochanej o powodach swego niepokoju, ta roześmiała się serdecznie, a po chwili wyznała:

– Ja dzisiaj od samego rana śpiewałam sobie cichutko: „Jędrus, Jędrus już pora na ślub, a ja ci będę wierna aż po grób”.

Kiedy uszczęśliwiony chłopak opuszczał Wąbrzeźno, słońce już dawno zaszło za lasem, a niebo zasnuły ciemne chmury. Będąc już na leśnej drodze, myślał tylko o swojej Zosi. Wspominał jej radość wywołaną wizytą, czule słówka i piosenczkę, która przywołała go do niej.

– Tak, tak, czas pomyśleć o ślubie, o gromadce miłych dzieciak, cudne będzie życie z tą moją Zosią! – wyszeptał rozmarzony.

I w tej chwili usłyszał w górze złowieszcze „kra, kra”.

– Zaraz, zaraz, gdzie ja jestem? – Chłopak nie czuł pod nogami twardego duktu, ale grząską ziemię i słyszał trzask łamanych gałęzi. – Jak ja się tutaj znalazłem?

W Jędrku narastała trwoża, potęgowana przez wronie krakanie. Listopadowy chłód przenikał go do szpiku kości. Krążył między drzewami, nie mając żadnego pomysłu na zmianę sytuacji. Las otoczył go nieprzeniknioną ciemnością. Chłopak był coraz bardziej wyczerpany. Oparł czoło o drzewo i w poczuciu bezradności uderzał nim o sypiącą się korę. I wtedy usłyszał dobiegający z oddali dźwięk dzwonów.

– Dzwony? Tutaj? To niemożliwe! – szeptał udręczony. – Może już umieram i idę ku bramie Świętego Piotra, gdzie witają mnie anielskie dzwony? Tylko, że ja chciałbym po- być jeszcze tutaj, z moją Zosią...

W górze znowu rozległo się krakanie. Jędrzek rozmyślał: „Wciąż te wrony... zaraz, zaraz, niedaleko Wąbrzeźna powinna być wieś Wronie. Babcia Anielcia opowiadała mi

kiedyś o tamtejszych dzwonach. Podobno przez wieki, nie tylko wzywały one wiernych na msze, ale również ostrzegały przed powodzią czy pożarami. Jednak ostatni polski właściciel Wronia – Jan Plemięcki, robiąc karierę ochmistrza na dworze Michała Korybuta Wiśniowieckiego, oddał majątek pod zarząd Niemca Behna, który doprowadził posiadłość niemal do ruiny. Wtedy też w sposób tajemniczy zaginęły dzwony z kościelnej wieży. Wszysey mieszkańcy Wronia ich potem szukali i tak straszliwie rozpaczali, że ludzki lament słyszano w Wąbrzeźnie”.

Jędrak ocknął się z zadumy:

– Ale... ale... ja coraz wyraźniej słyszę ich głos. Co to? Światelko? Widzę jakąś chatę. Jestem uratowany!

Zdumieni właściciele ślicznego, zadbanego domku, mimo późnej pory, serdecznie przyjęli niespodziewanego gościa. Gdy najadł się do syta, przygotowano mu posłanie. Tej nocy przyśnił się Jędrusiowi jego ślub z ukochaną Zosią. Gdy prowadził ją do ołtarza, słyszał głos zaginionych dzwonów życzący nowożeńcom:

– Bądź-cie szczę-śli-wi! ♦



WIĘCBORK

SKĄD SIĘ WZIĘŁA NAZWA WIĘCBORK?

Dawno, dawno temu na wzgórzach nad jeziorem rósł prastary dąb. W jego dziupli żył pewien pustelnik. Studiował on stare księgi i jak powiadali ludzie – posiadał wiedzę tajemną.

Młody rycerz – Mikołaj Zebrzydowski, właściciel okolicznych dóbr, postanowił wybudować nad jeziorem okazały zamek. Kazał drwalom ścinać drzewo. Wtedy z dziupli wygramolił się jego lokator – wiekowy mędrzec – i jał prosić drwali, by zaniechali swych działań. Ci spojrzeli pytająco na Zebrzydowskiego, który zaśmiał się szyderez.

– Czy wiesz, że – zwrócił się do starca – już Bolesław Chrobry kazał ścinać takie drzewa, zwane „dziadami”? Podobno czynisz tu jakieś dziwne praktyki, które z wiarą naszą chrześcijańską nie mają nic wspólnego. Znajdź sobie jakieś godziwe zajęcie. A wy – tu spojrzął na drwali – czyńcie to, co wam nakazałem!

Wtedy starzec popatrzył na rycerza nienawistnym wzrokiem i wypowiedział w nieznanym języku kilka słów. Nie budziło jednak wątpliwości, że były to słowa klątwy.

Zaraz po ścięciu drzewa rozpoczęła się budowa zamku. Ale dziwne się przy tym działy rzeczy; a to ktoś spadał z rusztowania, a to zaprawa się nie kleiła. Znakomici murarze aż się za głowę chwyтали, widząc, jak zmienia się ona w suchy piasek. Niektórzy porzucali robotę, czując, że nad budową ciąży jakaś klątwa, że sprawcą tych wszystkich nieszczęść jest były mieszkaniec ściętego drzewa.



Razu pewnego dowiedział się Zebrzydowski, że w wiosce Bagienko mieszka pewien człowiek, który potrafi zaradzić różnym kłopotom. Wyruszył więc w daleką podróż, by po trzech dniach i trzech nocach dotrzeć wreszcie do celu. Opowiedział człowiekowi o długiej drodze – stąd nazywano go Długobrodym – o swoim zmartwieniu, przytaczając na koniec słowa klątwy, których wprawdzie nie rozumiał, ale dobrze je zapamiętał.

Mędrzec wysłuchawszy z uwagą tej opowieści, zamyślił się głęboko i wreszcie rzekł:
– Jedną tylko widzę na to radę, musisz zasadzić dwa dęby – jeden o wschodzie słońca w dniu przesilenia letniego, drugi o zachodzie w dniu przesilenia zimowego. Jeśli to uczynisz, zamek z pewnością uda ci się zbudować, ale – tu głos mówiącego na krótką chwilę zatrzymał się, a potem Zebrzydowski usłyszał dość niepokojące słowa – w związku z tym, że skrzywdziłeś człowieka, bo pozbawiłeś go domu, potomków twoich spotka to samo.

Myślał o tym pan Mikołaj w drodze powrotnej, jednak dość szybko udało mu się wyprzeć z pamięci tę niemiłą wiadomość, a pozostawił tę radosną.

– A więc będzie bург! – powtarzał kilkakrotnie, zbliżając się do miejsca budowy... Oczami wyobraźni zobaczył wspaniałe zamczysko położone nad pięknym jeziorem.

– A więc będzie bург! – krzyknął na całe gardło, jakby chciał siebie upewnić, że tak musi się stać.

Uczynił wkrótce, jak nakazał mędrzec i teraz budowa postępowała błyskawicznie. Widząc rosnące mury zamku, zacierał ręce i wielokrotnie powtarzał: – A więc będzie burg!

Gdy zamek stanął w pełnej okazałości, zaczęto go, jak i całą okolicę, nazywać Więcborkiem.

Mijały lata, dziesiątki lat, minął wiek z okładem. I oto pewnej nocy rozszalała się straszliwa nawałnica. Wytworzona w jej wyniku olbrzymia dziura w ziemi spowodowała, iż zapadła się w nią południowa ściana zamku. Szalejąca wichura powaliła i dwa dęby, zasadzone niegdyś przez pana Mikołaja, a inne drzewa łamiące się jak zapałki, zdruzgotały ścianę północną i zachodnią. Przez chwilę trwała jeszcze ściana wschodnia, ale i ta, z pewnym zdawać by się mogło namysłem, osunęła się do jeziora.

Na zamkowym gruzowisku wyrósł wkrótce bluszcz, o którym opowiadano rozmaite rzeczy – a że to trucizna podsunięta przez mściwego starca, owego pustelnika mieszkającego niegdyś w dębie, a że to siedlisko jakichś straszylek.



Postanowiono ściąć podejrzaną roślinę. Zebrali się wszyscy mieszkańcy Więcborka, a gdy już usunięto ostatni bluszcz i rzucono na wysoki stos, podpalono go. Wszystkim zdawało się, że między długimi językami ognia a skłębioną roślinnością toczy się jakaś walka. Wreszcie ze stosu został tylko popiół, który nagle ku powszechnemu zdumieniu wznosił się do góry i pognał w stronę wzgórza, gdzie osiadłszy, uformował zamek z otwartą bramą, zakończoną trzema koronami. To niezwykle zjawisko dało początek herbowi miasta. ♦



O KOŚCIELE I STRAŻNIKU GRANICZNYM

Niegdyś Zakrzewo było gniazdem rodzowym Zakrzewskich, którzy przeszli na protestantyzm i dawny kościół sprzedali – ot tak, po prostu. W XVIII wieku sprowadzili się tu Anna i Stanisław Sokołowscy. Dobrzy to byli ludzie. Na sercu im leżało, żeby miejsce, gdzie mają gospodarzyć, bez świątyni nie pozostało.

– Może damy radę choć mały kościółek tu postawić? – zastanawiać się zaczęli. – My pomrzemy, a świątynia by została.

W końcu Sokołowskiemu udało się zrealizować swój plan i ufundować świątynię. Potem wzniesli nieduży, parterowy klasztor. Sprowadzili do niego z Warszawy karmelitów bosych. Aby mnisi mieli się z czego utrzymać, dostali kawał ziemi ornej, wiatrak i sąsiedni folwark – Gęsin. Zakrzewski klasztor był dość biedny.

Od czasu rozbiorów w Zakrzewie zaczęła panować napięta atmosfera. Każdego dnia i każdej nocy udaremniało nielegalne przekraczanie granicy i kontrabandę... A kiedy ukaz carski usankcjonował na ziemiach polskich rosyjską straż graniczną, świadomość nowych obwodów jeszcze bardziej dotkliwie zaczęła się odbijać na życiu mieszkańców.

Strażnik graniczny w danej miejscowości tylko pół roku mógł służbę pełnić. Potem go na inny posterunek wysyłano. Miało to zapobiec korupcji i spoufalaniu się z miejscowymi. Ale wiecie, jak to jest – prawo prawem, a człowiek człowiekiem. Pewnego



dnia do Zakrzewa trafił Andriej. Jako chłop pańszczyźniany, został zmobilizowany do odbycia służby wojskowej. Kiedy po skończonej warcie błakał się między dworem, wsią a zabudowaniami klasztornymi, obserwował go ojciec Walerian od Aniołów. A że spacer te prawie codziennie miały miejsce, zakonnik próbował nawiązać z nim rozmowę.

– Zdravstvuyte! Widzę, że pan często tędy przechodzi. Może usiądzie pan na chwilę ze mną na ławce? – pytał zakonnik. Tamten przeważnie jednak peszył się, odpowiadał:

– Spasibo. Może innym razem. – I szybkim krokiem odchodził w stronę domu.

Pewnego wieczoru widać było jednak, że coś go trapi. Usiadł na ławce obok zakonnika. Trwali tak pewien czas w milczeniu, w końcu Andriej rozpoczął:

– Religioznyy ty jesteś, ja prawosławny. Służba moja trudna. Za miesiąc placówkę mam zmieniać, a kobietę poznałem, tutejszą. Bożena ma na imię.

– A miłuje cię ona? – dopytuje ojciec.

– Ano, miłuje, ale nawet jakobym się oświadczył, to ona katoliczka a ja prawosławny. Powiedziała, że prędzej się dwie niedziele do kupy zejdą, niż ona wiarę zmieni.

– Ano to ty zmień. Przygotuję cię do chrztu, jeśli taką chęć wyrazisz – zaproponował mnich.

– Ech, ze służby by mnie wyrzucili, a jeszcze i zabić gotowi albo na Sybir wysłać. Jaką ja przyszłość rodzinie zapewnię? A nawet jakbym Bożenę na zmianę wiary namówił – co za życie ma żona strażnika? Heee? Co pół roku przeprowadzka w nowe miejsce, żadnych korzeni, żadnych bliskich. Do niczego to! – użalał się Andriej.

– Coś byśmy poradzili. Zastanów się nad moją propozycją. Mówię ci, coś wymyślimy – powiedział dobrotliwy ojciec Walerian, po czym odszedł do furty.

W nocy spać nie mógł, główkować zaczął: „Jak pomóc biedakowi? Dobry chłopina z niego, co mógł poradzić na to, że wychowano go w duchu carskiej religii?”. Zasnął w końcu, a wychodząc rano za mury, spostrzegł, że Andriej chyba długie godziny jeszcze rozmyślał nad rozwiązaniem problemu. Spał bowiem na ławce tam, gdzie wczoraj siedzieli.

– Andriej, Andriej, vstavay! Obudź się! – Szturchnął go mnich.

– Coo? Która godzina! – Podskoczył i w susach pognął na posterunek straży.

Dwa długie dni minęły, jak ojciec Walerian podekscytowany wybiegł przez furkę. Zatrzymał się przed figurą, gdzie uczynił znak krzyża, i wyszeptał:

– Panie Boże, wybacz mnie grzesznemu.



ZŁOTE LATA W HISTORII ZBÓJNA

Po czym udał się na posterunek straży.

– Chleb świeży przynoszę. Posmakujcie, pierwsza klasa! Mąka z naszego młyna! – tłumaczył oficerowi powód wizyty. – Pan Bóg dzielić się kazał – ciągnie ojciec Walerian. – Niech Andriej przyjdzie o szóstej, jutro rano, to dam dla wszystkich na niedzielę.

Gdy tylko Andriej zjawił się w klasztorze, począł mu Walerian swój plan tłumaczyć:

– Slushay Andriej, to jedyna szansa jest, zmarnować jej nie możemy. Jednemu z naszych braci wypadek nieszczęśliwy się zdarzył. Przez las wracał po nocy. Wilki go napadły. Ledwie żyw uszedł, a pokiereszowany strasznie! Leży tak od wczoraj – tu Walerian wznosił wzrok ku niebu – błogosław mu Boże! Lepiej z nim już nie będzie. Doktor mówi, że jeden, góra dwa dni mu zostały. Świętobliwy to brat, jakem mu zamiar mój przedstawił, na znak, że się zgadza, ścisnął mi rękę.

A plan był taki...

– Gdy brat Julian od Najświętszej Maryi Panny dni swoich dopełni, dam ci znak. Szybko w las wyruszyć musisz, koniecznie w mundurze. Tam niby wilki cię napadną, a my jego ciało w twój mundur przebierzemy. Twarz pokiereszowana, więc nie rozpoznają i pomyślą, że to ty. Tymczasem ty na jakiś czas ukryjesz się u nas. Niedługo strażnicy nowi przyjdą, sprawa ucichnie i nikt cię nie rozpozna. Wtedy z Bożoną gospodarzyć spokojnie będziecie.

– No, nie wiem... – zawahał się Andriej. – Ale ufam ci bracie.

Dwa dni nie minęły. W środku nocy Andriej głośnie pukanie słyszy. Otwiera, a tu posłaniec: – Za godzinę bądź w lesie – nakazał. I odszedł.

Na skraju zarośli czekał już znajomy zakonnik:

– Chodź bystro – wołał.

I wypełnili to, co zaplanowali. Walerian poszedł oficera granicznego o wypadku zawiadomić. Andriej schronił się natomiast w klasztorze. Z wdzięczności w wielu pracach zakonnikom pomagał i zasady wiary katolickiej poznał. Niebawem odbył się jego chrzest, a potem ślub z Bożoną. Jak wieś głosi, mieszkali w Zakrzewie jeszcze długo i aż do kasaty zakonu karmelitom pomagali. ♦

Wydaje się wam pewnie, że w Zbójnie to zbóje jacyś mieszkali i stąd wzięła się nazwa. Ech, nie, nie – nie z tego. Zbójów tu nie było i nie ma. Do dziś sami porządnymi ludźmi w Zbójnie mieszkają. Ale wszystko po kolei.

Kto dziś jeszcze pamięta, jak się kiedyś zboże młóciło, zanim maszyny zaczęły wykonywać za człowieka część tej uciążliwej pracy? Hmm? No właśnie... Cep trzymano za dzierzak, a drugą jego częścią – bijakiem, uderzało się w zboża rozłożone na klepisku lub innym twardym płaskim podłożu. Czynność ta mogła przypominać bicie czy zbijanie i dlatego na miejsce w folwarku, gdzie wykonywano tę pracę, mówiono „zbójno”. Dowodzi to, że w Zbójnie zboże zawsze było, a jak było zboże, to były i bogactwo, i dostatek. Opowiadają o tym już dalsze losy miejscowości.

Niegdys sława Zbójna sięgała daleko. Było jednym z trzech najlepiej zarządzanych dóbr ziemskich w Królestwie Polskim. Posiadało najwyższy stopień ówczesnego rozwoju. Podobnie jak za każdym sukcesem i za tym stał człowiek, albo raczej ludzie, niepospolici ludzie. A wszystko rozpoczęło się od tragedii...

– Ojciec zmarł – oznajmił wychodzący z pokoju lekarz.

Antoni Ignacy Sumiński stał się właścicielem Zbójna, a pamiętajmy, że poza nim miał jeszcze dziewięć innych wsi. W jego rękach znalazł się więc jeden z największych majątków ziemi dobrzyńskiej. Był początek XIX wieku.



– To dobry gospodarz – mówiono. Do tego jeszcze zręczny urzędnik z solidnym wykształceniem, znający aż pięć języków obcych. Nic dziwnego, że w gąszczu biurokracyjnych zawłości poruszał się jak ryba w wodzie. W swojej karierze piastował wiele funkcji urzędniczych, ale najważniejszą zdaje się dyrektora poczty.

– Niebywałe! – powtarzano. – W naszym Zbójnie otworzył stację pocztową!

A w pierwszej połowie XIX wieku nie było to ani łatwe, ani powszechne. Przez Zbójno przechodziła korespondencja i zatrzymywali się pasażerowie, podróżujący razem z dylżanssem pocztowym. Już tylko dzięki temu Zbójno znano daleko poza najbliższą okolicą.

Pewnego dnia w drzwiach jego gabinetu stanął młody, osiemnastoletni jegomość, który tak powiada:

– Jestem Wilhelm Fryderyk Barthel. Mam być pana sekretarzem.

Tamtego dnia nie mógł jeszcze wiedzieć, że niebawem staną się oddanymi przyjaciółmi, ich dzieci wychowywać się będą jak bracia, a dla Barthelów przewidziane zostanie mieszkanie w nowym pałacu Sumińskiego, bezpośrednio przy pokojach właścicieli.

Niebawem Antoni Sumiński na własne życzenie zrezygnował z dalszej kariery urzędniczej. Cieszył się, że od teraz sam będzie mógł doglądać Zbójna... no może nie całkiem sam. Tym razem on stanął w drzwiach swego asystenta z pytaniem:

– Panie Wilhelmie, ma pan potencjał na wszechstronnego organizatora, a ja właśnie kogoś takiego potrzebuję, ale nie na poczcie, lecz u mnie, w Zbójnie. Potrzebuję sekretarza generalnego. Reasumując, chciałem zapytać, czy nie przeniósłby się pan razem ze mną na wieś, do Zbójna?

– Z ogromną przyjemnością – zgodził się Barthel.

Wzorowo prowadzone gospodarstwo w Zbójnie było wizytówką. Diedziców okolicznych ziem zatrudniano na praktyki, w czasie których uczyli się nowoczesnego sposobu gospodarowania, który potem mogli zastosować u siebie. Ci nie raz w głowę zachodzili:

– Ile tu nowości!

Sama nauka płodozmianu, użyźniania czy wyznaczania granic pól to było już dużo. A innowacje Zbójna wcale się na tym nie kończyły: była też pełna rachunkowość, książeczki wypłat dla oficjalistów i służby, kilkaset zwierząt gospodarskich i kilka tysięcy owiec. Jednak totalnym fenomenem było coś innego. W Królestwie Polskim kontrakty zawierano na jeden rok. Wyobraźcie sobie, że w Zbójnie można było spodziewać się

umowy na lat dziesięć i więcej. Nic dziwnego, że wiele osób sprawowało swoje obowiązki nawet kilkadziesiąt lat.

Sam Sumiński zadawała się mieszkaniem w starym, drewnianym dworze. Zapytany odpowiadał:

– Owszem, myślę o budowie pałacu, ale planuję zainwestować w to tylko dodatkowe środki. Nie może jednak odbyć się to kosztem folwarku.

I zwlekał z budową tak długo, że w trakcie wznoszenia pałacu zmarł. Nie doczekał mieszkania drzwi w drzwi z najlepszym przyjacielem. Nie doczekał też wspaniałego ogrodu. Ale może dobrze się stało. Ominęły go bowiem również tragedie, które miały wydarzyć się niebawem.

Artur, który przejął obowiązki ojca, bez zbytnich problemów dawał sobie radę z nadzorem nad rodzinnymi dobrami. I pewnie życie w Zbójnie wiodłoby się podobnym jak wcześniej rytmem, gdyby w Wielki Czwartek o świcie nie rozległo się głośne wołanie: „Pali się! Pali się!”.

Kto żyw, ruszył do wiader. Słoma, spichlerz ze zbożem i trzy wielkie stodoły spłonęły błyskawicznie. W ciągu zaledwie dwóch godzin kilkutyśne stado zwierząt zostało bez pożywienia, a ogromny folwark bez urządzeń i narzędzi rolniczych.

– Zeszłego roku taki nieurodzaj był, że pasz nigdzie nie można kupić – zachodził w głowę Artur. – Jak ja zwierzęta wyżywię?

Gdy szukał rozwiązania, przychodzić zaczęli okolicznie gospodarze, sąsiedzi – sami z siebie, bezinteresownie.

– We wcześniej wy nam pomagaliście, to tera my wam paniczu – powiadali. – Zbożem i paszą się podzielimy.

Tylko dzięki ludzkiej dobroci Zbójno przetrwało do pierwszych plonów. Przyczyn pożaru nie ustalono. Artur zdolny był.

– Nie poddam się łatwo – mówił.

Pomału wydobywał folwark z kłopotów. I być może za kilka lat wróciłaby dawna prosperita, gdyby... fala nieszczęść znów nie uderzyła z wezbraną siłą.

W niecały rok po pożarze nagle umiera Wilhelm Fryderyk Barthel. Ale nawet jego śmierć nie jest najgorszym, co mogło przydarzyć się młodemu właścicielowi. Wydarzenia roku 1863, tym razem polityczne, uniemożliwiły jakikolwiek dalszy rozwój Zbójna. Wychowany w klimacie patriotyzmu Artur nie zastanawiał się długo i rzekł:

– Trzeba o wolność walczyć. Bez niej ani nas nie będzie, ani folwarku.

I poszedł do powstania styczniowego. Chcąc uchronić majątek przed konfiskatą, sprzedał go. Po upadku powstania majątki ziemskie Artura Sumińskiego skonfiskowały władze carskie, a dobra Zbójna znalazły się na licytacji.

Lawina nieszczęść, która spadła na Sumińskich, zakończyła okres złotych lat Zbójna – czas ich największej prosperity i rozwoju. Pałac zamieniono w internat, potem w szpital, szkołę i mieszkania gminne. Świetności, jaką przeżywał w czasach Antoniego Sumińskiego, już się nie doczekał. Pamięć jednak o tym człowieku żyje nadal i nadal żyją w Zbójnie ludzie o wszechstronnych talentach i ogromnym potencjale. Kto wie, jakie projekty ujrzą jeszcze światło dzienne? ♦





MAŁGORZATA JAROCIŃSKA | Historyczka z pasją i wyborna gawędziarka. W swoim dorobku ma ponad 350 autorskich prezentacji gawęd historycznych i literackich na terenie całej Polski. Opowiada między innymi o polskiej obyczajowości, popularnych Polakach, a także o dużych i małych miejscowościach. Znana z cyklu „Legends Pomorza i Kujaw”, emitowanego w radiu PiK. Jest filarem Akademii Patriotycznej „GAWĘDA”. W 2016 roku odznaczona została medalem „Pro Patria” ustanowionym zarządzeniem kierownika Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Legends na stronach: 6,15,19, 23, 27, 40, 63, 66, 75, 84, 92, 98, 107, 111, 115, 119, 132, 146, 153, 161, 165, 171, 174, 178, 182, 190, 195, 199.



KRYSTYNA TRUSZCZYŃSKA | Dziennikarka i przewodniczka wycieczek do krajów języków romańskich. Na co dzień pracuje w Miejskim Centrum Kultury w Bydgoszczy. Zafascynowana zgłębianiem różnorodności świata, lokalnych tajemnic i gawędzeniem o nich. Uważa, że dobre opowieści działają na wyobraźnię i emocje, wywołują łzy lub śmiech, zapadają w pamięć – pokazują rzeczy w nowy, nieznan sposób. Autorka tekstów do publikacji o Polsce, albumów miejskich, powiatowych oraz kulinarnych.

Legends na stronach: 10, 32, 36, 43, 48, 53, 58, 70, 79, 88, 102, 123, 128, 137, 141, 149, 157, 186, 203, 207.



TOMASZ ŚCIOLNY | Artysta ilustrator, okazjonalnie zajmujący się również grafiką koncepcyjną. Inspiracje czerpie głównie z literatury fantastycznej i komiksów. Absolwent Państwowego Liceum Plastycznego w Zamościu, stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w 2001 roku, studiował grafikę na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Od kilkunastu lat wykorzystuje media cyfrowe, tworząc ilustracje do gier fabularnych, książek, gier karcianych i planszowych.



Bibliografia:

• Paweł Becker, *Wąbrzeźno i Syke* • Rafał Budny, *Legends Strzelna i okolic* • Franciszek Fernikowski, *Piernikowe miasto* • Piotr Grądzawski, *Legends brodnickie* • Jerzy Kałdowski, *Legenda o Duchu Bernarda* • Anna Koprowska-Głowacka, *Duchy, zjawy i ukryte skarby* • Rajmund Kuczma, Jerzy Derenda, *Legends i przypowieści* • Dariusz Łubkowski, Marcin Seroczyński, *Chełmża – fakty, mity, legends* • Feliks Malinowski, *Legends pałuckie* • Paweł Mikuszewski, *Legenda o mieczu „Bonum et felicitatem”*, praca konkursowa https://gniewkowo.eu/pl/14_kultura/2354_poznaj-legend-o-gniewkowie-kt-ra-wygra-a-konkurs.html [dostęp: 10.06.2021] • Tadeusz Multański, *Diabelski młyn i inne legends okolic Koronowa* • Włodzimierz Podczaski, *Legends kujawskie* • Marian Przybylski, *Spacerkiem po Strzelnie: Rynek; Rzecz o rozbójniku Dąbku* <https://strzelnomojemiasto.blogspot.com/2019/03/spacerkiem-po-strzelnie-cz-35-rynek-cz.html> [dostęp: 14.07.2021] • Roman Apolinary Regliński, *Legends Borów Tucholskich* • Anna Sergott, *Legends Krajny Nakielskiej* • Beata Stankiewicz, *Legends i podania Krajny i Pojezierza Waleckiego* • Radosław Stawski, *Legends spod Bobrowa*, „Czas Brodnicy” <https://www.czasbrodnicy.pl/czasbrodnicy/7,93191,26291917,legends-spod-bobrowa.html> [dostęp: 10.06.2021] • Artur Stolarski, *Legends i ciekawostki z kujawsko-pomorskiego*.



wydawca | QUIXI MEDIA

koncepcja wydawnicza | Antoni Bochen

redakcja | Joanna Walentowska



ISBN 978-83-61840-03-9